Polska blikuje ▪ Kosiniak rządzi ▪ Jeśli Ukraina przegra ▪ Siła „Rojsta”
Koniec Orderu Uśmiechu ▪ Dusza na kozetce ▪ Architekt dla każdego

Kraków 28 lutego – 5 marca 2024 nr 9 (3895) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Rolniczy bunt, zielony ład i nasze apetyty

JAK SIĘ ZMIENIA TO, CO JEMY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

HAUSER

REBEL WITH A CELLO

19 LIPCA 2024
TAURON ARENA KRAKÓW

21 LIPCA 2024
ATLAS ARENA ŁÓDŹ

HAUSEROFFICIAL.COM

BILETY: BILETSERWIS.PL

NOWY ALBUM
W SPRZEDAŻY

Prestige MJM 15 lat
BILET SERWIS
RZECZPOSPOLITA
TYGODNIK POWSZECHNY
proart telewizja kablowa
VIXON MENU+

KS. ADAM

Boniecki: *Moja historia pokarmowa*

Obojętności na jakość tego, co jem, nauczyły mnie lata wojny. W czasie okupacji, w wielkiej sali jadalnej dworu, obwieszonej portretami przodków, jedliśmy chleb z marmoladą z buraków – aż za dobrze to pamiętam. Ten buraczany produkt był słodki i całkiem dobry. Obiadów nie pamiętam, ale pewnie też były kombinowane odpowiednio do ciężkich czasów. Oczywiście, były też (chyba potajemne) świniobicia, były wędliny (nie za często, ale były), było też pewnie masło, na pewno był pieczony w domu chleb. Nie byłem nigdy głodny, to wiem na pewno. Skończyło się to wraz z wyrzuceniem nas z domu i włości. Jedzenia z pierwszych lat po tym wydarzeniu kompletnie nie pamiętam.

Wspomnienia wyraźne sięgają czasów internatu i szkoły księży marianów. Jedzenie było okropne i nazwy nadawane przez nas adekwatne. Pamiętam „błotko bielańskie" – breja z ziemniaków, jakiegoś sosu i wiotkich dodatków. W szafce trzymało się własne zapasy: masło, kiełbasę, co kto mógł mieć. Coś się psuło, czasem kolega czymś się podzielił, ale wiedziałem, że czas jest trudny, że tak po prostu jest i to wspomnienie bynajmniej nie jest koszmarem. Mimo „błotka". Internat i szkołę władze zlikwidowały po dwóch latach mojego pobytu. W domu nie było dobrobytu, ale nie pamiętam, bym był kiedykolwiek głodny. Napady głodu uśmierzało zjadanie chleba. Świetnego, zawsze świeżego, kupowanego w pobliskim sklepiku.

Rzeczy nabrały innego kształtu, kiedy wyjechałem *via* Włochy do Francji. We Włoszech żywiłem się głównie pizzą, tak intensywnie, że na pizzę nie mogłem patrzeć przez wiele lat. Potem pojechałem do Francji. Nabyłem kuchenkę na gaz. I tak stołowałem się w Paryżu, bez sensacji i nadzwyczajności. Ale miałem znajomych i znajdowałem nowych. Ci czasem zapraszali mnie na obiad, zwykle do restauracji. Tak poznawałem smak francuskich specjałów, do których, z racji mizerii finansowej, nie miałem dostępu. Jeden taki obiad zapadł mi w pamięć szczególnie. Zaprosił mnie Zygmunt Hertz. Zamówiłem talerz owoców morza. Wiedziałem, że jest to danie znakomite, nie wiedziałem jednak, że mój żołądek, bez wprawy, może nie dać rady krabom. Tak się niestety stało. Poczułem, że mdleję. Nie pomogła wędrówka do toalety, zraszanie czoła zimną wodą. Zygmunt odwiózł mnie do domu. Wiele razy potem jadłem owoce morza (najlepsze w Kurytybie w Brazylii) i nic mi nie było.

W Brazylii właśnie spotkałem się z ogromną restauracją, w której nie płaciło się za każde danie z osobna. Restauracja była mięsna. Oczywiście, były jakieś dodatki do niego, możliwości picia, ale istotne było tylko mięso. Obsługa krążyła wśród stolików i nożem odcinała na życzenie gości porcje z wielkich brył coraz to innego mięsa. Jakie to było dobre! Człowiek, nawet największy żarłok, ma swoją miarę. Cena była tak skalkulowana, że każdy, jedząc, ile mógł, nie przekraczał tej miary. Nie sądzę, by właściciele kiedykolwiek dokładali do interesu. Ale też nie zauważyłem, by ktokolwiek się tam obżerał.

Tak jak przy doskonaleniu produktów ludzkiej pracy w różnych dziedzinach, tak i w przyrządzaniu posiłków geniusz człowieka jest niezawodny. Ewolucja i ograniczenia w sferze pożywienia bynajmniej nie zabijają w nas geniuszu, lecz go doskonalą. Przyjdzie być może czas, że przestaniemy jeść mięso i zjadać byty żyjące. Pomysłowość ludzka i z tym sobie poradzi. Sami zobaczycie, jak się będziemy trawą, albo czymś podobnym, z apetytem zażerali. ©℗

Nagroda imienia Jerzego Turowicza

Od 2013 roku przyznawana jest Nagroda imienia Jerzego Turowicza, wieloletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego", udzielana za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź za pracę z dziedziny nauk humanistycznych, znajdujące się w kręgu wartości bliskich Jerzemu Turowiczowi i tematów, do których wracał w swojej publicystyce i działalności publicznej. Przyznawana jest za dzieło twórcy polskiego, żyjącego w chwili jej ogłoszenia. Tegoroczna edycja obejmuje dzieła opublikowane od 15 czerwca 2021 do 15 czerwca 2024.

Zwycięzca otrzymuje statuetkę oraz nagrodę pieniężną w wysokości ogłaszanej co roku przez Zarząd Fundacji. Wyboru laureata dokonuje Zarząd i Rada Fundacji Jerzego Turowicza, ogłoszenie wyniku nastąpi 15 października. Prawo zgłaszania kandydatur do Nagrody mają członkowie Zarządu i Rady Fundacji Jerzego Turowicza, redakcje „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i innych czasopism kulturalnych, wydawcy, związki twórcze oraz wcześniejsi laureaci.

FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

Zgłoszenia prosimy wysyłać na adres:
Fundacja Jerzego Turowicza, ul. Leśna 21, 30-232 Kraków
lub **fundacja@turowicz.org** do **15 czerwca 2024 roku**.

PROJEKT STATUETKI: MACIEJ PLEWIŃSKI
WEDŁUG POMYSŁU KRYSTYNY ZACHWATOWICZ-WAJDY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

24 Inny niż wszyscy
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Władysław Kosiniak-Kamysz to osobna kategoria w polskiej polityce. Etyczny, bez przerośniętego ego, dotrzymujący umów. Jak mógł zajść tak wysoko?

42 Leczenie duszy
PIOTR SIKORA
Zmagamy się z wewnętrznymi problemami, nie bardzo wiedząc, jaką mają naturę: duchową czy psychiczną.

72 Klimat w roli głównej
OLGA DRENDA
Z każdym sezonem „Rojst" staje się drastyczniejszy; bezpardonowość, ale też wszechobecność przemocy każe zastanowić się nad pracą pamięci.

66 Jak naprawić naukę?
JAREK GRYZ
W ciągu ostatnich lat spadło społeczne zaufanie do nauki. Po części winę ponosi system, w którym ważniejsze od odkryć są publikacje.

86 Honor i gra w łapki
ROZMOWA Z MICHAŁEM ZABŁOCKIM, POETĄ I SZABLISTĄ:
Ojciec na niespełna rok przed śmiercią zadał mi pytanie: „Wiesz, co jest najważniejsze w życiu? Refleks". I miał rację.

34 Logika przed gustem
ROZMOWA Z ROBERTEM KONIECZNYM, ARCHITEKTEM:
Najbardziej lubię te momenty, kiedy projekt nikomu w biurze się nie podoba.

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM // BRIAN LAWLESS / PA IMAGES / FORUM // MARIO WEIGT / ANZENBERGER / FORUM // JACEK TARAN // GRAŻYNA MAKARA // ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Od pola do boju
KRZYSZTOF STORY

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Zabawki kanclerza
ANNA GOLUS: *Order Uśmiechu to przykład manipulacji, a nie partycypacji dzieci*

24 Inny niż wszyscy
PIOTR ŚMIŁOWICZ

27 Blikuję, więc jestem
MAREK RABIJ *tłumaczy, dlaczego tak często płacimy Blikiem*

30 Strategia e-skalacji szkód
MAŁGORZATA SOLECKA: *Rząd ma narzędzia, by zareagować na wciąganie młodzieży w nałóg przez jednorazowe e-papierosy*

■ ■ ROZMOWA

34 Logika przed gustem
ROZMOWA Z ROBERTEM KONIECZNYM, ARCHITEKTEM

■ ■ WIARA

42 Leczenie duszy
PIOTR SIKORA

46 Kościół powszechny po turecku
MARCELINA SZUMER-BRYSZ *o polskim proboszczu w tureckim Iskenderunie*

48 Rafy na peryferiach
EDWARD AUGUSTYN *o pogrzebie ikony LGBT Cecilii Gentili w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku*

■ ■ ŚWIAT

52 Gry (po)wojenne
WOJCIECH PIĘCIAK: *Co się stanie, jeśli Ukraina upadnie? Oto symulacja ukraińskiej klęski i jej skutków dla Polski oraz Zachodu*

TEMAT TYGODNIKA

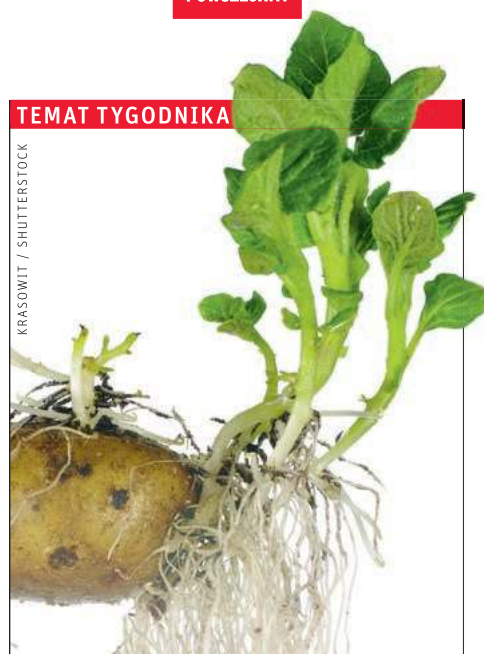

KRASOWIT / SHUTTERSTOCK

12 Nauczka z ziemniaka
PAWEŁ BRAVO
Niech was nie zmylą blokady i protesty. Jeśli mamy uniknąć żywieniowej katastrofy, to wyjściem nie jest powrót do „dawnych sposobów", tylko jak najszybsza ucieczka do przodu.

■ FELIETONY ■

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI
51 WOJCIECH BONOWICZ
84 OLGA DRENDA
85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI & DALL-E

Redaktor prowadzący:
MACIEJ MÜLLER

56 Upadek Awdijiwki
ANTONINA PALARCZYK: *Miasto przez 10 lat opierało się atakom. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy przeżyli chaotyczny odwrót*

59 Życie wokół cysterny
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Andaluzji od dziesięciu miesięcy nie ma dostępu do wody pitnej*

■ ■ HISTORIA

62 Jeśli żyjesz, przyjdź
CEZARY BROŻEK: *Był to jedyny chyba taki wyrok w powojennej Polsce: sąd orzekł, że funkcjonariusze MO i UB nie musieli zabijać*

■ ■ NAUKA

66 Jak naprawić naukę?
JAREK GRYZ

■ ■ KULTURA

72 Klimat w roli głównej
OLGA DRENDA

76 Wibracje i nie tylko
JAN BŁASZCZAK *o Teresie Tyszowieckiej bLasK! i jej przekładach*

79 Taka sobie rodzina
ROZMOWA Z CHRISTIANEM FRIEDELEM, AKTOREM, *o Rudolfie Hössie*

82 Big Brother u nazisty
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Strefa interesów" Jonathana Glazera*

83 Obok siebie
LEKTOR *o książce Czesława Brzozy „Na Kazimierzu i... Żydzi Krakowa międzywojennego. Kalendarium"*

■ ■ ZMYSŁY

86 Honor i gra w łapki
ROZMOWA Z MICHAŁEM ZABŁOCKIM, POETĄ I SZABLISTĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Zmierzch wyzwolicieli
W Afryce panują starcy, którzy zdobyli władzę tak dawno, że uważają ją za swoją własność – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** w autorskim cyklu **TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata**

Algorytmy demokracji
Czy sztuczna inteligencja może zmienić demokrację na lepsze? Finałowy odcinek cyklu uhonorowanego nagrodą Grand Press Digital and Technology 2023 **TygodnikPowszechny.pl/wybierAI**

Wybierz swoją prenumeratę na stronie 71

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

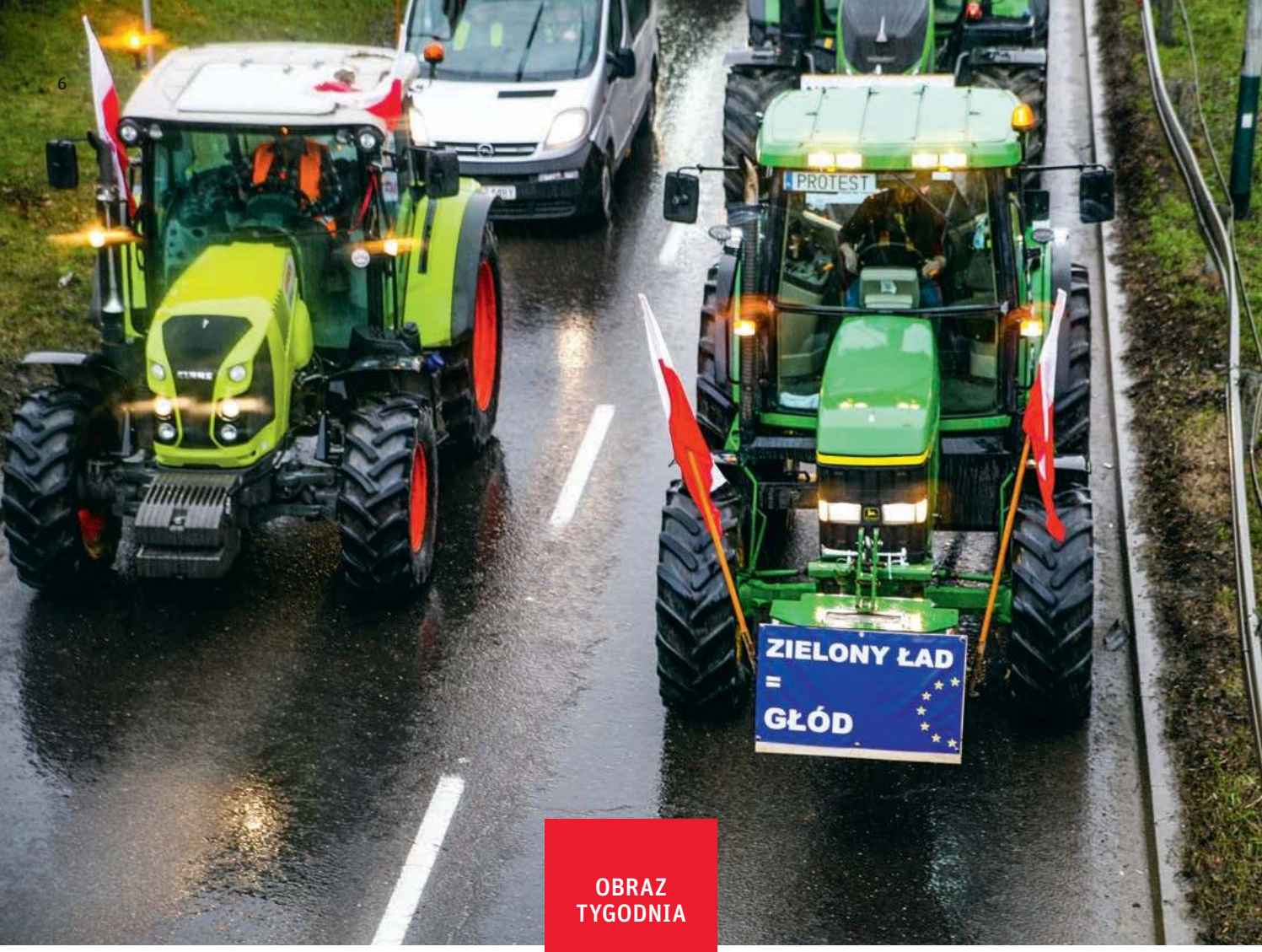

OBRAZ TYGODNIA

OD POLA DO BOJU

Zielony Ład jest przedstawiany jako czarny sen polskiego rolnika, więc coraz bardziej realny staje się upadek unijnej reformy. I to dopiero może być katastrofa.

KRZYSZTOF STORY

POWYŻEJ:
Ogólnopolski protest rolników. Kraków, 20 lutego 2024 r.

Gdy francuscy rolnicy oblewali urzędy gnojówką, w Polsce jeszcze było spokojnie. Gdy ich belgijscy koledzy obrzucali kamieniami i jajkami Parlament Europejski, u nas dopiero palono pierwsze opony. Gdy holenderscy rolnicy blokowali port w Antwerpii, u nas skala problemu kończyła się na korku ulicznym w Krakowie. Choć protesty eskalują na całym kontynencie (ostatnio demonstranci wtargnęli na targi rolnicze w Paryżu), to w temperaturze sporu szybko dogoniliśmy europejską czołówkę.

W Kotomierzu 25 lutego „nieznani sprawcy" wysypali z pociągu około 160 ton kukurydzy, która rzekomo miała z Ukrainy trafić na polski rynek. Rzekomo, bo od prawie roku mamy embargo na zboża i rzepak z Ukrainy (pisałem o tym na powszech.net/zbozezukrainy). Nie ma też żadnych dowodów na to, by skala przemytu chwiała rynkiem rolnym w 38-milionowym kraju, jak twierdzą rolnicy. Michał Kołodziejczak, wiceminister rolnictwa, przyznał: „Nie potwierdziły się doniesienia, że mimo embarga ukraińskie zboże pozostaje w Polsce".

To już piąty atak na transporty z ukraińskim zbożem i w żadnym z tych przypadków nie potwierdzono, że miało ono trafić na polski rynek. Od tygodni fakty przegrywają z emocjami. Czasami spektakularnie, jak na proteście w Gorzyczkach, gdzie zobaczyliśmy traktor przyozdobiony flagą ZSRR i transparentem „Putin, zrób porządek z Ukrainą, Brukselą i naszymi rządzącymi" (zarzuty już postawiono). Druga strona nie pozostaje jednak dłużna, zbyt często grając kartą wojenną. W sobotę Ołeksandr Kubrakow, wicepremier Ukrainy, nazwał akcję naszych rolników „dywersją" i napisał: „Ukraina walczy i trwa, także dzięki naszemu zbożu. Ludzie, którzy popełnili te przestępstwa, nie chcą pokoju i zwycięstwa dla Ukrainy".

Rolnicy może i szukają winnego w złym pociągu, ale problem jest realny. Po okresie szalonych zwyżek po rosyjskiej inwazji ceny produktów rolnych wróciły do poziomu sprzed wojny, a koszty produkcji pozostały wysokie. Gdy piszę ten tekst, cena kukurydzy na giełdzie w Chicago spada poniżej 4 dolarów za buszel (najtaniej od prawie 4 lat), a temu nie jest już winna ani Unia, ani import z Ukrainy. Ceny na całym świecie w ciągu roku spadły średnio o 9 procent. Największy wpływ ma Rosja, która za pół darmo wyprzedaje na całym świecie ogromne nadwyżki zboża.

ZIELONY ŁAD – te słowa są dziś używane jak straszliwe zaklęcie (minister Kołodziejczak nazwał go ostatnio „czarnym snem dla Polski"), na które można odpowiedzieć jedynie „precz!". Rolnicy zapominają o jednym: fakt, że z oburzeniem odejdą od stołu, nie oznacza, że negocjacje się zakończą. Po prostu odbędą się bez ich udziału. W Zielonym Ładzie jest dużo do poprawy i jeszcze więcej do ugrania. Zwłaszcza mali rolnicy mogą go potraktować jako szansę na tak bardzo potrzebną reformę.

Rolnictwo wytwarza dziś 1,5 proc. PKB, zarazem emitując 10 proc. gazów cieplarnianych w Unii. Rolnicy są też w czołówce, jeśli chodzi o świadomość konsekwencji zmian klimatycznych, bo sami ich doświadczają. Przedłużające się susze w UE i Wielkiej Brytanii powodują 9 mld euro rocznych strat.

Ze wszystkich części Zielonego Ładu rolników dotyczą głównie dwie: strategia bioróżnorodności oraz „od pola do stołu". Tę pierwszą cudem przegłosowano w zeszłym roku, ale dopiero po wykreśleniu większości zapisów dotyczących rolnictwa. O tę drugą spór się toczy: według założeń Komisji Europejskiej do 2030 roku 25 proc. upraw powinno być ekologicznych (dzisiaj w Polsce to około 3,5 proc.). Rolnicy powinni też zredukować zużycie pestycydów o połowę i nawozów sztucznych o 20 proc., by zapobiec degradacji gleby. Dodatkowo rolnik (jeśli chce mieć dotacje), musiałby zostawić 4 proc. ziemi odłogiem – znów: w trosce o glebę i bioróżnorodność (przez ostatnie 40 lat populacja ptaków na terenach rolniczych spadła o połowę).

DLACZEGO ROLNICY tak boją się tych zmian? Po pierwsze: Unia fatalnie je komunikuje, a rolnicy nie mają na stole konkretnej oferty wsparcia w tej transformacji. Po drugie: ograniczenia w stosowaniu pestycydów i nawozów powinny różnić się w krajach o odmiennych profilach rolnictwa (jak np. Polska i Holandia). Po trzecie: *status quo* broni wielki biznes.

Wspólna polityka rolna UE pochłania jedną trzecią unijnego budżetu. I od dekad funkcjonuje to na zasadzie: „większy dostaje więcej", a to zabójcze dla rolników i środowiska. Od 2005 do 2020 r. liczba gospodarstw w UE zmniejszyła się o 40 proc., a z branży wypadło ponad 5 mln ludzi. Organizacje rolnicze, takie jak Copa Cogeca, wykorzystują małych rolników, by bronić interesów wielkich agroholdingów. Według ustaleń dziennikarzy DeSmog przez ponad trzy lata, gdy w Brukseli dyskutowano o Zielonym Ładzie, lobbyści z branży spotykali się z szóstką europosłów średnio... dwa razy na tydzień (ponad 400 spotkań). W tym czasie producenci pestycydów wydali na lobbing w PE ponad 35 mln euro.

MOŻNA SIĘ BAĆ, że ograniczenia obniżą konkurencyjność europejskiego rolnictwa. Tyle że ich brak oznacza dalszy dyktat wielkiego agrobiznesu i prowadzi nas do katastrofy, nie tylko ekologicznej. Przez ostatnie 60 lat produktywność rolnictwa na świecie (pomimo rozwoju kolejnych technologii) spadła o 21 proc. Według raportu Europejskiej Agencji Środowiska, jeśli nie ograniczymy emisji, to plony nienawadnianych upraw, np. pszenicy, kukurydzy i buraków cukrowych, spadną w południowej Europie do roku 2050 nawet o połowę.

Wszystkie argumenty przegrywają z jednym: idą wybory. Protesty rolników od Rzymu po Warszawę to polityczne żniwa dla populistycznych partii, a Komisja Europejska w popłochu wycofuje się z kolejnych zapisów. Ograniczenia pestycydowe na razie wylądowały w koszu, wymóg odłogowania ziemi odłożono o rok, a w najnowszym harmonogramie reform – rolnictwo prawie zupełnie wycięto. Realny staje się upadek Zielonego Ładu. Polski rolnik za kilkanaście lat słono za to zapłaci. ©℗

KLAUDIA RADECKA / FORUM

Na co KPO

MAREK RABIJ

W przyszłym tygodniu zapadną dwie decyzje w sprawie funduszy europejskich, które były zablokowane dla Polski" – zapowiedziała w ubiegłym tygodniu przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Na tę informację polska polityka czekała od maja 2021 r., kiedy to Warszawa złożyła w Brukseli swój Krajowy Plan Odbudowy. Komisja zaakceptowała go rok później, ale od razu zastrzegła, że wypłaty ruszą dopiero po spełnieniu przez Polskę szeregu warunków, na czele z cofnięciem zmian wprowadzonych przez PiS w sądownictwie. Od tamtej chwili KPO, które wcześniej w opowieści rządu Mateusza Morawieckiego było nieomal odpowiednikiem Planu Marshalla, w narracji obozu władzy zaczęło się szybko kurczyć, aż ostatecznie zbiegło się do rozmiarów drobnej pożyczki, bez której Warszawa i tak zrealizuje wszystko, co zamierza.

Gdy dziś Donald Tusk pisze „mamy to!", zapowiadając blisko 600 mld zł dla Polski, PiS robi minę sąsiada, który z trudem skrywa zawiść, widząc pod blokiem nowy samochód.

Politycy byłego obozu rządzącego nadal utrzymują, że 60 mld euro przewidzianych dla Polski w KPO i dodatkowe 76 mld euro zablokowanych z unijnych funduszy spójności nie będą mieć dla gospodarki i polskiego życia społecznego takiego znaczenia, jakie fundusze unijne miały w pierwszych latach członkostwa. „Brukselka" – by użyć słynnego określenia ówczesnego prezesa PSL – pokrywała wówczas wydatki na nowe inwestycje nawet w 80 proc.

Polskę faktycznie stać na więcej niż 20 lat temu, ale 137 mld euro to wciąż blisko 149 mld dolarów, czyli lekko licząc 20 proc. zeszłorocznego PKB Polski. Tylko w ramach KPO Polska zamierza zrealizować 56 inwestycji i 55 reform, od zmian zagospodarowania przestrzennego, przez budowę żłobków w gminach, po inwestycje służące skracaniu łańcucha dostaw żywności i rozwojowi przetwórstwa spożywczego. Te przedsięwzięcia idą nie najgorzej, część wystartowała już dzięki prefinansowaniu z Polskiego Funduszu Rozwoju. Gorzej rzecz ma się z przygotowaniami do budowy i modernizacji centrów specjalistycznej opieki medycznej, cyfryzacją służby zdrowia, dofinansowaniem szpitali powiatowych czy wsparciem dla krajowej branży farmaceutycznej. ©℗

Aborcja: referendum ma sens

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Plan był taki, żeby w koalicji za wszelką cenę uniknąć przed wyborami samorządowymi sporu o aborcję, a projektami ustaw zająć się już po nich. Jednak Włodzimierz Czarzasty nie wytrzymał i publicznie zarzucił liderom Trzeciej Drogi, że blokują sprawę ustaw aborcyjnych i że on ma już tego dość. Szymon Hołownia odpowiedział w podobnym stylu, zarzucając liderowi Nowej Lewicy kłamstwo.

Tej kłótni sojuszników nie można się dziwić. „Wystawiona" przez Koalicję Obywatelską i skazana na samotny start, lewica musi robić wszystko, żeby zaistnieć, a temat aborcji to kluczowa sprawa dla jej elektoratu, oczekującego końca surowego prawa narzuconego przez Trybunał Konstytucyjny. Nie dziwi więc piątkowy apel działaczek lewicy, by Hołownia jak najszybciej dołączył projekty aborcyjne do porządku obrad Sejmu, tak by pierwsze czytanie projektów odbyło się jeszcze przed wyborami lokalnymi. Chcą, co w kampanii jest zrozumiałe, zagrać w otwarte karty, nawet jeśli zdają sobie sprawę, że uchwalenie prawa w wersji lewicy i tak zawetowałby prezydent Andrzej Duda.

Można też zrozumieć Trzecią Drogę, która nie chcąc dać się zepchnąć do narożnika, również przedstawiła swoje propozycje – ustawowy powrót do tzw. kompromisu aborcyjnego, a także wniosek o referendum. Posłowie i posłanki PSL oraz Polski 2050 argumentują, że przy postawie Dudy tylko takie działania mają szansę na realizację.

Rzeczywiście, propozycja referendum wydaje się dziś najbardziej racjonalna. Werdyktowi obywateli nawet prezydent będzie musiał się poddać. Analizując sondaże dokumentujące nastroje społeczne wokół aborcji, można uznać, że jest niemal pewne, iż większość Polek i Polaków w referendum opowie się za liberalizacją, jeśli pytanie będzie dotyczyć zgody na aborcję do 12. tygodnia ciąży.

Znamienne jest, że przeciw referendum opowiadają się dwa najbardziej radykalne skrzydła ideologicznego sporu. Lewica twierdzi, że sprawy tej nie należy poddawać referendum, bo prawo do aborcji należy do podstawowych praw człowieka. Z kolei skrajni antyaborcjoniści argumentują, że pytań referendalnych nie należy zadawać w kwestiach tak fundamentalnych jak ludzkie życie.

Obie te postawy są paradoksalnie dowodem na potrzebę referendum. W tak rozgrzewającej emocje kwestii jak prawo aborcyjne właśnie odwołanie się do woli większości obywateli wydaje się najbardziej logicznym wyjściem z tego klinczu. ©

Ogólnopolski protest „Ani jednej więcej", Kraków, 14 czerwca 2023 r.

MAREK LASYK / REPORTER

Więcej niż ulga

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To chyba nowe zjawisko: nigdy dotąd edukacyjny temat, pozornie hermetyczny i ekspercki, nie doczekał się tak szerokiego sporu. Do ogólnonarodowej dyskusji o podstawach programowych – dokumentach zbierających to, co w odniesieniu do danego przedmiotu na danym etapie edukacji uczeń musi przyswoić – ruszyli politycy, publicyści, nauczyciele i rodzice, zaś do wstępnych propozycji zmian ogłoszonych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej przesłano ponad 50 tys. uwag. A wszystko to w związku z zakończonymi ledwie prekonsultacjami zmian, które w okolicach kwietnia mogą się przekształcić w projekt rozporządzenia. I to rozporządzenia, które tylko nieśmiało, bo maksymalnie w 20 procentach, okrawa zbyt przepełnione – co do tego zgadzają się niemal wszyscy – podstawy programowe. Ich zasadniczą reformę rząd zapowiada dopiero na lata 2026-2028.

Na te wstępne propozycje zmian można narzekać – i wielu ekspertów już to zrobiło. Punktując np. fakt, że w dziele odchudzania pominięto edukację wczesnoszkolną, czyli klasy I-III; że zmiany w przypadku niektórych przedmiotów są zbyt ostrożne, nie zbliżając się nawet do owych 20 procent; że niektóre z korekt robią wrażenie nieprzemyślanych, co zresztą nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę szaleńcze tempo prac; że dobór ekspertów pracujących nad zmianami bywa trudny do obrony (kilka tygodni temu informowaliśmy w „Tygodniku", iż koordynatorką grupy odchudzającej podstawę z języka polskiego jest ekspertka odpowiedzialna za ich... rozszerzanie za czasów PiS).

Odchudzanie nie zaszkodzi polskiej edukacji. Podobnie jak debata, w której chodzi o coś więcej niż tylko ulżenie uczniom i nauczycielom.

Chodzi również o wolność i autonomię w systemie od lat przeregulowanym i patologicznie scentralizowanym. Oby wyłoniła się z tego poważniejsza zmiana, a ten wstępny pakiet redukcji – mniej materiału, mniej narzuconych lektur, mniej zadań domowych – stanowił „uspokojenie stanu zapalnego, żeby przygotować pacjenta do kompleksowej terapii" (jak wieszczy wicedyrektor Instytutu Badań Edukacyjnych dr Tomasz Gajderowicz). Bo jeśli ta terapia nie nastąpi, rację mogą mieć aktywni już malkontenci, którym działania każdej kolejnej ekipy MEN kojarzą się z inną – bynajmniej nie medyczną – procedurą: pudrowaniem trupa. ©℗

NA PUNKTY

AMBASADOR
Szerokim echem odbiło się wystąpienie Radosława Sikorskiego w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, punktujące kłamstwa z wcześniejszego przemówienia rosyjskiego ambasadora. „Rosja oskarża nas, że jesteśmy »więźniami rusofobii«, ale fobia jest strachem nieracjonalnym. Tymczasem Rosja niemal codziennie grozi nam jądrową zagładą" – powiedział m.in. szef polskiej dyplomacji.

ANALITYK
Niedyplomatyczne komentarze, m.in. pod adresem Szymona Hołowni, zamieszczał na portalu X jego popularny użytkownik o pseudonimie Pablo Morales. Po tym jak Wirtualna Polska ujawniła, że ów troll był sowicie opłacany przez PO za „analizy polityczne", marszałek Sejmu powiedział: „Donaldzie, masz pełne prawo mówić do mnie »mój najdroższy«".

PUBLICYSTKA
Zbigniew Ziobro choruje na raka krtani, ma przerzuty, rokowania są trudne – informują jego współpracownicy, ale publicystka Eliza Michalik ma wątpliwości i nazywa b. ministra tchórzem. „Jeśli się mylę i Ziobro umrze, przeproszę" – dodaje wspaniałomyślnie. ©℗

Nie da się schować abp. Dzięgi

PIOTR SIKORA

Abp szczecińsko-kamieński Andrzej Dzięga (na zdjęciu) na trzy lata przed osiągnięciem wieku emerytalnego zrezygnował z urzędu, a papież Franciszek rezygnację przyjął. Sytuacja nietypowa w polskim episkopacie, ale na prawdziwą jej wagę wskazuje fakt, że wobec metropolity szczecińsko-kamieńskiego toczą się dwa postępowania kanoniczne dotyczące oskarżeń o chronienie księży drapieżców seksualnych.

Przedwczesne przejście na emeryturę wzbudziło pytania o związek ustąpienia z urzędu z tamtymi postępowaniami. Od początku pojawiły się głosy, że abp Dzięga do rezygnacji został zmuszony przez Watykan. On sam w liście do księży swojej diecezji twierdził, że przyczyny są wyłącznie zdrowotne. Po kilku dniach Nuncjatura wyjaśniła, że „decyzje związane z odejściem abpa Andrzeja Dzięgi z urzędu (...) podjęte zostały w następstwie dochodzenia prowadzonego z ramienia Stolicy Apostolskiej". Dobrze, że zdecydowano się ujawnić prawdę, szkoda, że nie od razu – abp Dzięga nie mógłby w swoim liście kłamać.

Trzeba jednak jasno powiedzieć, że „wysyłanie" na emeryturę biskupów, którzy dopuścili się poważnych zaniedbań albo którzy wręcz chronili sprawców przestępstw, narusza elementarne poczucie i zasady sprawiedliwości. Nie chodzi tylko o to, że każdy biskup emeryt ma zapewnione luksusowe życie, zwłaszcza jak na polskie warunki. Jeszcze ważniejsze jest to, że ten sposób działania szkodzi dochodzeniu do prawdy i jasnemu określeniu, kto jest krzywdzicielem, kto zaś osobą skrzywdzoną. A to podstawa jakiegokolwiek procesu naprawy krzywdy.

Okoliczności rezygnacji abp. Dzięgi ujawniają ciemną stronę kościelnej instytucji.

W tym kontekście warto odnotować pierwszą publiczną krytyczną (i bardzo osobistą) reakcję innego polskiego biskupa, Artura Ważnego, biskupa pomocniczego z Tarnowa, z którym solidarność wyrazili już biskupi pomocniczy lubelski Adam Bab, siedlecki – Grzegorz Suchodolski i legnicki – Piotr Wawrzynek. Bp Ważny ogłosił na Facebooku, że czuje „pomieszane ze sobą gniew, złość, wstyd... Brak zgody", wyraził solidarność z osobami skrzywdzonymi i przeprosił je. ©℗

KAROL PORWICH / EAST NEWS

Dowody rosyjskich zbrodni czekają na sąd

WOJCIECH PIĘCIAK

Nie wiadomo, ile jest ich ofiar. Dokumentowanie zbrodni wojennych, tak by można wykorzystać to w sądzie, jest trudniejsze, gdy idzie o przemoc seksualną. Jeśli ofiary decydują się mówić, dowodem są często tylko ich relacje. Takie jak kilkudziesięciu kobiet i kilku mężczyzn, ofiar rosyjskich gwałtów z lat 2014-23. „W punktach kontrolnych kobiety zmuszano do rozebrania się i kazano im tańczyć" – relacjonowała jedna. Inna mówiła: „To był gwałt zbiorowy. (...) Zaatakowali mnie jak zwierzęta".

Relacje zbierane w ostatnich dwóch latach przez Centrum Dokumentowania Zbrodni Rosyjskich w Ukrainie im. Rafała Lemkina zaprezentowano 22 lutego w Instytucie Pileckiego w Warszawie. Działające przy tym Instytucie Centrum powstało wiosną 2022 r., a zespołem dokumentalistek (bo to głównie kobiety) kieruje dziennikarka Monika Andruszewska. W 2013 r., wówczas 21-letnia, pojechała na Majdan i została już na Ukrainie. Publikowaliśmy jej teksty o wojnie w Donbasie. Po 24 lutego 2022 r. zawiesiła pracę dziennikarską i podjęła się dokumentowania zbrodni.

Efekt: Instytut Pileckiego zgromadził dotąd 828 świadectw wideo, z czego 180 nagrano w Polsce, a 648 na terenie Ukrainy. Jeśli kiedyś Rosja stanie przed sądem, będzie to gotowy materiał dowodowy. A przedstawiona teraz dokumentacja gwałtów to pierwsze opracowanie powstałe na podstawie tych relacji.

„To są bardzo często kobiety z małych miejscowości, ze wsi, które obawiają się stygmatyzacji, nie chcą o tym mówić, bardzo dużo kobiet odmawia świadectwa, bo mówi, że nie chce wracać do tego strasznego wspomnienia, więc nigdy się nie dowiemy, jaka liczba kobiet została w ten sposób skrzywdzona" – mówiła na konferencji Andruszewska. ©℗

Jak biskup z masonem

KOŚCIÓŁ ▪ Trzech mistrzów wielkich lóż i trzech hierarchów Kościoła wzięło udział w konferencji „Kościół a masoneria". Na zorganizowanym 16 lutego w Mediolanie sympozjum wystąpili m.in. bp Antonio Staglianò, przewodniczący Papieskiej Akademii Teologicznej, mediolański abp Mario Delpini i kard. Francesco Coccopalmerio, emerytowany prefekt Papieskiej Rady ds. tekstów prawnych.

Spotkanie było zamknięte, co zrodziło domysły, że po trzech wiekach wrogości (od 1738 do 2023 r. papieże wydali 600 antymasońskich dokumentów różnej rangi) Kościół zamierza zmienić zdanie o wolnomularstwie.

Rygorystyczny zakaz wstępowania katolików w jego szeregi wielu osobom wydaje się anachroniczny. Skoro papież spotyka się nawet z szamanami i animistami, Kościół otwiera się na współpracę ze wszystkimi „ludźmi dobrej woli", masoneria od dawna już z nim nie walczy (jak zapewniał na konferencji wielki mistrz Stefano Bisi), a opowieści o wolnomularskim spisku i światowym rządzie większość ludzi traktuje jak bajki – trudno znaleźć sens w katolickiej wrogości do wolnomularstwa.

Bp Staglianò – odpowiadając na moje pytania – wyjaśnia, że masonerii nie da się pogodzić z katolicyzmem z powodów bardziej zasadniczych niż antyklerykalizm czy podejrzenia o spiski. Najważniejszą przeszkodą jest odrzucenie przez masonów wiary w Boga osobowego i prawdę objawioną, głoszenie równości wszystkich religii, opieranie moralności na humanitaryzmie i tolerancji, a także okultyzm i tajna forma działania. Mimo to – mówi biskup – warto spotykać się z ludźmi i szukać przestrzeni współpracy, nie zapominając o dzielących nas różnicach.

Temu miała służyć mediolańska konferencja. Szkoda tylko, że z powodu jej zamkniętego formatu sama stała się przyczyną plotek o masońsko-watykańskim spisku.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Rządy, platformy i wyzysk filmowców

VOD ▪ W jakim kraju – dodajmy: jedynym w Unii Europejskiej – rodzimi twórcy nie mogą czerpać należnych im zysków z tytułu eksploatacji ich filmów w internecie? I to w czasach, kiedy tyle osób ogląda filmy online? Musi to być kraj, w którym rząd bardziej dba o interesy platform streamingowych niż swoich filmowców. Dlatego polski scenarzysta czy polska reżyserka mogą liczyć na tantiemy z Niemiec czy Hiszpanii, ale nie z rynku VOD w Polsce, choćby film był tutaj największym hitem. I nie ma co czekać, aż globalni giganci dobrowolnie zrezygnują z części (a tak naprawdę ze śmiesznego ułamka) swoich przychodów. Musi zadziałać stosowna regulacja prawna.

Jeszcze niedawno można było zrzucić wszystko na PiS. 5 grudnia 2022 r. premier Morawiecki odbył tajemnicze spotkanie z szefem Netfliksa, po czym nastąpiło zablokowanie ustawy, która gwarantowałaby polskim filmowcom uczciwe wynagrodzenie ze strony wielkich platform. Tymczasem nowe władze też uchylają się od wprowadzenia zapisu o tantiemach z internetu. Wątek ów z jakichś powodów zniknął z projektu ustawy przygotowywanej przez obecne Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wdrażającej dyrektywę unijną o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym. Warto przy tym zaznaczyć, że z powodu wykreślenia tego zapisu tracą nie tylko twórcy. Bo kary naliczane nam przez Brukselę za niewdrożenie dyrektywy cały czas narastają. Wyznaczony termin minął około tysiąca dni temu.

Dlatego powstał Tantiemowy Sztab Kryzysowy, który walczy o ten zapis i jego egzekucję. Inicjatorzy, czyli przedstawiciele Koła Młodych Stowarzyszenia Filmowców Polskich, udali się do ministerstwa, by zaprotestować przeciwko dyskryminacji środowiska filmowego w przygotowywanej ustawie. „Inwestując swoją własność intelektualną, chcemy realnego przełożenia na udziały w sukcesie naszej twórczości" – pisali w liście do ministra Sienkiewicza. Wspomniana dyskryminacja dotyka szczególnie tych filmowców, dla których tantiemy stanowią życiowe „być albo nie być", bo przecież tłuste koty polskiej kinematografii zawsze jakoś się wyżywią. „Na szczęście Kieślowski nie musiał dorabiać na Uberze między filmami" – ironizuje aktorka Matylda Damięcka w jednym ze swoich tantiemowych memów. Tak, młody Kieślowski mógłby mieć dzisiaj pod górkę.

A co na te protesty politycy? Na spotkaniu z filmowcami w ministerstwie tłumaczyli się raczej mętnie. Miejmy jednak nadzieję, że bezzwłocznie ten palący problem załatwią. Również po to, by ukrócić plotki na temat niejasnych powiązań biznesowo-politycznych. Ale przede wszystkim, by zakończyć wreszcie wyzysk polskich twórców – zgodnie zresztą z tym, co nie raz im obiecywano przed wyborami.

© ANITA PIOTROWSKA

Tantiemowy Sztab Kryzysowy – akcja złożenia petycji do Ministerstwa Kultury. Warszawa, 21 lutego 2024 r.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Nowy pełnomocnik i nowe otwarcie dla literatury

KULTURA ▪ W zeszłym tygodniu (22 lutego) minister kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomiej Sienkiewicz powołał Grzegorza Jankowicza na funkcję pełnomocnika ds. połączenia Instytutu Książki i Instytutu Literatury.

Pierwsza z tych instytucji powstała w 2004 r. i do 2016 r. była prężnie działającą organizacją, odnoszącą wiele sukcesów, przede wszystkim na arenie międzynarodowej (był to podstawowy cel, dla którego IK powstał). Liczne programy stypendialne, dotacje do projektów translatorskich i wydawniczych oraz dbanie o obecność polskiej literatury na światowych rynkach (choćby poprzez przyznawaną od 2005 r. Nagrodę Transatlantyk dla wybitnego popularyzatora literatury polskiej za granicą) przełożyło się na rozpoznawalność i budowanie marki polskiej kultury.

Niestety, poprzednia władza, mówiąc delikatnie, zostawiła po sobie niemały bałagan instytucjonalny także na polu literackim. W 2019 r. minister Piotr Gliński stworzył Instytut Literatury (kierowany przez Józefa Ruszara), konkurencyjną wobec IK instytucję, która od początku swojej działalności budziła wiele kontrowersji, przede wszystkim ze względu na podporządkowanie partyjnej polityce, a także dzielenie i rozjątrzanie środowiska literackiego (żeby wspomnieć tylko powołane przez IL czasopismo „Nowy Napis", które wysokimi honorariami próbowało przekonać twórców do swojej prawicowo-narodowej agendy).

Decyzja o połączeniu obu instytucji (zamiast wygaszania jednej kosztem drugiej) to rzadko spotykany w polskiej polityce gest dobrej woli, w którym chodzi przede wszystkim o kontynuację kluczowych dla funkcjonowania polskiej literatury struktur i programów. Zadanie nie jest łatwe, bo obie instytucje zostały umyślnie zdublowane, aby nawzajem paraliżować swoje działania. W ten sposób przez ostatnie 8 lat zmarnowano nie tylko masę pieniędzy, ale przede wszystkim niezliczone szanse na wspieranie polskiej literatury w kraju i zagranicą. Miejmy nadzieję, że dzięki decyzji ministra Sienkiewicza nowy Instytut Książki szybko stanie na nogi i będzie działał jeszcze sprawniej niż dawniej. A za Grzegorza, przed którym wyjątkowo niełatwe zadanie, mocno trzymamy kciuki.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH // TYGODNIK POWSZECHNY

GRZEGORZ JANKOWICZ, aktywista literacki, eseista i redaktor, był dyrektorem programów literackich Fundacji „TP" i dyrektorem programowym współorganizowanego przez naszą fundację Festiwalu Conrada.

Przecinek dziesiętny jest starszy, niż sądziliśmy

MATEMATYKA ▪ Wiele idei, które dziś jawią nam się jako naturalne, ma długą i skomplikowaną historię, a ich początki giną w mroku dziejów. Nie inaczej jest z separatorem dziesiętnym, czyli niepozornym przecinkiem (a w niektórych krajach kropką) oddzielającym część całkowitą liczby od jej części ułamkowej (czyli od cyfr „po przecinku").

Ułamki były zmorą starożytnych i średniowiecznych matematyków i astrologów. Nawet gdy wśród europejskich uczonych upowszechnił się pozycyjny, dziesiętny system zapisu liczb (który przywędrował do nas z Indii za pośrednictwem Arabów wraz z tzw. cyframi arabskimi), posługiwanie się ułamkami wciąż było niezwykle uciążliwe. Obliczenia prowadzono albo na liczbach mieszanych (takich jak $1\frac{3}{5}$), albo – zwłaszcza w astronomii – w babilońskim systemie sześćdziesiątkowym (stosujemy go do dziś, gdy dzielimy stopnie kątowe na 60 minut, a te na 60 sekund), co wymagało ogromnego wysiłku rachunkowego. Użycie separatora dziesiętnego znacznie upraszcza sprawę, bowiem upodabnia działania na ułamkach do działań na liczbach całkowitych. Przykładowo, aby dodać do siebie 1,6 i 2,25, nie trzeba ich już „tłumaczyć" na liczby mieszane $1\frac{3}{5}$ i $2\frac{1}{4}$, a następnie sprowadzać ułamki do wspólnego mianownika. Można je po prostu dodać pisemnie, analogicznie jak liczby 160 i 225.

Choć z dziesiętnym zapisem ułamków eksperymentowano już wcześniej, do tej pory sądzono, że po raz pierwszy separatora (w formie kropki) użył niemiecki matematyk i jezuita Christoph Clavius w traktacie „Astrolabium" z 1593 r. Jak jednak właśnie odkrył historyk nauki Glen Van Brummelen, notacja ta pojawiła się już półtora wieku wcześniej w tablicach astronomicznych sporządzonych przez mało znanego włoskiego uczonego Giovanniego Bianchiniego. Bianchini był z zawodu kupcem, co – jak wyjaśnia Van Brummelen – mogło go uchronić przed wpadnięciem w koleiny myślowe ówczesnych astronomów, którzy na ułamki patrzyli sześćdziesiątkowo. Wydaje się, że te rachunkowe przyzwyczajenia sprawiły także, iż pomysł Bianchiniego na długo pozostał tylko notacyjną ciekawostką z marginesu tablic astronomicznych. Separator dziesiętny na dobre przyjął się dopiero w XVII w. za sprawą innego nowego narzędzia rachunkowego – logarytmów – ale wtedy o renesansowym kupcu-matematyku mało kto już pamiętał.

© TOMASZ MILLER

TEMAT TYGODNIKA

NAUCZKA Z ZIEMNIAKA

Niech was nie zmylą blokady i protesty. Jeśli mamy uniknąć żywieniowej katastrofy, to wyjściem nie jest powrót do „dawnych sposobów", tylko jak najszybsza ucieczka do przodu.

PAWEŁ BRAVO

KRASOWIT / SHUTTERSTOCK

W lewej ręce mam sklepowy koszyk z zakupami – kiść bananów, parę jabłek, siatka ziemniaków, paczkowany chleb, serek mascarpone i mielona kawa. W prawej smartfon, którym zaraz zapłacę, przechodząc przez kasę, która nie tylko „widzi" oznaczone kodem opakowania, ale sama rozpoznaje, jaki owoc czy warzywo położę do zważenia na szybie. Która z rąk trzyma dowód na nieskończoną kreatywność ludzkiego umysłu, na zdolność tworzenia rzeczy trudnych do wyobrażenia jeszcze pokolenie temu? W której trzymam pochodnię postępu?

W lewej. Wiktuały w koszyku, gdyby im się przyjrzeć na zimno i bez złudzeń, krzyczą wręcz o nieustannych przemianach, jakie wymuszamy na poddanej nam ziemi. Świadczą o serii prawdziwych, wywracających wszystko przełomów i innowacji, o splocie bezinteresownego geniuszu i oportunistycznej władzy. Dzięki nim ciągle jest na świecie co jeść – i najprawdopodobniej dalej będzie.

Głód pokonany

Taką historię, jak powyższa, dałoby się łatwo opowiedzieć o każdym hipernowoczesnym, futurystycznym wręcz produkcie w naszym codziennym koszyku. Weźmy np. banany: połowa tych sprzedawanych na całym świecie, ale praktycznie 100 procent zjadanych w Europie i Ameryce, to jedna i ta sama odmiana cavendish. Obecna na rynku dopiero od lat 50., wcześniej nie cieszyła się uznaniem, aż grzybowa choroba zwana „panamską" spustoszyła plantacje poprzednio najwyżej cenionej odmiany gros michel. Wtedy dopiero jako jedno z remediów wkroczyła azjatycka odmiana cavendish – miała podstawową zaletę, czyli odporność na chorobotwórczego grzyba, ale też rozliczne wady, tak z punktu widzenia konsumenta, jak i producenta (np. miękka, bardziej wrażliwa na uszkodzenia skórka).

United Fruit Company, jedna z wielkich korporacji trzęsących republikami bananowymi (poprzedniczka znanej wam doskonale Chiquity) długo się opierała, aż w końcu nie miała wyjścia, gdy ich plantacje weszły w fazę ostatecznego upadku. Dostosowano proces uprawy, zbioru, przechowywania i transportu do wymogów nowej odmiany. Powstała infrastruktura skrojona pod jej wymogi oraz rozbudowane *know-how*, pozwalające optymalizować wszystkie ogniwa procesu, od dojrzewalni aż po model skrzynek.

Monokultura, w której następuje wyzerowanie różnorodności genetycznej, przypomina (dopóki wszystko działa) *perpetuum mobile*. Kiedy jednak pojawia się zagrożenie, potrafi runąć jak domek z kart. W latach 90. XX w. w Ameryce pojawił się nowy szczep grzyba wywołującego chorobę panamską, zdolny omijać system obronny dotąd odpornej odmiany cavendish. Jeśli zdoła się rozprzestrzenić, praktycznie żadna palma, żadna plantacja nie będzie bezpieczna. Trwają gorączkowe dwutorowe prace: nad nowymi krzyżówkami, które pozwoliłyby zachować maksimum właściwości „starego" cavendisha, albo nad znalezieniem i udoskonaleniem jednej z licznych innych odmian, która mogłaby go zdetronizować.

Jest przy tym ważna bariera biznesowa: przejście oznaczałoby konieczność ponownej rewizji modeli upraw, zbiorów, pakowania, transportu i sprzedaży, co oznacza poważne koszty. Biznes bananowy poniesie je dopiero, gdy znajdzie się naprawdę pod ścianą.

Chociaż istnieje jeszcze jedno wyjście, analogiczne do tego, które umożliwiło w latach 90. przetrwanie papai, dziesiątkowanej wirusem pierścieniowej plamistości: dzięki interwencji transgenicznej (czyli dodaniu papai genu innego gatunku) udało się wówczas uchronić plantacje. Ponieważ papaja jest – przynajmniej w Europie – niszowym, mało istotnym owocem, nikt o tym nie pamięta, nikt nie protestuje, ale na hasło „banan GMO" rozpętałaby się konsumencka i polityczna apokalipsa.

Niezależnie od naszej krótkiej pamięci, skłonności do wypierania, jak bardzo zmieniają się nasze obyczaje i leżące u ich podstaw nasze święte racje – mamy za sobą tak znaczne przyspieszenie w sposobach produkcji, a także dystrybucji jedzenia, że to, co będzie nas czekać niezależnie od pozornie szokujących nazw („mięso z bioreaktora!", „pionowe farmy!"), to tylko aneksy do już napisanej historii trwałego pokonania głodu.

Główny zaś temat tych aneksów to nie dalsza ewolucja smaków lub nowe gatunki, lecz zagrożenia, jakie przyniosły rozdziały napisane dotąd przez dziadków i rodziców. Wprawdzie to nie unowocześnione w przyspieszonym tempie rolnictwo odpowiada za wzrost stężenia dwutlenku węgla i cały łańcuch zdarzeń, jakie w związku z nim zagrażają równowadze przyrodniczej. Ale za emisje metanu – drugiego na liście gazów cieplarnianych – jak najbardziej. A także za zniszczenie bioróżnorodności w bardzo wielu ekosystemach.

Ostatnie nowe pożywienie

Warto zdać sobie sprawę, że cywilizacja europejska już dwa stulecia ćwiczy zapowiedzi rychłej katastrofy żywnościowej. Pod sam koniec XVIII w. Robert Malthus rozumował, że ludzi przybywa zbyt szybko, by dało się ich wykarmić. A było ich wtedy około 800 milionów. Skoro dziś jest nas 8 miliardów, coś dobrego musiało się po drodze zdarzyć. Przy 4 miliardach głos zabrali kolejni prorocy wielkich głodów i zagłady ludzkości, z lat 60. zeszłego stulecia. Emblematyczna dla tego ponurego nurtu modnej wówczas pseudonaukowej futurologii i inżynierii społecznej (postulującej m.in. drakońską kontrolę urodzin) była głośna książka „Ludnościowa bomba" amerykańskiego biologa i ewolucjonisty Paula Ehrlicha z 1968 r. (mniej więcej w tym czasie zakładano też głośny niegdyś Klub Rzymski, tworzący raporty o rychłym osiągnięciu ostatecznych granic wzrostu gospodarczego).

Choć sam przyznawał się do maltuzjańskiego dziedzictwa, Ehrlich nie umiał zrozumieć, co takiego zadało kłam tezom jego duchowego ojca. Nie dostrzegał, że pod presją ludnościową doszło od początku XIX w. do szybkich i głębokich przemian w produkcji żywności: pojawiły się nowe techniki, nowe ustroje własnościowe i mechanizmy rynku, a przede wszystkim upowszechniła się nowa roślina jadalna – ziemniak (znany w Europie od XVI w., ale nie uprawiany wcześniej na masową skalę – tak samo jak pomidor, traktowany aż do tego czasu nieufnie, choćby z powodu trujących liści).

Zauważmy przy okazji, że ziemniak to, jak dotąd, ostatnie prawdziwe „nowe pożywienie" odgrywające tak istotną rolę w historii Europy, widzianą w krzywych demograficznych i gospodarczych. Jeśli mamy dziś opory przed jedzeniem świerszczy, tak chętnie wykorzystywane przez polityków, to nic dziwnego – od czasów ziemniaka w naszym kręgu kulturowym nie musieliśmy sobie ↦

↦ przyswajać niczego istotnie nowego, to znaczy zupełnie nieobecnego w diecie naszych rodziców. Wszystkie bowiem rzekome „nowości" na naszym stole (pomijając niszowe pomysły typu kryl czy komosa ryżowa) to tylko wariacje na temat wciąż tej samej puli roślin i zwierząt.

Tej samej, ale nie takiej samej. Od początków hodowli i rolnictwa wszystkie wykorzystane przez człowieka gatunki są zmieniane, selekcjonowane pod kątem plonów, przyrostu wagi, właściwości ziarna lub mięsa i wreszcie dostosowania do nowych warunków zewnętrznych czy nowych możliwości technicznych. Ehrlich zachowywał naukowy rygor w rachunkach demograficznych, ale nie brał w swoich równaniach pod uwagę zmiennej agronomicznej. I to mimo że powinien być już mądrzejszy o doświadczenie co najmniej 50 lat przyspieszenia w przemysłowej obróbce żywności. Miał przed oczami rolnictwo na potęgę korzystające z mikrobiologii, chemii i genetyki, gdzie postępy w produkcji następują skokowo w horyzoncie życia jednego pokolenia.

Taki skok o rząd wielkości dokonał się zaledwie parę dekad przed publikacją jego książki np. w sferze uprawy zbóż, dzięki odkryciu dającej się stosować przemysłowo metody syntezy amoniaku. Przez kilkanaście tysięcy lat ludzkość próbowała sobie poradzić ze wzbogaceniem gleby w azot. Obornik wyznaczał właściwie maksimum dostępnych możliwości. Metoda wrocławskiego chemika Fritza Habera (wdrożona na skalę przemysłową przez Carla Boscha u progu XX w.) w ciągu parunastu lat praktycznie usunęła ten problem. Mówiło się o Haberze (późniejszym wybitnym specjaliście od gazów bojowych), że „stworzył chleb z powietrza". Wydajność z hektara, która od czasów starożytnych rosła bardzo powoli, mogła szybko się podwoić, potroić, wzrosnąć czterokrotnie.

Równolegle działa się kolejna, nazwana potem zieloną, rewolucja: powszechne zastosowanie tworzonych z coraz większym rozpędem od lat 20. XX w. środków ochrony roślin i zastosowanie silników do prostych i tanich systemów nawadniania. Prowadząc do zupełnie innego rodzaju zagrożeń – związanych nie z głodem, lecz raczej źle zarządzaną obfitością.

Demokracje, jak twierdził ekonomista Amartya Sen, laureat Nagrody Nobla z 1998 r., są w stanie lepiej wykarmić obywateli dzięki temu, że są zmuszone przez opinię publiczną czy media do rozsądnego (relatywnie) gospodarowania zasobami. Miał na myśli Indie i porównywał je z Chinami. Odnosił się do klęsk głodowych z ofiarami liczonymi w milionach. Dziś politycy – powołani, by podejmować „w naszym imieniu" decyzje i wyznaczać kierunki – mają przed sobą zupełnie inne problemy.

Naturalne, nienaturalne

Przytoczona na początku historia banana i jego najbliższe perspektywy pokazują nam właściwie wszystko, co trzeba wiedzieć, gdy myślimy o przyszłych produktach żywnościowych. Nie wystarczy, że naukowcy i media będą opowiadać o zagrożeniach (specyficznych dla danej branży czy ogólnoplanetarnych). Dopiero spodziewane rychło bankructwo modelu *business as usual* może skłonić do zmiany praktyk – która wtedy nastąpi niemal z dnia na dzień. Z drugiej zaś strony, niektóre oczywiste dla naukowca i racjonalne biznesowo wyjścia z sytuacji pozostają zamurowane przez zgubne podejście opinii publicznej do postępu i zmian.

Korzystamy garściami z osiągnięć nauki i manipulacji żywą materią, ale upieramy się o tym nie wiedzieć i tego unikać. Wciąż ulegamy zmitologizowanym lękom przed bliżej nieokreślonym „GMO". Tymczasem jedynym wyjściem, jeśli chcemy mieć rolnictwo wydajne, a zarazem zrównoważone, czyli takie, które obywa się bez „chemii", to interwencja w rośliny i zwierzęta na poziomie genetycznym. Przy czym tzw. nowe techniki genomiczne niewiele mają wspólnego z tym, co wcześniej pod tym groźnym skrótem się zazwyczaj ukrywało, czyli transgenezą (gdy np. włączano jeden z genów słonecznika do genomu pszenicy, by znacznie podnieść jej odporność na suszę).

Nowe techniki, zwane też wspomaganą ewolucją, stanowią znacznie subtelniejsze interwencje w obrębie tej samej rośliny, obliczone na to, by np. zwiększyć odporność pszenicy na choroby lub uzyskać ryż dający sobie radę w wodzie o wyższym zasoleniu. Ale dopiero niedawno Unia Europejska zabrała się za rewizję swoich przepisów okołogenetycznych, mających już ponad 20 lat, tak aby dało się zrównać prawnie organizmy uzyskane dzięki wspomaganej ewolucji z tymi „naturalnymi" – tak jakby było cokolwiek „naturalnego" w odmianie pszenicy uzyskanej sto lat temu lub „przedwojennej" jabłoni.

Trzy tygodnie temu Parlament Europejski wydał zgodę na sfinalizowanie nowej legislacji, pytanie teraz, czy rządy poszczególnych krajów zdążą wraz z Komisją Europejską dojść do zgody – efektywny czas do końca kadencji unijnych organów właściwie już się wyczerpał i wydaje się, że główni gracze na europejskiej scenie najchętniej wymazaliby ze

RDC POLSKIE RADIO
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

swoich agend jakiekolwiek zmiany w odniesieniu do rolnictwa.

Z wydanych dopiero co przez Komisję zaleceń wobec tego, jak kontynent powinien dążyć do redukcji emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. w roku 2040, wygumkowano starannie konkrety dotyczące udziału rolnictwa w tym wysiłku. Ani słowa o metanie, ani słowa o konieczności zapobiegania szkodom w ekosystemach, jakie powoduje nadmierne stężenie azotu wokół ośrodków przemysłowych hodowli bydła lub drobiu.

Pod naciskiem komisarza Janusza Wojciechowskiego w ostatniej chwili wyleciały też zdania o wspieraniu rozwoju syntetycznego mięsa, to znaczy pochodzącego z hodowli specjalnie wypreparowanych tkanek. To branża wciąż w powijakach, o rząd wielkości mniejsza od hodowli i uboju normalnych zwierząt, ale zaczyna jawić się jako biznesowo sensowna droga dostarczania konsumentom mięsa (a nie zamienników sojowych, nasączonych enzymami dla oszukania naszych mózgów). Sensowna zwłaszcza, jeśli państwa europejskie zaczną kiedyś wdrażać jakieś nieśmiałe – fiskalne, a nie tylko propagandowe – zachęty do ograniczenia ilości zjadanego mięsa z masowej hodowli.

Być może tego doczekamy, ale dopiero w dalekiej przyszłości: spójrzmy na bezczynność władz krajowych i unijnych w obliczu twardych danych pokazujących skalę zaburzeń przyrodniczych i szkody klimatyczne, jakie wywołuje produkcja mięsa i nabiału w obecnej ilości. Ta całkiem niedawna zdobycz – codzienny tani kotlet – tak mocno zagnieździła się w mózgach europejskich konsumentów, że żaden czytający sondaże i statystyki (np. podające nikły nadal odsetek wegetarian poza wielkomiejskimi bańkami) polityk nie poważy się wyjść poza puste deklaracje. A propozycje konkretnych bodźców finansowych i zakazów pozostaną domeną uznawanych za skrajnych działaczy i działaczek wegańskich. Dopóki wielkie hodowle mięsne nie ogarnie jakaś pandemia, mięso z bioreaktorów będzie tylko marginalną nowinką.

Agrobiznes

Komisarz Wojciechowski nie był sam w swoich wysiłkach, by wybić zęby wszystkim proponowanym przez ostatnie lata regulacjom naruszającym *status quo* wielkotowarowego rolnictwa. W ramach Zielonego Ładu ogłoszono w 2020 r. strategię „Od pola do stołu", obejmującą szesnaście inicjatyw legislacyjnych mających zdjąć z żywności Europejczyków balast szkód klimatycznych i przyrodniczych. Z nich częściowo udało się przepchnąć siedem, ale i tak nie te najważniejsze (np. obowiązek zmniejszenia o połowę użycia pestycydów do 2030 r.); pozostałe tkwią w zamrażarce. Te, co przeszły, uzyskały ↦

Bezglebowa produkcja pomidorów w inteligentnym parku rolniczym. Meishan, Chiny, 13 września 2023 r.

COSTFOTO / NURPHOTO / GETTY IMAGES

nieraz znacznie bardziej rozwodnioną postać w stosunku do propozycji Komisji – jak np. dyrektywa o bioróżnorodności, która zawierała dość istotne procentowe progi odtwarzania stanu pierwotnego na połaciach ziemi obecnie wykorzystanej rolniczo.

I to wszystko w obliczu protestów, zwanych skrótowo „rolniczymi", choć należałoby je raczej nazwać „agrobiznesowymi" w najszerszym znaczeniu, z chemią i branżą transportową włącznie. Dlaczego widowiskowe, ale przecież nie masowe (blokadę dwustu ludzi na traktorach widać dobrze w telewizji, ale nadal to jest tylko dwustu ludzi) protesty trafiają w tak słaby punkt polityków, którzy mają przecież za sobą dość szybką likwidację np. górnictwa węglowego?

Propozycje ujęte w strategii „Od pola do stołu" można było z grubsza uznać za rozsądne minimum tego, co trzeba zrobić, żebyśmy w sposób planowy i wyważony w dużym stopniu zachowali znany nam z końca XX w. sposób odżywiania, jednocześnie hamując rozwój katastrofy klimatycznej. Ich los jednak został przypieczętowany mniej więcej rok temu, kiedy centrowe, znane dotąd z umiaru i godzenia wszystkich stron środowiska polityczne, jak Europejska Partia Ludowa, w pogoni za uciekającym na prawo wyborcą, weszły w populistyczne koleiny obrony wsi i rolnictwa z wykorzystaniem wszystkich możliwych nostalgicznych klisz.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI & DALL-E

Korzystamy garściami z osiągnięć nauki i manipulacji żywą materią, ale upieramy się o tym nie wiedzieć i tego unikać. Wciąż ulegamy zmitologizowanym lękom przed bliżej nieokreślonym „GMO".

Łącznie z groteskowymi plakatami z Czerwonym Kapturkiem, gdy zeszłej jesieni dyskutowano o zniesieniu ścisłej ochrony gatunkowej wilka, co było głośnym postulatem lobby hodowlanego. Rzecz się rozchodziła bardziej o symbole niż o pieniądze – straty wyrządzane przez wilki są marginalne w porównaniu z tym, co czynią inne dzikie zwierzęta, np. dziki i sarny, które to gatunki figurują skądinąd wysoko w menu wilka, o ile nie zostanie skuszony źle chronionymi owcami na pastwisku.

Brzmi to wszystko śmiesznie i niepoważnie, a Europa długie dekady już żyła bez wilków w lesie, więc być może ponowne ich wybicie nie czyniłoby ekologicznego wyłomu. Ostatnie decyzje unijnej egzekutywy o utopieniu kluczowych propozycji pestycydowych pokazują jednak, że gra się toczy na głównym boisku. Nie, nie chodzi o zabawne marginalia.

Kostium reakcjonisty

W obecnym sezonie politycznym, przed wyborami do europarlamentu (ale i w kontekstach rozgrywek krajowych) partie na wyścigi zaczynają się „ludowić", pochylać z troską nad losem rolników, zapewniać, że „nie rzucim ziemi" (choć ta ziemia dawno sprzedana wielkim konglomeratom). W paru krajach Europy, w tym we Francji, dodano do szyldu resortu rolnictwa hasło „suwerenności żywnościowej".

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Dzieje się tak z uwagi na żywe w nas archetypy, sięgające daleko głębiej niż racjonalne wyjaśnienia, co i jak naprawdę człowiekowi dziś zagraża ze strony sił przyrody. Mamy nowy, wygodny, bo raczej nie kontrowersyjny kostium, w który można ubrać odruch niezgody na nowoczesność, podkarmić drzemiącego w każdym z nas reakcjonistę. Do niedawna nie wypadało w pewnych kręgach mówić wprost, że już basta z tym Zielonym Ładem, ale wypadało powiedzieć, że nie może on zagrażać wsi. Nie wypada powiedzieć, że może lepiej będzie, jak kobiety wrócą do kuchni i zaczną rodzić więcej dzieci, ale nie ma wstydu mówić, że się jest przeciwko GMO i dużym farmom.

I to nie jest tylko kostium dla tych, którzy sytuują się po prawej stronie politycznego spektrum. Niezgoda na to, że jedzenie nasze czeka jakaś przyszłość i że ta przyszłość, co prawda, nie będzie totalnie inna (chyba że się pojawi coś równie epokowego jak ziemniak), ale oznacza rozstanie z wieloma przyzwyczajeniami oraz iluzjami, np. z utopią „naturalnej żywności", jest językiem, którym mówią wielkomiejscy, raczej liberalni i postępowi obyczajowo klienci ekotargowisk i tak zwanych „alternatywnych sieci żywieniowych". Są to np. kooperatywy stanowiące grupy rekonstrukcyjne ogrodnictwa, rolnictwa i handlu spożywczego sprzed około stu lat (minus wyzysk, klasowe bariery oraz brud i zatrucia z tamtego czasu).

Wyparcie racjonalnego, wydyskutowanego w kompetentnych instytucjach założenia, że jeśli mamy uniknąć katastrofy, to wyjściem nie jest powrót do „dawnych sposobów", tylko jak najszybsza ucieczka do przodu – to jest reakcjonizm doskonale współgrający z mentalnością wielkomiejskiej lewicy, w swoim mniemaniu proekologicznej, unikającej samochodów i plastiku.

Być może cały ten, pełen sprzecznych interesów i wewnętrznych sprzeczności obraz niemogącej jeszcze się wydarzyć głębokiej przemiany w jedzeniu czeka na swój moment grozy, zderzenia ze ścianą. A potem? Może uda się go uniknąć, tak jak za czasów Malthusa czy Ehrlicha. Trudno to przewidzieć. Ale to że większość z nas dożyje całkiem innych bananów, to pewne.

©℗ PAWEŁ BRAVO

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Mamy się czym pochwalić: od piętnastu lat współorganizujemy **Conrad Festival** i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: **„xABo: Ksiądz Boniecki"** i **„Ukos światła"**. Prowadzimy akcję **„Lekcje czytania"** i pomagamy rozwijać **„Podkast Tygodnika Powszechnego"**.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego", a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

1,5%

Wspólnie z Tobą chcemy krok po kroku zmieniać świat na lepsze. Naprawdę

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Cherubiny*

Cherubinek? Już widzę mojego pięcioletniego siostrzeńca, z pucułowatą buzią okoloną bujnymi loczkami – doprawdy, brakuje tylko skrzydełek. Czyżby wizerunki takich dwóch malców miały znaleźć się na wieku Arki spoczywającej za zasłoną w najświętszym miejscu przenośnej Świątyni? „I wykonasz dwa cheruby złote, – kutej roboty wykonasz je na obu brzegach wieka. A niech będą to cheruby o rozpostartych w górę skrzydłach, okrywające skrzydłami swemi wieko, a twarzami swojemi zwrócone jeden ku drugiemu: ku wieku niechaj będą twarze cherubów" (Wj 25, 18 i 20; Cylkow). Dostojny cherub brzmi jak zgrubienie, gdzież tu więc miejsce dla dzieci? A jednak.

Arka zaginęła w pomroce dziejów i rabini epoki Talmudu nie mieli możliwości jej oglądać. Nie dziwi więc próba odtworzenia wyglądu postaci na jej wieku. „Czym jest cherub [*keruw*]? Rabin Abahu rzecze: »jak dziecko« [*ke-rawja*], albowiem w Babilonii nazywają dziecko *rawja*". Innymi słowy: w babilońskim aramejskim dziecko to *rawja*, zaś *ke-* to przedrostek oznaczający porównanie („jak") – stąd koncepcja, że cherubiny wyglądały jak skrzydlate dzieci. Choć gramatyka sugeruje, że „k" jest w *keruw* literą rdzenną, a nie przedrostkiem, pamiętajmy, że amorki nie pojawiły się dopiero w baroku i rabin Abahu niewątpliwie miał styczność z nieżydowską sztuką.

Z cherubinami spotkaliśmy się w Biblii już wcześniej: „I tak wygnał człowieka; i usadowił na wschód od ogrodu Eden Cherubów, i płomienny miecz, wirujący, dla strzeżenia drogi do drzewa życia" (Rdz 3, 24). Tu pełniły one funkcję strażników broniących dostępu do rajskiego ogrodu. Przywodzi to na myśl cherubiny z Salomonowej Świątyni: „Skrzydła tych cherubów rozciągały się na dwadzieścia łokci. Stały one na nogach, z twarzami zwróconymi ku przybytkowi" (2 Krn 3, 13; „Tysiąclatka"). Wedle podanego wymiaru musiały to być pokaźnej wielkości rzeźby. Skoro wchodząc, można było mieć wrażenie, że patrzą na nas, zapewne budziły zamierzony respekt.

Inaczej je sobie wyobrażał talmudyczny rabin Katina: „Kiedy Izraelici pielgrzymowali, zwijano dla nich zasłonę i widzieli cherubiny wtulone w siebie. Mówiono im: »Patrzcie – umiłowanie was przed Bogiem jest jak umiłowanie mężczyzny i kobiety«". Natomiast u proroka Ezechiela cherubiny posiadały po cztery oblicza (zob. Ez 1, 10).

Żydowski filozof wszechczasów wyjaśnił, że konieczne było umieszczenie w Przybytku pary cherubinów wraz z deklaracją „Wiekuisty, Bóg nasz, Wiekuisty – jedyny!" (Pwt 6, 4), by w zamierzchłych czasach nikomu nie przyszło do głowy, że to posąg bóstwa, któremu należy oddawać cześć. Chodziło natomiast o utwierdzenie wiary w stworzone przez Najwyższego anioły. Wierzmy więc w nie – bezcielesne? ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Piekielna machina*

Z dziesięciu przykazań osiem rozpoczyna małe słówko „nie", a wszystkie kończy wykrzyknik. Są tacy, według których dołączając przykazania kościelne, robimy rachunek sumienia. Liczymy i ważymy, ile razy, w jakich okolicznościach, z jaką intencją, z jaką świadomością te przykazania przekraczaliśmy. Z czasem ta kazuistyka zaczyna coraz mocniej doskwierać, męczyć, wreszcie nudzić. I jeśli jeszcze jakoś rewidujemy sumienie, to według tego, co uznamy za właściwe, a właściwe dlatego, „bo ja tak uważam".

A poza tym, po co się męczyć przykazaniami, sumieniem – to tylko psuje komfort psychiczny. Podobnie poczucie winy, przecież to przeżytek, zabobon wymyślony przez księży celem ujarzmienia wiernych. Psychologia już dawno rozprawiła się z tymi pseudoproblemami, które tylko obrzydzały ludziom życie.

Czasami tylko w nocy, kiedy nie wiadomo dlaczego nie można zasnąć, wyłażą jakieś dawne słowa, czyny, myśli, zaniedbania, i męczą człowieka do białego rana. Bywa, że już nie tylko nocą, ale i w dzień ta przeklęta karuzela złych wspomnień zgrzytając i zacinając się, coraz szybciej wiruje. Patrząc z perspektywy paru dziesiątków lat, muszę powiedzieć, że to nie kto inny, ale my, katecheci, kaznodzieje, a zwłaszcza spowiednicy tę piekielną machinę w ludzkich sumieniach uruchomiliśmy. Nie licząc się z przekonaniami wiernych, z przykazań, które przecież są wyrazem poszanowania ludzkiej wolności i troski Boga o nasz los, zrobiliśmy maszynerię do wymuszania chrześcijańskich zachowań. Nic to nowego.

Robiącym rachunek sumienia Ignacy z Loyoli radzi, żeby zaczynać od poszukiwania dobra, które dzięki naszym wysiłkom zaistniało i za które przede wszystkim należy się wdzięczność Bogu. Wiemy przecież, że każde dobro pochodzi od Boga i upewnia człowieka, że jest na dobrej drodze i nie marnuje życia, bo żyje i współpracuje z Bogiem. Tam, gdzie dobro, tam Bóg. Odnajdując w myślach, słowach i czynach to, co dobre, na tle tegoż dobra zobaczymy też zło, ale zobaczymy je we właściwych wymiarach i we właściwym świetle. Nie jako coś zewnętrznego, co się przykleiło do nas niby błoto do podeszwy, ale jako coś wewnętrznego, co siedzi w nas, w naszym sercu, czyli w naszym mózgu, w sposobie myślenia. Paweł Apostoł radzi: „Przemieniajcie się poprzez odnowę myślenia, aby rozeznać, jaka jest wola Boża, co szlachetne, co miłe, co doskonałe".

Jeśli, jak wierzymy, jesteśmy świątynią Boga, której daleko do doskonałości, to nie dziwmy się, że Syn Boży co jakiś czas na siłę doń wchodzi i krzyczy: „Nie róbcie targowiska z domu mego Ojca!", a przyczyną kryzysu Kościoła jest spełnianie się prośby: „Przyjdź, Panie Jezu!". ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Niniwa

„Pan przemówił do Jonasza po raz drugi tymi słowami: Wstań, idź do Niniwy, wielkiego miasta, i głoś jej upomnienie, które ja ci zlecam. Jonasz wstał i poszedł do Niniwy, jak powiedział Pan. Niniwa była miastem bardzo rozległym – na trzy dni drogi. Począł więc Jonasz iść przez miasto... i wołał, i głosił: Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa zostanie zburzona”.

Dobrze jest – odczytując czy proklamując ten fragment Księgi Proroka Jonasza (Jon 3, 1-4) – sięgnąć do tekstu hebrajskiego. Zdanie oddane w polskim tekście lekcjonarza jako „Niniwa była miastem bardzo rozległym” – w oryginale hebrajskim brzmi: „Niniwa była miastem wielkim przed Bogiem” (lub „wielkim dla Boga”, a nawet „wielkim miastem Boga”)! Wszystkie te tłumaczenia nie odnoszą się raczej do „rozległości” Niniwy („na trzy dni drogi”); mówią raczej o szacunku, jaki Bóg żywi dla tego miasta – o godności, którą w nim dostrzega.

To bardzo piękne: Bóg posyła do Niniwy proroka z upomnieniem (!) – to znaczy widzi zło, jakiego się dopuszcza; to zło nie potrafi Mu jednak przesłonić jakiegoś podstawowego dobra, wielkości, godności, jakie w niej się kryją. Przeciwnie. Może właśnie dlatego, że widzi w niej wielką wartość, wysyła do niej Jonasza, by ją ratował przed samozniszczeniem.

Jonasz zapewne widzi Niniwę kompletnie inaczej niż Bóg. Dla niego Niniwa nie jest „wielkim miastem przed Bogiem” i na pewno nie jest „wielkim miastem Boga” – jest wcieleniem wszystkiego, co złe; jest śmiertelnym wrogiem; jest znienawidzoną stolicą nieprzyjaciół. Nie żywi do niej szacunku; przeciwnie, raczej nimi gardzi. Nie rozumie też Bożej łagodności i miłosierdzia.

Właśnie dlatego – zanim wejdzie do Niniwy ze słowem upomnienia – musi koniecznie nabrać przekonania o jej wielkości. Nie może głosić upomnienia ludziom, których nie szanuje. I którzy nie stanowią dla niego wartości.

To reguła obowiązująca każdego: Nie upominaj bez szacunku. Nie „wytykaj zła” ludziom, w których nie widzisz dobra i fundamentalnej godności.

Poza wszystkim, upomnienie jest (według Katechizmu) uczynkiem miłosierdzia (a więc miłości, która przekracza daleko granice wzajemności). A więc: jeśli nie kochasz – nie upominaj. Siedź cicho. Bóg Cię nie posłał! ©

Jeśli chcesz mieć nasiono, musisz rozbić łupinę. Jeśli chcesz znaleźć nagą naturę, muszą odpaść podobieństwa. Im głębiej przenikniesz do wnętrza, tym bliżej będziesz istnienia.

MISTRZ ECKHART

Droga poznania prowadzi od pytania: „Kim jestem?”, do słów: „Nie wiem, kim jestem”, a potem do: „Może nie jestem”, „Odnajdę siebie”, „Jestem tym, kim się widzę” i wreszcie do: „Jestem”.

ABU HASAN ASZ-SZADILI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 III)

3. niedziela Wielkiego Postu:
Wj 20, 1-17; Ps 19; 1 Kor 1, 22-25; J 2, 13-25;
Poniedziałek: Syr 51, 13-20
lub Flp 3, 8-14; Ps 15; J 15, 9-17;
Wtorek: Dn 3, 25. 34-43; Ps 25; Mt 18, 21-35;
Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147B; Mt 5, 17-19;
Czwartek: Jr 7, 23-28; Ps 95; Łk 11, 14-23;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 81; Mk 12, 28b-34;
Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;
4. niedziela Wielkiego Postu:
2 Krn 36, 14-16. 19-23; Ps 137;
Ef 2, 4-10; J 3, 14-21.

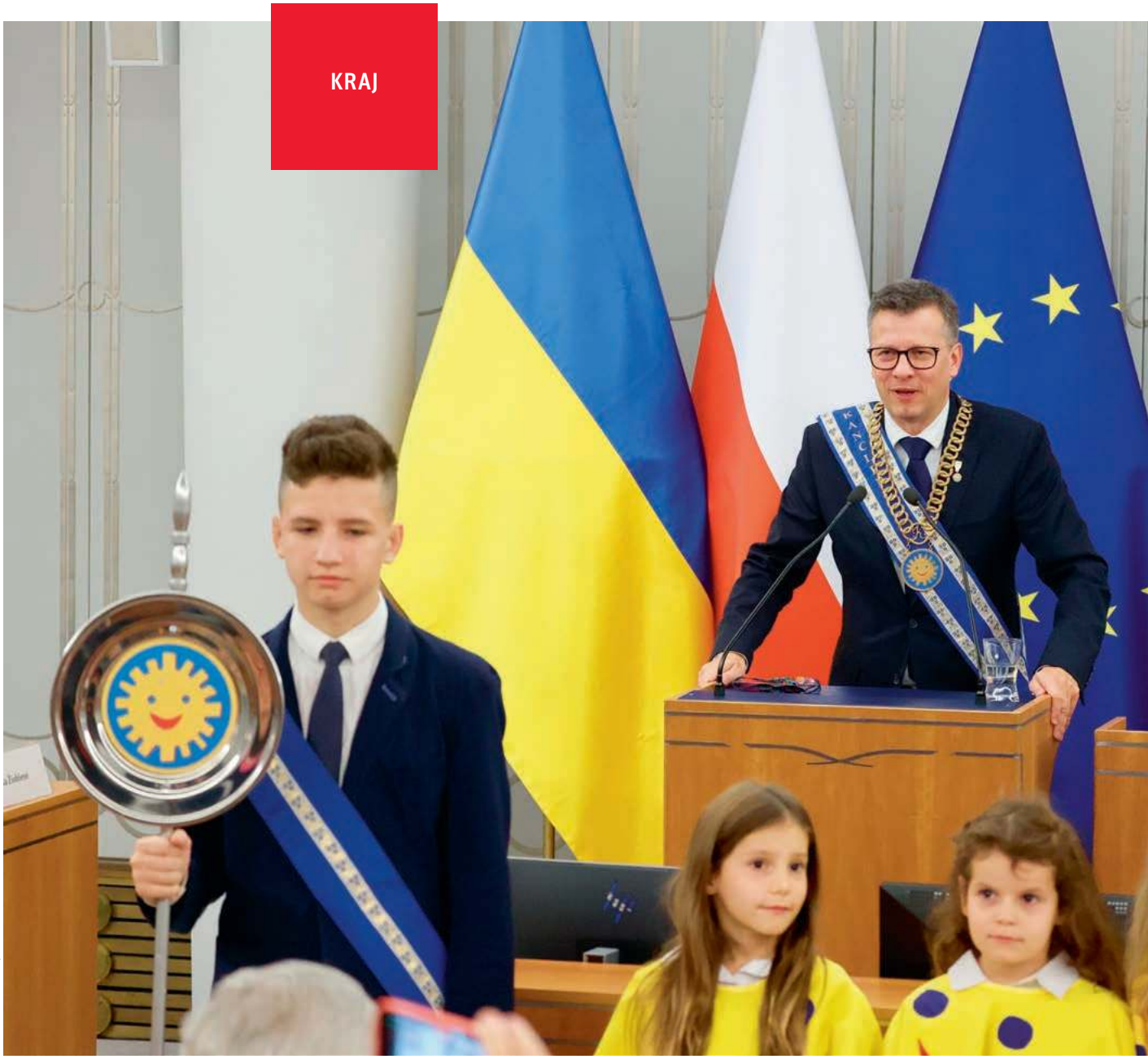

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

ZABAWKI KANCLERZA

Order Uśmiechu to przykład manipulacji, a nie partycypacji dzieci. Jest mitem stworzonym wbrew zasadom etyki i prawdy historycznej, za to mocno promowanym przez obecnego przewodniczącego Kapituły.

ANNA GOLUS

Żądam, abyś na przekór wiatrom i burzom był zawsze pogodny i radość dzieciom przynosił. Czy przyrzekasz?" – choć tej obietnicy w praktyce nie da się spełnić, złożyło ją już ponad tysiąc osób, które dołączyły do „elitarnej grupy dorosłych, jaką są Kawalerowie Orderu Uśmiechu". Są wśród nich lekarze, pisarze, politycy, społecznicy, celebryci, pedagodzy, aktorzy i duchowni. Podczas ceremonii wręczenia orderu musieli wygłosić przyrzeczenie i wypić bez skrzywienia ust sok z cytryny, po czym promiennie się uśmiechnąć. Dorośli, którzy przyznają tę odznakę, zapewniają, że robią to na wniosek dzieci, i że to wyraz podmiotowego ich traktowa-

Marek Michalak na Międzynarodowej Konferencji Korczakowskiej, podczas której odbyło się wręczenie Orderu Uśmiechu Marcie Santos Pais – byłej pełnomocniczce ONZ ds. obrony praw dzieci.

nia oraz „realizacji testamentu Janusza Korczaka". Czy rzeczywiście?

Piękna legenda

„Myślisz, że dzieci nie napisałyby wniosku na nią? Jestem pewien, że zasypałyby nas listami" – powiedział Cezary Leżeński, gdy ktoś przypomniał mu, że Ewa Szelburg-Zarembina otrzymała Order Uśmiechu na wniosek Kapituły, a nie dzieci. Cytat pochodzi z książki „Za jeden uśmiech" Leżeńskiego, który niemal od początku współtworzył to odznaczenie jako akcję społeczną „Kuriera Polskiego", czasopisma Stronnictwa Demokratycznego. W latach 1969-1981 był redaktorem naczelnym tej gazety, a poetka została pierwszą przewodniczącą Kapituły Orderu Uśmiechu.

Pomysł zrodził się w redakcji „Kuriera Polskiego" w 1967 r., po publikacji wywiadu z Wandą Chotomską, pisarką i autorką tekstów do obchodzącej wówczas pięciolecie dobranocki „Jacek i Agatka". Chotomska wspomniała w nim o spotkaniu z dziećmi w sanatorium rehabilitacyjnym.

„Po imprezie odwiedziłam w poszczególnych salach te dzieci, które nie mogły opuszczać łóżek – mówiła. – W pewnej chwili zatrzymałam się przy chłopcu, który mimo bardzo ciężkiego stanu zdrowia był pogodny i uśmiechnięty. I właśnie on w rozmowie na temat audycji nagle mnie zapytał: »Dlaczego właściwie nie ma orderu uśmiechu? Powinien być – i pierwszy taki order dałbym Jackowi!«" (cyt. za Leżeńskim).

Pomimo tego, że chłopiec chciał przyznać order postaci z bajki, a nie żadnemu dorosłemu, historia ta stała się zaczynem mitu założycielskiego, wedle którego odznaczenie powstało z inicjatywy dziecka i jest nadawane dorosłym przez dzieci. Leżeński współtworzył ten mit, ale w swojej książce przyznaje, że to nie wspomniany chłopiec „jak głosi piękna legenda, zaproponował, by Order nadawały dzieci swym dorosłym przyjaciołom. Chciał go tylko dać wesołej, wzruszającej laleczce".

Książka została wydana w 1996 r., gdy Leżeński od prawie 30 lat był już członkiem Kapituły. I choć od tak dawna nadawał odznaczenia „w imieniu dzieci", wciąż nie rozumiał, dlaczego chłopiec chciał przyznać order tylko Jackowi. „Dlaczego nie obydwojgu: Jacusiowi i Agatce? – zastanawiał się. – Może był w wieku, w którym nie lubi się dziewcząt i ciągnie je za warkocze albo przezywa...".

Niedługo minie kolejne 30 lat, ale dorośli przyznający odznakę (ostatnio „w imieniu dzieci świata") wciąż roztrząsają tę sprawę. Na stronie orderu piszą: „Dlaczego tylko Jacusiowi (...) – tego nikt nie wie. Może chłopiec był antyfeministą i nie lubił nawet małych kobiet?".

Wystarczy obejrzeć choć jeden odcinek „Jacka i Agatki", by dostrzec, że kontrast między bohaterami jest uderzający wcale nie ze względu na płeć. Chłopiec chciał przyznać order Jackowi zapewne dlatego, że tak naprawdę tylko ta postać jest w bajce dzieckiem, które dopiero zaczyna poznawać świat. Jackowi autograf bardziej się kojarzy z marką samochodów niż z podpisem osoby, którą uważa się za ważniejszą od innych. Agatka zaś jest starszą siostrą Jacka, ale zachowuje się jak zrzędliwa dorosła. Wciąż go strofuje i poucza.

Chaos w dokumentach

Procedura nadawania Orderu Uśmiechu teoretycznie polega na tym, że dzieci składają wnioski, a decyzje podejmują dorośli. W Kapitule nie ma jednak żadnych dzieci, a jak pokazuje przykład Szelburg-Zarembiny, order mógł być przyznany wręcz bez ich wniosku. Leżeński nie wspomina, czy to była jedyna taka sytuacja, ale opisuje przypadek, w którym z inicjatywą nadania orderu wystąpiły nie dzieci, lecz telewizja. W 1993 r. do Leżeńskiego zadzwonił „pewien telewizyjny facet", który zażądał przyznania orderu przebywającemu wówczas w Polsce Stevenowi Spielbergowi i zapewnił, że wniosek dzieci będzie za parę dni. Zanim wpłynął, informacja o tym orderze już była rozpowszechniana w mediach.

Odznaczenie dla Spielberga było pierwszym, które Kapituła przyznała jako organizacja niezwiązana z redakcją „Kuriera Polskiego". W 1992 r. została zarejestrowana jako odrębny podmiot prawny – stowarzyszenie Kapituła Orderu Uśmiechu, na czele którego stoi kanclerz. Do 2006 r. funkcję tę pełnił Leżeński. Obecnie organizacja nosi nazwę Międzynarodowa Kapituła Orderu Uśmiechu, a na jej czele od 2007 r. stoi Marek Michalak, który jako Rzecznik Praw Dziecka (2008-2018) witał kolejne odznaczone orderem osoby (co najmniej kilka) w urzędowych pismach RPD.

Zmiana kanclerza została zgłoszona do Krajowego Rejestru Sądowego, ale później dane stowarzyszenia nie były aktualizowane ani razu. W KRS wciąż widnieją nazwiska osób, które zasiadały we władzach 17 lat temu (kilka już nie żyje), choć wszelkie zmiany powinny być zgłaszane w terminie 7 dni, a niewywiązanie się z tego obowiązku stanowi powód do podjęcia przez organ nadzoru – Prezydenta m. st. Warszawy – czynności ↦

nadzorczych wobec stowarzyszenia. Również na stronie stowarzyszenia znajdują się nieaktualne dane. Najnowsze informacje (z 2022 r.) o członkach i władzach stowarzyszenia można znaleźć na Facebooku. Przewodniczącą Komisji Rewizyjnej została wówczas sędzia w stanie spoczynku Anna Maria Wesołowska. Jej nazwiska nie ma w KRS.

Wybiórcza historia

W książce „Order Uśmiechu – wspólny świat dzieci i dorosłych" (wyd. 2020 r.) Marek Michalak podtrzymał mityczną opowieść o dziecięcej nominacji dla Szelburg-Zarembiny, choć powinien wiedzieć, że tej nominacji nie było, bo korzystał z publikacji Leżeńskiego. O Spielbergu pisał, że „po wypiciu z pucharu soku cytrynowego oznajmił: »Jest to najsłodszy sok cytrynowy, jaki kiedykolwiek piłem«", cytując go za Leżeńskim. Nie wspomniał jednak o tym, że order dla niego wymyśliła telewizja.

Z książki Michalaka nie dowiemy się też, że właściwie nie wiadomo, ile orderów przyznano, bo – jak mętnie wyjaśnia Leżeński – pierwsza Kapituła, funkcjonująca przy „Kurierze Polskim", „nadała około 380 orderów, ale wskutek nieuporządkowania archiwum trudno było stwierdzić, jaki kolejny numer legitymacji należy wpisać Spielbergowi". Uznano, że numeracja orderów przyznawanych już przez stowarzyszenie zacznie się od 401.

Michalak pisze z kolei, że „Order Uśmiechu w latach 1968-2020 przyznano 1043 osobom", ale na liście odznaczonych zamieszcza 1039 nazwisk. W dodatku brakuje tam ośmiu laureatów (np. ks. Bogdana Wegnerowskiego, Billa i Hillary Clintonów) wymienionych w wydanej w 2003 r. i znanej Michalakowi książce „Fenomen Orderu Uśmiechu" Henryka Łyczka, byłego sekretarza stowarzyszenia.

Nie dowiemy się też, ile wniosków o order zostało odrzuconych (i dlaczego), a także – ile ich czeka na rozpatrzenie (na stronie Kapituły czytamy, że co roku wpływa od kilkuset do tysiąca wniosków, co oznacza, że pozytywnie rozpatrzono nikły procent). Autor nie wspomniał też o ciekawym przypadku Jerzego Owsiaka. Otrzymał on order w 1993 r., ale przyjął go po 25 latach, bo wcześniej uważał, że „ktoś tu uwija sobie prywatny biznes, że ci ludzie chcą zaistnieć. (...) Karykaturalnie to wygląda: loża starców przebrana w jakieś dziwne insygnia, wyglądało, że dzieci służą tam jedynie do dekoracji".

W książkowej opowieści Michalaka nie ma historii wręczenia orderu Janowi Pawłowi II, który otrzymał go bez żadnej ceremonii, i to z rąk polityków (m.in. Edwarda Kowalczyka, ówczesnego przewodniczącego Stronnictwa Demokratycznego), a nie Kapituły. Jak było naprawdę, dowiadujemy się z publikacji Leżeńskiego: „Kowalczyk wolał, by cały splendor dekoracji papieża i profit z tego płynący spadł na niego, a nie na jakąś tam Kapitułę".

Order dla innego papieża, Franciszka, Michalak wręczył za to osobiście, w towarzystwie nie wnioskodawców, lecz własnych dzieci. Ich życie zresztą niedawno zbeletryzował, czyniąc bohaterami swoich utworów i w jednym z opowiadań pisząc, że dzieci mają „prawo do nadawania Orderu Uśmiechu", co przecież jest fikcją.

Michalak w swej książce zataił wiele informacji, które mogłyby utrudnić mu budowę wiarygodnego mitu Orderu Uśmiechu jako odznaczenia przyznawanego na wniosek dzieci i świadczącego o podmiotowym ich traktowaniu. I można by powiedzieć, że to jego autorskie prawo. Problem w tym, że książka jest opublikowaną wersją jego doktoratu, obronionego w 2019 r. na Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie.

„Pasja i rzetelność"

Publikacja została wyróżniona w konkursie Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego na wybitną monografię naukową z zakresu nauk pedagogicznych lub nauk pokrewnych za rok 2020. W uzasadnieniu czytamy, że obie wyróżnione wówczas monografie „cechuje bardzo wysoki poziom teoretyczny i metodologiczny", „nacechowane są pasją badawczą i rzetelnością naukową", „napisane są z zachowaniem najwyższych wymagań etycznych".

„Uwagę zwraca bogactwo przypisów, co świadczy o rzetelności Autora dysertacji przy prezentowaniu opinii" – napisał w recenzji doktoratu Michalaka ks. prof. Stanisław Dziekoński. W opublikowanej rozprawie przypisów jest 1310, w tym ok. 220 takich, których bez zgody Michalaka nie da się zweryfikować, gdyż odsyłają do dokumentacji stowarzyszenia. Zdarzają się też przypisy wprowadzające w błąd. Jeden z nich odsyła do książki Michalaka pt. „...Najważniejsze w świecie i w życiu jest Dobro" (Warszawa 2018, wyd. Rzecznik Praw Dziecka). Kłopot w tym, że takiej książki nie ma, a jedyny tekst autora pod takim tytułem to artykuł o objętości 2,5 strony opublikowany w czasopiśmie APS „Praca socjalna" (nr 1/2018, współfinansowany przez RPD w czasie, gdy Michalak miał tam otwarty przewód).

Oprócz studium przypadku Orderu Uśmiechu Michalak dokonał w swej pracy analizy biografii wybranych osób należących do „elitarnej grupy dorosłych, jaką są Kawalerowie Orderu Uśmiechu", z zastosowaniem metody Fritza Schützego. Metoda ta wymaga jednak przeprowadzenia bezpośredniej rozmowy, tzw. wywiadu narracyjnego, tymczasem Michalak po prostu wysłał do kilkudziesięciu osób ankiety z pytaniami w stylu: „W jakich okolicznościach dowiedział/-a się Pan/Pani, że został Panu/Pani przyznany Order Uśmiechu?", „Jak zareagowała Pani/Pana rodzina, bliscy, przyjaciele, współpracownicy?". Części ankietowanych nie poinformował nawet, że prowadzi badania naukowe na potrzeby doktoratu (prosił o wypowiedzi do książki), a w swojej analizie uwzględnił też odpowiedzi udzielone przez męża zmarłej w 2017 r. laureatki orderu Jolanty Chmielik, do której wysłał ankietę rok po jej śmierci.

Analizując odpowiedzi tych osób, Michalak stosował terminy z teorii Fritza Schützego, ale najwyraźniej bez zrozumienia jego koncepcji „trajektorii". Termin ten dotyczy doświadczeń trudnych, negatywnie wpływających na życie czło-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

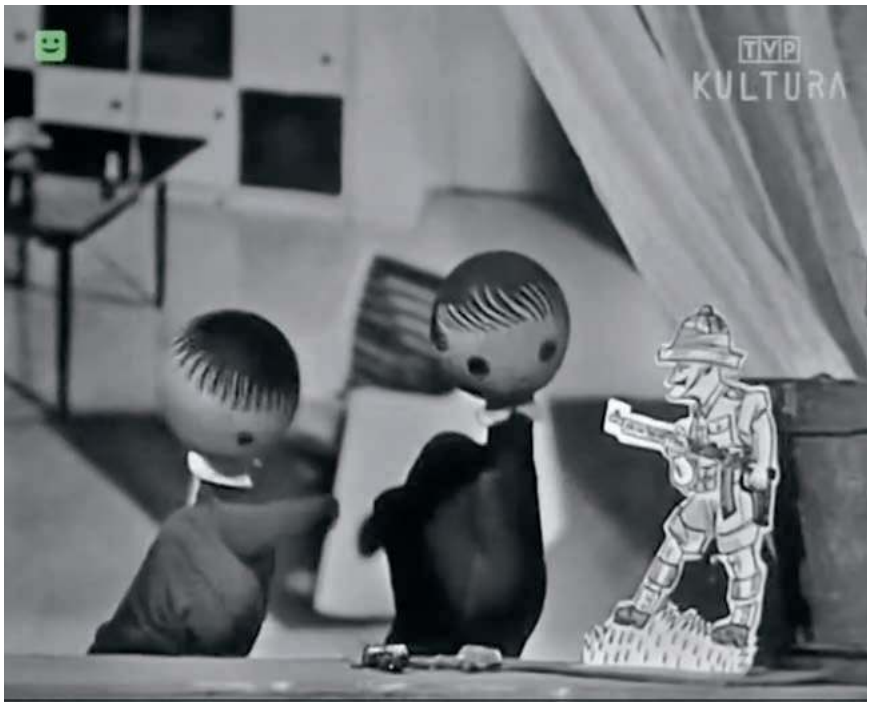

MATERIAŁY PRASOWE TVP

Kadr z dobranocki „Jacek i Agatka”

wieka lub społeczności, Michalak zaś określa tym mianem doświadczenia pozytywne.

Według samego Schützego „proces trajektorii charakteryzuje się doświadczaniem coraz boleśniejszego i w coraz większym stopniu pozbawionego wyjścia cierpienia. Dotknięci trajektorią są w coraz mniejszym stopniu zdolni do aktywnego działania, są natomiast niejako pędzeni przez – odbierane jako przytłaczające – wydarzenia”. Michalak pisze natomiast o... „trajektorii Orderu Uśmiechu” oraz o „potencjale trajektoryjnym Korczaka”.

Niewygodne pytania

Co na to recenzenci? Prof. Tadeusz Pilch (UW) „z aprobatą odnosi się do warsztatu badawczego doktoranta”, a ks. prof. Stanisław Dziekoński (UKSW) wspomina o „wielkim kunszcie metodologicznym promotora” (prof. Barbary Smolińskiej-Theiss). Ta druga recenzja zasługuje zresztą na uwagę również ze względu na fakt, że jej znaczna część stanowi po prostu kompilację obszernych fragmentów skopiowanych – bez cudzysłowu – z recenzowanego doktoratu. Dziekoński skopiował np. zdanie: „Te unikalne badania biograficzne były prowadzone w perspektywie teorii struktur poznawczych Fritza Schützego” (z błędem, bo chodzi o struktury procesowe) czy stwierdzenie, że „znaczącym i wyraźnie akcentowanym momentem trajektoryjnym w biografii Kawalerów Orderu Uśmiechu było zetknięcie się z myślą Janusza Korczaka”.

Zapytałam księdza profesora, dlaczego tak zrobił. W nadesłanej odpowiedzi zarzucił mi nieobiektywność, za to sobie nie miał nic do zarzucenia, bo jego zdaniem recenzja doktoratu „nie jest dziełem naukowym w ścisłym sensie. Jest jedynie (...) utworem o charakterze odtwórczym, nie wnoszącym nic nowego poza – opartą na wiedzy i doświadczeniu, ale jednak mającą charakter subiektywny – opinią”. Wprawdzie „świadomie przywoływał wręcz literalnie te fragmenty dysertacji, które w jego przekonaniu miały szczególną wartość”, ale dodawał sformułowania w stylu „słusznie podkreśla Autor”. Jeśli natomiast chodzi o „kunszt metodologiczny”, Dziekoński przypomniał, że rozprawa i książka Michalaka były recenzowane przez „wybitnych profesorów”, i wyraził przekonanie, że jego opinia „wpisuje się w stanowisko najbardziej elitarnej części środowiska pedagogicznego”.

Rzecznik prasowy APS Piotr Toczyski po zapoznaniu się z zestawieniem fragmentów recenzji i doktoratu napisał, że „Akademia nie komentuje konkretnych spraw ponad to, co zawierają publicznie dostępne uchwały”, a od siebie dodał, że „gdyby recenzja była lakoniczna, mało użyteczna, komisja [doktorska] mogłaby wnioskować o zmiany w niej lub o stworzenie nowej recenzji. W tym przypadku najwyraźniej takich potrzeb nie było”.

W imię Korczaka

Doktorat Michalaka został wydany w 2020 r. przez stowarzyszenie Międzynarodowa Kapituła Orderu Uśmiechu dzięki wsparciu fundacji żony autora i firmy jego brata. Wydawca zajmuje się też jego dystrybucją i informuje, że „Całkowity dochód ze sprzedaży książki Autor (zrzekając się ew. honorariów autorskich) przeznaczył na działalność Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu”.

Publikacja została objęta honorowym patronatem Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka i Instytutu Praw Dziecka im. Janusza Korczaka. Na stronie instytutu czytamy, że jest to „podmiot powołany przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Janusza Korczaka i Międzynarodową Kapitułę Orderu Uśmiechu w grudniu 2018 r., aby szerzyć ideę podmiotowości dziecka i promować prawa dziecka”. Obu tym stowarzyszeniom przewodniczy Marek Michalak, który jest również inicjatorem i dyrektorem instytutu oraz członkiem jego rady naukowej.

Michalak pisał w swojej książce, że w instytucie tym przechowywana jest dokumentacja stowarzyszenia przyznającego Order Uśmiechu. Początkowo instytut miał lokal w Warszawie, obecnie jednak nie ma ani siedziby, ani osobowości prawnej, i nie wiadomo, czym w ogóle jest. Jego sekretarz, Magdalena Bogdańska-Maciak pisze, że to „projekt społeczny”, a Michalak nie odpowiada mi na pytanie, na czym polega jego podmiotowość. Nie odpowiedział zresztą na żadne moje pytanie, a jego pełnomocnik prawny, Grzegorz Nowicki „uprzejmie przypomina o obowiązku ograniczenia publikacji do prawdziwych, zweryfikowanych informacji”.

■■■

Najwyższy stopień tzw. drabiny partycypacji społecznej dzieci autorstwa Rogera Harta oznacza projekty inicjowane przez dzieci i realizowane w partnerstwie z dorosłymi. Najniższy stopień, czyli manipulacja, polega na tym, że dorośli wykorzystują dzieci do wsparcia swoich projektów i udają, że są one inspirowane przez dzieci. Gdzie umieścilibyście Order Uśmiechu?

© ANNA GOLUS

Inny niż wszyscy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Władysław Kosiniak-Kamysz to osobna kategoria w polskiej polityce. Etyczny, bez przerośniętego ego, dotrzymujący umów. Jak mógł zajść tak wysoko?

Działa w wielkiej polityce od dawna, ale jeszcze niedawno nie był uważany za lidera wagi ciężkiej, jak Tusk czy Kaczyński. Dziś Władysław Kosiniak-Kamysz powoli pnie się w górę z pozycji wicepremiera i szefa MON, kreując wizerunek męża stanu zatroskanego losem Polski, starającego się unikać doraźnych sporów i deklarującego otwarcie współpracę z prezydentem.

Jego współpracownicy przekonują, że obraz lekko wycofanego, spolegliwego polityka nie do końca pokazuje prawdziwe oblicze Kosiniaka, którego cechuje wyjątkowa polityczna odwaga. I tak jak kiedyś podwyższył wiek emerytalny, tak dziś nie zawaha się przywrócić powszechnego poboru do wojska, jeśli będzie trzeba.

Objęcie fotela ministra obrony narodowej wielu obserwatorów uznało za zaskoczenie. Kosiniak wypłynął politycznie na sprawowaniu funkcji ministra pracy w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz, więc bez problemu mógłby wrócić do tego resortu. Z zawodu jest doktorem nauk medycznych, więc mógł zostać ministrem zdrowia; w ostateczności oczywiście ministrem rolnictwa. Ale obrona i armia?

Wyjść z roli przystawki

Wieloletni parlamentarzysta, który z Kosiniakiem zasiadał w klubie Koalicji Polskiej, przekonuje, że na długo przed wyborami prezes PSL z najbliższymi współpracownikami planował „wizerunkowe wyjście z gumofilców". Początkowo planował walkę o MSZ, ale kandydatura obytego w polityce międzynarodowej Radosława Sikorskiego była poza dyskusją. Posada zastępcza okazała się jednak równie atrakcyjna.

Gdy informacje o MON się potwierdziły, zaczęto spekulować, że lider PSL chce zdobyć naturalny, omijający premiera kanał kontaktów z prezydentem Andrzejem Dudą, którego zna jeszcze z Krakowa. Poza tym wiadomo było, że Kosiniak liczy, iż funkcja ministra obrony, strzegącego naszego bezpieczeństwa w porozumieniu z Pałacem, politycznie „dociąży" i jego, i partię.

Znaczenie miało to, jak przyznaje jeden z polityków koalicji rządowej, że MON to „państwo w państwie", z własnymi służbami, własnymi szpitalami, a przede wszystkim masą posad, które można rozdać partyjnym działaczom, wygłodniałym przez osiem lat w opozycji, a wcześniej przyzwyczajonym do dobrze płatnych synekur.

Niezwykle ważne jest też stanowisko wicepremiera; ma ono znaczenie nie tylko protokolarne. Lider PSL jest formalnie bezpośrednim zastępcą Tuska i pod jego nieobecność wykonuje jego obowiązki. Pierwszy raz stało się to podczas wypadu Tuska na narty, gdy zaczął już eskalować protest rolników. Kosiniak niemal codziennie występował wtedy w mediach i dawał sobie dobrze radę odpierając zarzuty PiS. Przypominał, że unijny komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski, będący nominatem PiS, jeszcze dwa lata temu mówił, że odrzucany przez rolników Zielony Ład to „program PiS przeniesiony do Brukseli".

W spór z poprzednikami wszedł też w MON. Zarzuca im nieprzygotowanie aktualnych dokumentów strategiczno-planistycznych mimo trwającej wojny rosyjsko-ukraińskiej, dokonywanie zakupów sprzętu bez właściwego rozeznania potrzeb oraz wyrzucanie milionów na wątpliwą działalność podkomisji smoleńskiej. Posunął się też do kpin ze swojego poprzednika Mariusza Błaszczaka i jego mapy z nowymi jednostkami wojskowymi. Nominat PiS wyrażał nadzieję, że za kadencji Kosiniaka ich nie ubędzie. Wizja lokalna dowiodła, że w miejscu wielu z nich są pola i łąki, co nowy minister zilustrował, pokazując posłom fotografie.

Kolejne wystąpienia prezesa PSL, w tym na komisji sejmowej, nawet dla posłów znających sprawy armii były zaskakująco kompetentne. Kosiniak zaprezentował swoją wizję armii, zapowiedział m.in. przełom technologiczny, zakupy tysięcy dronów, a także podporządkowanie Wojsk Obrony Terytorialnej Sztabowi Generalnemu, a nie MON – co było ważnym gestem w stronę kadry generalskiej, uznającym jej podmiotowość.

Szef klubu poselskiego Polski 2050 Mirosław Suchoń zwraca uwagę na zmianę stylu zarządzania machiną MON. Widać to było przy okazji zamieszania z rosyjską rakietą, która na moment znalazła się na polskim terytorium. Sprawy nie ukrywano, jak w podobnym przypadku w epoce PiS, ale od razu uruchomiono stosowne procedury, doszło do spotkania w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, a o wszystkim poinformowano media.

Nie było sprawy

Wartość marki Kosiniaka zaczęła mocno rosnąć jeszcze przed ostatnimi wyborami, gdy pojawiły się sugestie zaniepokojonych wizją porażki polityków PiS, proponujących w zakulisowych rozmowach koalicję rządową, z ofertą stanowiska premiera dla lidera ludowców. – Kosiniak-Kamysz miał wtedy swoje pięć minut i mógł zagrać o funkcję premiera. Niestety, wybrał rząd Tuska, w którym nie ma żadnej samodzielności – przekonuje Zbigniew Kuźmiuk z PiS, dawny polityk PSL.

– Nie było żadnej oferty objęcia fotela premiera. Zresztą, z kłamcami się nie negocjuje – mówi z kolei Miłosz Motyka, rzecznik PSL, obecnie wiceminister klimatu i środowiska. Posłanka Urszula Pasławska dodaje, że nawet przez moment partia nie rozpatrywała złamania zobowiązań wobec KO i lewicy, a jedynym celem było zawsze odsunięcie PiS od władzy.

Koalicja z PiS była niemożliwa z uwagi na politykę „spalonej ziemi", jaką praktykował Kaczyński przez osiem lat rządów wobec pozostałych ugrupowań. Klub PSL, na którego czele w 2015 r. stanął nowy prezes Kosiniak, nie otrzymał jako jedyny stanowiska wicemarszałka Sejmu. W czasie swoich rządów PiS zaczął też skutecznie przejmować wiejski elektorat ludowców. Tego lider PSL nie zapomniał.

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Przed spotkaniem ministra Władysława Kosiniaka-Kamysza z generałami i prezydentem w BBN. Warszawa, 29 grudnia 2023 r.

– Kosiniak-Kamysz jest jedynym politykiem tego szczebla, który tak mocno kieruje się kryteriami etycznymi. Kaczyński czy Tusk są w stanie dla władzy zrobić prawie wszystko, choć różni ich styl. Władek nie – uważa jeden z parlamentarzystów z klubu ludowców. Inni żartują, że kariera Kosiniaka to jeden z nielicznych przykładów pozytywnego nepotyzmu. Obecny prezes PSL jest bowiem synem Andrzeja Kosiniaka-Kamysza, wieloletniego działacza ZSL i PSL, ministra zdrowia w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Minister z przypadku

O awansie młodego, zaledwie 30-letniego lekarza na funkcję ministra pracy w drugim rządzie Donalda Tuska (po wyborach w 2011 r.) zdecydował zbieg okoliczności. Były prezes PSL Janusz Piechociński przypomina, że dotychczasowa minister Jolanta Fedak nie dostała się do Sejmu, więc pod jego naciskiem kierownictwo partii uznało, że trzeba znaleźć kogoś nowego, z młodszego pokolenia. Padło na lekarza z Krakowa.

Jako minister pracy wsławił się wprowadzeniem wielu prospołecznych rozwiązań, takich jak np. „kosiniakowe" (zasiłek dla niepracujących matek). Jednak najbardziej zapamiętany został z podwyższenia wieku emerytalnego, choć decyzja ta była forsowana głównie przez PO, a PSL miało wątpliwości. Gdy jednak zapadły koalicyjne ustalenia, na młodego ministra spadła rola wykonawcy. Nie wiadomo, czy wykazał się wtedy odwagą, czy też małą asertywnością wobec Tuska, ale doświadczenie zapamiętał. Tak samo było ze spotkaniami z protestującymi rodzicami osób niepełnosprawnych w 2014 r. Wydawał się wtedy zupełnie pogubiony, ale w przyszłości już takich błędów nie popełnił.

Na stanowisku Kosiniak przetrwał pełną kadencję Sejmu, zarazem wspinał się też po szczeblach kariery partyjnej. Jeszcze za Waldemara Pawlaka został wiceprezesem PSL, a gdy ten ostatni na kongresie w końcu 2012 r. przegrał bój o prezesurę z Piechocińskim, zaczął zdradzać jeszcze wyższe aspiracje.

Przed wyborami w czerwcu 2015 r. żądny zemsty Pawlak zainspirował „pucz" w radzie naczelnej. Kandydatem na nowego prezesa był nie kto inny jak młody minister pracy. Wtedy się nie udało, ale do wymiany Piechocińskiego na Kosiniaka doszło po wyborach, w których PSL ledwie przekroczył 5-procentowy próg, a prezes partii nie zdobył nawet mandatu.

To, że Kosiniak był lekarzem i politykiem miejskim, wniosło nową jakość do wizerunku ludowców, którzy przestawali być kojarzeni z partią klasową, a zaczęli nabierać cech typowej chadecji. – W czasach, gdy Grzegorz Schetyna stał na czele PO, ktoś trafnie zauważył, że Kosiniak-Kamysz bardziej pasowałby na szefa PO, a Schetyna na szefa PSL – mówi jeden z parlamentarzystów.

Po porażce Koalicji Europejskiej w wyborach do europarlamentu w 2019 r. (sojusz PO, PSL, SLD, Nowoczesnej i Zielonych) do wyborów parlamentarnych w tym samym roku PSL wystartował w formule „Koalicji Polskiej" – porozumieniu z drobnymi ugrupowaniami, tworzonymi głównie przez dysydentów z PO. Takich jak Marek Biernacki, wyrzucony z klubu PO za konserwatywne poglądy w sprawie aborcji. – Gdyby nie Kosiniak-Kamysz, nie byłoby mnie dziś w parlamencie – przyznaje Biernacki.

Prezes PSL ściągał konserwatystów z PO, bo chciał stworzyć wrażenie, że wokół PSL tworzy się nowe polityczne centrum. W końcu jednak głównym koalicjantem został Kukiz'15. Okazało się to strzałem kulą w płot, bo Kukiz i jego ludzie szybko opuścili wspólny klub, by stać się zapleczem rządzącego PiS.

Rachunek za zasady

Najcięższym doświadczeniem w politycznej karierze szefa PSL były wybory ↦

prezydenckie w 2020 r. Aktywną kampanię rozpoczął już w listopadzie poprzedniego roku, a gdy po wybuchu wiosną pandemii covid zrezygnowała kandydatka PO Małgorzata Kidawa-Błońska, Kosiniak uzyskał sondażowe poparcie na poziomie 15 proc. i uplasował się na drugim miejscu. Gdyby do wyborów doszło i urzędujący prezydent Andrzej Duda nie wygrał ich w pierwszej turze, prezes PSL byłby jego rywalem w drugiej. Przeniosłoby to i jego, i PSL do politycznej ekstraklasy.

Wybory w pierwszym terminie się nie odbyły w wyniku sprzeciwu Jarosława Gowina wobec „kopertowego" pomysłu. Przeciw był także Kosiniak i wierchuszka PSL, choć jeden z polityków partii anonimowo przyznaje, że w sztabie były gorące spory, co robić. Ale znów zwyciężyła u prezesa PSL wierność zasadom, nawet kosztem własnego interesu.

Za taką postawę zapłacił cenę, bo Platforma do wyborów w kolejnym terminie wystawiła lepszego kandydata – Rafała Trzaskowskiego. Odtworzony wtedy duopol PO-PiS zniwelował poparcie dla Kosiniaka. 28 czerwca 2020 r. otrzymał on nieco ponad 2 proc. głosów. Wyprzedzili go nie tylko dwaj główni rywale, ale też Szymon Hołownia i Krzysztof Bosak.

To była klęska. Sam Kosiniak przyznawał potem, że wybory prezydenckie mocno go zmieniły i pozbawiły złudzeń. Powoli przeobrażał się też z grzecznego chłopca w asertywnego lidera. Reporterzy sejmowi stojący pod drzwiami, za którymi trwało posiedzenie klubu PSL, słyszeli nawet, jak puszczał „wiązanki". Byli tym zaskoczeni.

Senator Jan Filip Libicki twierdzi, że prezes PSL jest człowiekiem wyjątkowo grzecznym, miłym i kulturalnym, ale to wcale nie oznacza braku zdecydowania i sprawczości. Na czele PSL stawał w fatalnej dla partii sytuacji finansowej i kadrowej, i dał sobie świetnie radę. – Porównując rok 2015 i 2024 można powiedzieć, że wyprowadził PSL na szerokie wody – uważa senator.

> Jest jedynym politykiem wysokiego szczebla, który tak mocno kieruje się etyką. **Kaczyński czy Tusk są w stanie dla władzy zrobić dużo więcej.**

Upór się opłaca

W poprzedniej kadencji Sejmu Kosiniak konsekwentnie wypowiadał się przeciw jednej liście opozycji, do której wzywał od powrotu do polskiej polityki Donald Tusk. Ten sprzeciw zbliżył lidera PSL do równie niechętnego jednej liście politycznego beniaminka Szymona Hołowni. Obaj po okresie wzajemnego obwąchiwania postanowili utworzyć koalicję, która z chadeckich pozycji wciśnie się między duopol.

Obaj liderzy dobrze się uzupełniali – jeden medialnie efektowny, drugi nieco w cieniu, zdystansowany, ale za to dysponujący rozbudowaną partią i funduszami. Współpracownicy prezesa PSL nie raz się dziwili, jak ich szef wytrzymuje z niepozbawionym cech narcystycznych Hołownią. Okazało się jednak, że ego Kosiniaka – jak na polityka – jest nieduże i nie ma on kłopotu z towarzystwem „primadonny" z Polski 2050.

Kosiniak przełamywał powoli opory w swej tradycjonalistycznej partii, a potem wytrzymał moment kryzysu. Na posiedzeniu rady naczelnej w sierpniu 2023 r. przeforsował utrzymanie sojuszu w ramach Trzeciej Drogi, choć sondaże zaczęły balansować na progu 8 proc. i wielu działaczy PSL namawiało na samodzielny start. Ostatecznie, po świetnym występie Hołowni podczas debaty w TVP i zawieszeniu broni z Tuskiem – Trzecia Droga osiągnęła w wyborach aż 14 proc.

Siłą Kosiniaka jest jego przewidywalność i wierność zobowiązaniom. Lojalnie wspierał kandydaturę Hołowni na marszałka Sejmu i jasno zapowiedział, że to lider Polski 2050 będzie w przyszłym roku wspólnym kandydatem na prezydenta. Akurat jemu można uwierzyć. Tym bardziej że w samym PSL praktycznie nie ma dziś konkurencji. Dyżurnym oponentem jest marszałek senior Marek Sawicki, któremu publicznie zdarza się krytykować obu liderów Trzeciej Drogi, że zbyt słabo walczą o swoje postulaty programowe.

Być może z uwagi na takie głosy Kosiniak wystąpił z pomysłem resetu konstytucyjnego (z uwzględnieniem roli prezydenta Dudy), a liderzy ludowców zaczęli mocniej akcentować swoje oblicze ideowe choćby w sprawie aborcji. Podczas ostatniego posiedzenia Sejmu kilku posłów, m.in. Piotr Zgorzelski i Marek Sawicki, zagłosowało przeciw ustawie gwarantującej pigułkę „dzień po" bez recepty, w kwestii aborcji zaś twardo promowana jest idea oddania głosu w ręce narodu podczas referendum.

W ramach Trzeciej Drogi Kosiniakowi udaje się schodzić z linii politycznego strzału, gdyż całe odium spada dziś na Hołownię, zaangażowanego w spór o mandaty Kamińskiego i Wąsika. Pomocne jest w tym kierowanie przez Kosiniaka resortem obrony, który musi pozostać choć trochę ponadpartyjny, zwłaszcza w obecnych czasach, więc nie jest aż tak atakowany przez PiS jak inne segmenty władzy. Ale i w tym resorcie są zagrożenia. Olbrzymie wydatki na uzbrojenie trzeba będzie pogodzić z oczekiwaniami socjalnymi Polaków. Nie można też wykluczyć, że pewnego dnia przed Kosiniakiem stanie problem przywrócenia powszechnego poboru do wojska.

Wielu naszych rozmówców uważa, że cechy charakteru Kosiniaka, zwłaszcza jego stabilność emocjonalna, dobrze mu wróżą jako liderowi na trudne czasy. Lojalnemu, wciąż młodemu, merytorycznemu, etycznemu, ale jak trzeba – podejmującemu trudne decyzje. Jeśli lider PSL nie będzie miał większych wpadek w MON, może to otworzyć przed nim perspektywy w polityce unijnej, np. w ramach Europejskiej Partii Ludowej.

„Szklanym sufitem" dla Kosiniaka może być to, że nie jest tak ambitny jak Hołownia, i nie ma cech „politycznego zabijaki", jak Kaczyński i Tusk. Kto wie jednak, czy w najbliższych latach nasze społeczeństwo nie uzna, że wraz ze zmianami cywilizacyjnymi i rosnącym zagrożeniem na świecie warto mieć jak najwyżej w hierarchii władzy człowieka, któremu po prostu można zaufać.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

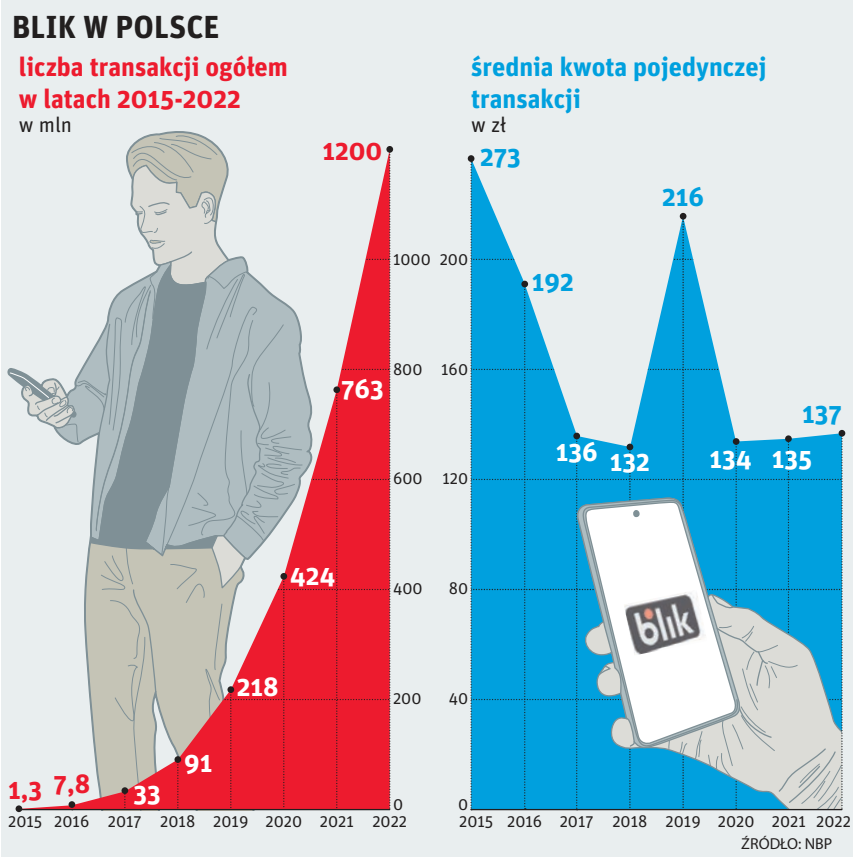

LECH MAŻURCZYK

Blikuję, więc jestem

MAREK RABIJ

Pytanie o to, jak długo złoty pozostanie polską walutą, nie musi prowadzić od razu w stronę rozważań o wejściu do strefy euro. O wiele częściej płacimy przecież Blikiem.

Sukces ma zawsze wielu ojców, więc i narodziny tej usługi w korporacyjnej legendzie są owocem spotkania światłych mężów z sześciu polskich banków, którzy w 2013 roku zasiedli do wspólnej narady, jak namówić rodaków do częstszego korzystania z płatności bezgotówkowych. Jak było naprawdę – to już nie ma najmniejszego znaczenia. Uruchomiony w 2015 roku Blik w ciągu niespełna dekady tak mocno skleił się z polską codziennością, że większość bawiących za granicą rodaków ze zdziwieniem odkrywa, iż tamtejsze banki nie mają pojęcia o jego istnieniu. Mimo że honorują karty Visa czy Mastercard, pozwalają płacić w Google Pay i rozliczają płatności w PayPalu rozwiniętym przed laty przez samego Elona Muska.

W świecie bankowości Polacy nie gęsi, lecz swój system transakcji bezgotówkowych mają, w dodatku tak prosty w obsłudze, że mógł się w miarę szybko upowszechnić w kraju, w którym, jak wynika z badań prowadzonych przez Bibliotekę Narodową, 58 proc. mieszkańców nie tyka książek i gazet. A przeszło połowa – to już ubiegłoroczne wnioski Eurostatu – wciąż kiepsko radzi sobie z obsługą komputera podpiętego do internetu.

W 2013 roku, kiedy zaczyna się ta historia, listę powyższych polskich przypadłości uzupełniała jeszcze powszechna nieufność do zakupów w sieci, wypływająca jednak nie tyle z równie powszechnej technologicznej niekompetencji, ile z obaw, czy pieniądze, zamiast do sprzedającego, nie trafią gdzieś na internetowy Berdyczów. Co drugi zakup online opłacano wówczas nad Wisłą gotówką przy odbiorze, czyli w sposób, który w najgorszym scenariuszu oznaczał dla sprzedającego nawet kilka tygodni oczekiwania na zaksięgowanie wpłaty. Kolejnych kilkanaście procent transakcji realizowano za pomocą bezpośredniego przelewu z konta kupującego na rachunek sprzedawcy, czyli metodą nieco szybszą, ale z kolei potencjalnie niebezpieczną dla nabywcy. To, że dziś ośmiu na dziesięciu polskich internautów systematycznie kupuje w sieci, a wartość sprzedaży towarów i usług online przekroczyła w Polsce już próg 110 mld zł rocznie, jest więc w pewnej mierze także opowieścią o sukcesie Blika. Platformy rozliczeniowej, która dostarczyła rodzimym konsumentom to, czego bardzo potrzebowali, czyli bezpieczne, a przy tym proste w obsłudze narzędzia do transakcji bezgotówkowych.

Tato, daj blika!

Jej właściciel, kontrolowana przez dużych graczy sektora finansowego firma Polski Standard Płatności, co roku z dumą pokazuje dane obrazujące skalę puchnącego zainteresowania tą wirtualną portmonetką. Ostatnie pełne statystyki roczne Anno Domini 2022 mówią o 13 mln aktywnych użytkowników Blika. Według GUS w Polsce żyło wówczas 22,16 mln osób między 17. a 64. rokiem życia. Blisko sześcioro na dziesięcioro Polaków w wieku produkcyjnym w 2022 roku korzystało zatem z tej formy płatności. A następny rok przyniósł kolejny wzrost: po trzech kwartałach operator platformy doliczył się już niemal 15 mln aktywnych użytkowników.

Tłumaczenie zasad działania tak powszechnej usługi ociera się wręcz o arogancję, na wszelki wypadek zajrzyjmy jednak do blikowej kuchni z myślą o tych, którzy tam jakimś cudem jeszcze nie dotarli. Blik to w istocie rodzaj cyfrowego czeku na okaziciela, który posiadacz rachunku wystawia w aplikacji bankowej w formie sześciocyfrowego kodu, ważnego zwykle przez dwie minuty. Wystarczy następnie wpisać tę liczbę na stronie internetowej sprzedawcy czy dostawcy usługi, by po potwierdzeniu transakcji w aplikacji bankowej z konta zniknęło dokładnie tyle, ile kosztuje wybrany produkt. Zaletą jest szybkość, bo operacja ↦

↦ zajmuje kilka sekund, ale przede wszystkim bezpieczeństwo – bo w momencie zawierania transakcji kupujący nie ujawnia numeru konta, karty płatniczej ani nawet danych osobowych. Listę atutów uzupełnia iście schrödingerowska elastyczność systemu, który pozwala dać tymczasowy dostęp do pieniędzy nawet komuś na drugim krańcu Polski bez jednoczesnej utraty kontroli nad sposobem ich wydatkowania. Rodzice rodziców, którzy dziś z domu w Krakowie wygodnie opłacają Blikiem wydatki dziatek bawiących właśnie na Helu, kiedyś mogli jedynie trzymać kciuki, żeby latorośl nie przehulała wszystkiego tuż po przyjeździe.

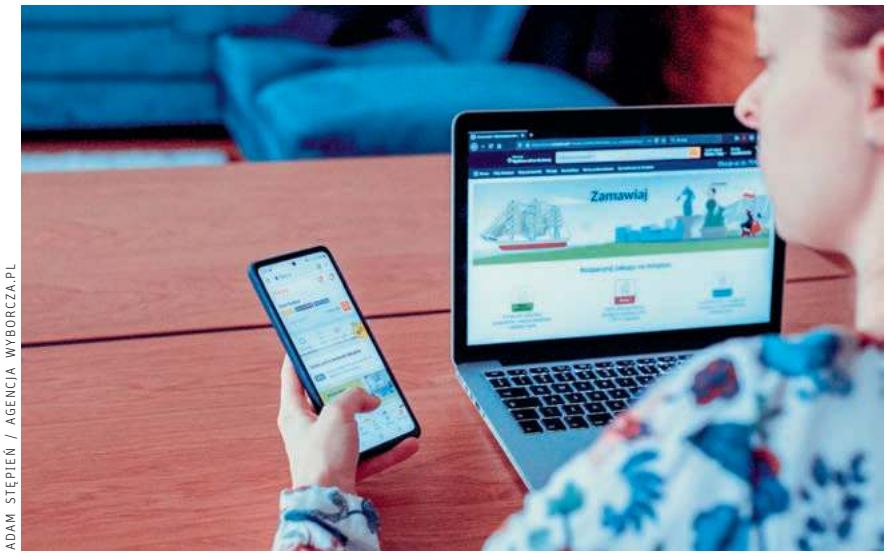

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

8 września 2023 r. w Polsce padł dzienny rekord liczby transakcji Blikiem – 7 mln.

I nadal rośnie

W porównaniu z kartą płatniczą Blik ma oczywiście i minusy. System nie oferuje na razie limitów kredytowych; do dyspozycji użytkownika jest najwyżej debet udzielony mu przez jego bank. Nie daje również możliwości tzw. chargebacku, czyli automatycznego ściągnięcia wpłaconej kwoty z rachunku odbiorcy, który okazał się nierzetelny. Te niedogodności zdają się jednak nie zniechęcać Polaków do blikowania. Po trzech kwartałach ub. roku łączna wartość transakcji zrealizowanych za pomocą Blika przekroczyła 171 mld zł, zatem już po dziewięciu miesiącach 2023 roku wydaliśmy za jego pośrednictwem o 7,1 mld zł więcej niż w całym roku 2022. A przecież w handlu internetowym, mateczniku tej bestii, największy ruch przychodzi wraz z końcem roku i zakupami świątecznymi. W 2022 roku Blik obsłużył transakcje warte ponad 50 mld zł. Wrażenie robią też liczby transakcji: np. rekordowy pod tym względem we wspomnianym roku piątek 9 grudnia przyniósł ich ponad 5,9 mln i został w roku kolejnym przebity. 8 września 2023 przekroczyliśmy poziom 7 mln zrealizowanych blików w ciągu doby.

Gdzie więc uplasować te cztery literki w polskim krajobrazie ekonomicznym? 171 mld zł wydanych za pośrednictwem Blika to kwota o 12 mld wyższa od tegorocznego, rekordowego budżetu obronnego Rzeczypospolitej, ale niewiele w porównaniu z wartością całego polskiego handlu detalicznego, która zbliża się do symbolicznego progu biliona złotych. Gdy przyłożyć je do skali polskiego obrotu gotówkowego, który w trzecim kwartale zeszłego roku sięgnął w ujęciu miesięcznym 354 mld zł, rzecz nabierze jeszcze innych proporcji. Na każde 92 zł wydawane co miesiąc w Polsce w formie gotówki przypadnie wówczas zaledwie 8 zł przetransferowanych Blikiem. Opowieści wynajętych specjalistów od wizerunku, którzy w materiałach promujących tę platformę coraz częściej wspominają o strategicznym znaczeniu Blika w polskim systemie płatniczym, są więc lekko przerysowane.

Ale to jeszcze nie znaczy, że pozbawione sensu.

Trzy w jednym

Na przestrzeni wspomnianych dziewięciu lat Blik stał się bowiem w Polsce nie tylko najpopularniejszą, bo wybieraną przez 55 proc. kupujących, metodą opłacania zakupów internetowych. W międzyczasie zdążył też obrosnąć innymi usługami, bez których codzienności nie wyobrażają sobie zwłaszcza osoby dopiero wchodzące w dorosłość. Liczba przelewów na telefon za pośrednictwem platformy tylko w 2022 roku wzrosła o 110 proc. Co nie dziwi, biorąc pod uwagę prostotę tej operacji. Zamiast numeru konta odbiorcy w aplikacji bankowej wystarczy wpisać jego numer telefonu. Jeżeli wcześniej powiązał on go ze swoim rachunkiem i przypadkiem nie prowadzi mu go bank, który udaje, że Blik nigdy nie istniał (a wciąż zdarzają się i takowe), pieniądze będą na koncie niemal natychmiast.

Liczba transakcji bezgotówkowych, w których telefon lub smartwatch z Blikiem wystąpił w roli karty płatniczej, w tym samym czasie urosła z kolei aż o 162 proc. Dla sporej części młodych polskich konsumentów Blik jest dziś więc naturalnym, wręcz pierwotnym ekosystemem płatniczym, zastępując im zarówno gotówkę, jak i karty płatnicze. Doskonale ilustrują to wyniki niedawnego badania Santander Banku (dodajmy, że to jeden z założycieli i współwłaścicieli Blika), który przeanalizował, jak z jego usług korzystają klienci w wieku od 13 do 17 lat. Statystyczny nastolatek posiadający tam konto w ciągu roku zagląda na swój rachunek przez internet zaledwie siedem razy. Podstawowym narzędziem do korzystania z usług finansowych jest w tym przypadku mobilna aplikacja bankowa, do której w ciągu roku loguje się aż 113 razy – czyli średnio co trzy dni. Obok sześciu przelewów tradycyjnych i 20 zakupów kartą płatniczą, przeciętny nastoletni użytkownik konta w Santanderze co miesiąc dokonuje także 16 transakcji, za które płaci Blikiem.

A to już bezpośrednio prowadzi nas do konstatacji, że ta polska platforma płatności bezgotówkowych musiałaby się w przyszłości bardzo postarać, ażeby roztrwonić przewagę wypracowaną

WARTOŚĆ TRANSAKCJI BLIKIEM W ZŁ **346 900 000**
rok 2015

nad konkurentami. W cyfrowym świecie – jak pokazują przykłady Google'a, Amazonu, Netfliksa, a na polskim podwórku także Allegro – zwycięzca bierze wszystko. Niewykluczone więc, że pewnego dnia liczba użytkowników Blika zbliży się do liczby polskich internautów. Nowym zawsze bardziej opłaca się dołączyć do większości korzystającej ze sprawdzonego już rozwiązania niż eksperymentować z ofertą potencjalnych konkurentów.

Władimir Putin prosi o Blik

Niniejsza opowieść na tym etapie osiągnęła poziom cukierkowatości, który może rodzić obawy o dystans autora do opisywanej materii, a nawet budzić wątpliwości co do jego prawdziwych motywacji. Problem w tym, że usilne poszukiwanie słabych stron tej usługi nie zaowocuje bogatymi odkryciami, za to odsunie nas od bodaj najważniejszej konstatacji w tym tekście. Chodzi bowiem o to, że Blik, będąc wytworem endemicznie polskim, jest zarazem archetypicznie niepolski. Jest przykładem tego, że nam wyszło. Choć złośliwcy pewnie natychmiast spytają, jakie emocje grały w duszach jego twórcom, gdy wymyślając nazwę, sięgali po spolszczenie niemieckiego rzeczownika *blick* („spojrzenie, szybki ogląd"), z którym blisko spokrewnione jest także słowo *blitz*...

Coś jest na rzeczy. W ostatnich miesiącach właściciel platformy intensywnie pracuje nad agresywną ekspansją zagraniczną Blika. Na Słowacji firma PSP przejęła platformę VIAMO, którą następnie przechrzciła na BLIK SK. W Rumunii ruszyła spółka BLIK Romania, która rodakom Mircei Eliadego będzie prezentować zalety usługi docenionej przez przeszło połowę dorosłych Polaków. Trwają też prace nad uruchomieniem wariantu tej usługi, która mogłaby działać w całej strefie euro, a to oznacza, że ograniczona na razie funkcjonalność Blika za granicą, sprowadzająca się głównie do zastępowania karty płatniczej, wkrótce może odejść do przeszłości. W ramach kronikarskiej uczciwości dodajmy zatem i to,

> To, że dziś ośmiu na dziesięciu polskich internautów systematycznie kupuje w sieci, a wartość sprzedaży online przekroczyła w Polsce próg 110 mld zł rocznie, **jest także opowieścią o sukcesie Blika.**

że istnienie Blika docenił najwyraźniej także świat międzynarodowej cyberprzestępczości i coraz częściej korzysta z tej technologii, podszywając się pod odbiorców, którzy są znani użytkownikom platformy. Czasem przybiera to na szczęście karykaturalną formę nowej wersji tzw. przekrętu nigeryjskiego, na którą trudno się złapać. Bo niby czemu o przelew na telefon miałby nas nagle poprosić Cristiano Ronaldo albo Władimir Putin?

Widoki na Mir

Temu ostatniemu Blik z pewnością przydałby się w pierwszych miesiącach pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Niewielki strumyczek sankcji międzynarodowych nabrał wówczas rozpędu, ostatecznie doprowadzając także do niemal pełnego odcięcia rosyjskiego systemu bankowego od międzynarodowego krwiobiegu gotówkowego. Europejscy analitycy w tamtych dniach ze zdumieniem odkrywali, że Putin przyszykował się do inwazji, nie tylko ciułając petrodolary i czołgi, ale także budując cichaczem krajowe odpowiedniki międzynarodowych systemów płatniczych, które po ogłoszeniu sankcji przestały – jak trafnie przewidział Kreml – obsługiwać Rosjan i rosyjskie firmy. Ostatecznie do finansowego armagedonu w Moskwie nie doszło. Miejsce operatorów systemu Visa i Mastercard, obsługujących niemal 74 proc. tamtejszych transakcji bezgotówkowych, płynnie zajął ich odpowiednik pisany cyrylicą, czyli system Mir. W ustabilizowaniu sytuacji pomogli jeszcze chińscy towarzysze z UnionPay.

Zamieszanie, jakie powstało po wyjściu z Rosji Visy i Mastercarda, powinno jednak poważnie zaniepokoić Warszawę i przypomnieć o znaczeniu suwerenności płatniczej państwa polskiego. Pozostając poza strefą euro, mamy bowiem własną walutę, której kursem za pośrednictwem banku centralnego możemy w pewnym stopniu manipulować. To pomaga czasem przejść łagodniej naszej rodzimej gospodarce przez kolejne sztormy podażowe lub popytowe. Nic też dziwnego, że Polacy – jak pokazują kolejne badania – generalnie są dumni ze swojej waluty. W ubiegłorocznym sondażu firmy SW Research przeprowadzonym na zlecenie Fundacji Wolności Gospodarczej odsetek respondentów opowiadających się „raczej za" i „zdecydowanie za" przyjęciem euro sięgnął tylko 34,9 proc. Przeciw tej decyzji było natomiast aż 50,8 proc. badanych. Jeszcze większy opór budzą nad Wisłą pomysły pożegnania pieniądza gotówkowego, czego – jak z kolei dowiódł niedawny raport NBP – kategorycznie nie życzy sobie aż 80 proc. Polaków. Równo sto lat po rozpoczęciu reformy Grabskiego, która w centrum polskiego systemu monetarnego postawiła złotego, monety i bilety z tą nazwą nadal uważamy za jeden z najważniejszych przejawów polskiej suwerenności.

Zgoła inaczej rzecz ma się natomiast z narzędziami, którymi na co dzień posługujemy się, korzystając z polskiego złotego w obiegu bezgotówkowym. Tak jak w większości krajów, rynkiem kart płatniczych nad Wisłą trzęsą Visa, kontrolująca aż 52,9 proc., oraz Mastercard (46,9 proc.). Państwo polskie rządzi z kolei w dziewięciu bankach komercyjnych działających na terenie kraju, w tym w największym PKO BP i Pekao SA, ale już jego udział w aktywach całego sektora nie przekracza 50 proc. W realiach fukuyamowskiego „końca historii", gdy grozić mógł nam co najwyżej kolejny spadek popytu, taki układ sił wydawał się naturalny. Sytuacja może się jednak błyskawicznie zmienić, gdyby pewnego dnia historia znów przypomniała sobie o swojej ulubionej zabawie z Polską. Cztery litery układające się w nazwę autonomicznego systemu płatności bezgotówkowych mogą wówczas naprawdę uratować nam inne cztery litery.

©℗ MAREK RABIJ

163 900 000 000
rok 2022

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Konferencja „Vape Show", Warszawa, wrzesień 2016 r.

Strategia e-skalacji szkód

MAŁGORZATA SOLECKA

Guma balonowa, mango, coca-cola. To nie witryna lodziarni, a ułamek oferty punktu sprzedaży jednorazowych e-papierosów. Rząd ma narzędzia, by zareagować na wciąganie młodzieży w nałóg. Powinien działać natychmiast.

„Mam zielone światło od premiera" – zapowiedziała 21 lutego na antenie TVP ministra zdrowia Izabela Leszczyna. Już na początku lutego resort sygnalizował, że będzie dążyć do wprowadzenia jeszcze przed wakacjami całkowitego zakazu sprzedaży „jednorazówek". Wiceminister Wojciech Konieczny, odpowiedzialny za zdrowie publiczne, przyrównał je do plagi, jaką w latach 90. była sprzedaż papierosów na sztuki. Jest jednak o wiele gorzej niż wtedy.

Zmiana mody

Jesień 2021 roku. Renomowane liceum i jego okolica tonie w morzu niedopałków. To powód konfliktów z mieszkańcami sąsiednich domów. W samej szkole męskie toalety podczas przerw praktycznie wyłączone z użytkowania: w kabinach tłoczy się po kilku palaczy. Na jednym ze spotkań rady rodziców pojawia się nawet pomysł, by szkoła utworzyła palarnię dla pełnoletnich uczniów (oczywiście, upada).

Dwa lata później. Niedopałków jest jak na lekarstwo. Po „fajki", „szlugi" sięgają nieliczni. Niepraktyczne, śmierdzą i sporo kosztują. Teraz jest moda na jednorazowe e-papierosy.

Jednorazowe, bo urządzenia wielokrotnego użytku to wydatek 150-300 złotych. Do tego trzeba doliczyć koszty eksploatacji (płyny itp.). I ryzyko konfiskaty czy to przez rodziców, czy – mniej prawdopodobne – nauczyciela. Jednorazówki są tanie – 25-30 złotych. Można się nimi zaciągnąć około ośmiuset razy, co przekłada się na ponad 2,5 paczki tradycyjnych papierosów. Przy obecnych cenach (średnio ok. 15 złotych) można powiedzieć: czysty zysk. Tylko że tutaj nic nie jest czyste.

Podgrzewacze

Strategia redukcji szkód. Systemy do podgrzewania tytoniu, podgrzewacze. Rzadziej, po prostu, e-papierosy. Producenci tych urządzeń, które są na rynku już od dobrych dwóch dekad, wolą nie używać słowa „papieros", bo pozycjonują się jako mniej szkodliwa, w domyśle więc: zdrowsza alternatywa dla wyrobów tytoniowych. Ostatnia deska ratunku dla uzależnionych od nikotyny. Gdy nie sprawdzają się żadne sposoby zerwania z nałogiem, przestawienie palacza na tę metodę dostarczania używki organizmowi redukuje szkody – dowodzą producenci i część ekspertów, również lekarzy.

Po pierwsze bowiem znika problem narażania otoczenia na bierne palenie. Po drugie znacząco zmniejsza się ilość wdychanych wraz z dymem (w przypadku tradycyjnych papierosów) rakotwórczych związków. Oczywiście te systemy powinny być dostępne tylko dla osób walczących z uzależnieniem – zgadzają się zwolennicy strategii redukcji szkód podczas debat w gronie ekspertów.

Tyle teoria, z której naiwności praktyka w tym przypadku bezlitośnie drwi. Strategia redukcji szkód byłaby uzasadniona, gdyby urządzenia do podgrzewania tytoniu były dostępne w aptekach wyłącznie na receptę. I podlegały ścisłemu monitorowaniu, czy nie dostają się w ręce osób, które wcześniej nie tylko nie paliły, ale wręcz nie były uzależnione od nikotyny. No i gdyby na rynku nie pojawiły się jednorazówki.

Sprzedawca pomoże

Jednorazowe e-papierosy (ang. *disposable vapes* lub *disposable e-cigarettes*) to rodzaj papierosów elektronicznych z wbudowaną baterią, bez możliwości jej naładowania, i zbiornikiem z płynem (ang. *e-liquid*) z nikotyną lub bez nikotyny, bez możliwości jego uzupełnienia lub wymiany. Po wyczerpaniu baterii lub płynu produkt nie nadaje się do użytku.

W połowie lutego nad problemem jednorazowych papierosów pochylił się Parlamentarny Zespół ds. Uzależnień. Grzegorz Ziemniak z Instytutu Zdrowia i Demokracji zwrócił uwagę posłów, że mapa sprzedaży tych urządzeń pokrywa się bardzo wyraźnie z mapą szkół. Ciekawe, ale nie pokazuje całej prawdy: e-papierosy można kupić wszędzie. Choćby w popularnej sieci z płazem w nazwie, gdzie wystawionych jest dwadzieścia, może trzydzieści rodzajów, a gdy sprzedawca widzi, że klient nie może się zdecydować między „mango" a „mrożony arbuz", informuje, że nie wszystkie smaki są widoczne, można śmiało pytać.

Pekin troszczy się o zdrowie

Co mówią dane o sprzedaży? Choć raczej trzeba byłoby zapytać: o czym krzyczą? Te, którymi dysponuje resort zdrowia, dotyczą roku 2022. Oficjalnie sprzedaż jednorazowych smakowych e-papierosów w Polsce wyniosła 14,66 mln sztuk. Jednak firmy monitorujące sprzedaż oceniają, że resort nie ma pełnych informacji. Według Centrum Monitorowania Rynku sprzedaż w 2022 roku była wyższa o 11 proc. (16,3 mln sztuk). Ale są też raporty, według których w tym samym roku sprzedaż przekroczyła 32 miliony sztuk, by w kolejnym roku się... potroić i sięgnąć niemal 100 milionów sztuk – to dane Instytutu Prognoz i Analiz Gospodarczych, który przygotował raport, będący ostatnio przedmiotem debaty parlamentarzystów.

Garść informacji z tego raportu. Ponad 90 proc. rynku stanowią warianty słodkie, owocowe lub tzw. napojowe. Łącznie w oficjalnej polskiej dystrybucji jest ponad 770 wariantów smakowych. Obrót w większości odbywa się w kanałach dystrybucji niemonitorowanych i zakazanych przez prawo (np. sprzedaż *online*). 95 proc. jednorazowych smakowych e-papierosów produkowanych jest w Chinach, a Pekin odpowiada za 90 proc. ich globalnego eksportu, wycenianego w 2022 r. na 11,1 mld dolarów.

Wisienka na torcie: w Chinach od 1 października 2022 r. obowiązuje całkowity zakaz sprzedaży jednorazowych tzw. owocowych e-papierosów. Powód? Troska o zdrowie osób niepełnoletnich oraz brak badań dotyczących skutków inhalacji substancji zawartych w płynach do e-papierosów jednorazowych.

Kula śniegowa

„Działania trzeba podjąć natychmiast i są narzędzia do tego, żeby państwo zareagowało" – mówił w Sejmie Grzegorz Ziemniak. Chodzi np. o kontrole, czy handlujący przestrzegają zakazu sprzedaży wyrobów zawierających nikotynę nieletnim. I drakońskie kary. Prof. Grzegorz Juszczyk z Zakładu Zdrowia Publicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego zwracał uwagę, że podjęcie takich decyzji przez państwo miałoby też walor edukacyjny – część rodziców zwyczajnie nie rozumie, że używanie jednorazowych e-papierosów może być dla ich dzieci równie groźne, co tradycyjne palenie.

Powód? „W e-papierosach są co najmniej dwie zidentyfikowane substancje uzależniające. Z każdym miesiącem coraz trudniej będzie je z dnia na dzień wycofać, bo natychmiast młodzież, która ich używa, zacznie czynnie poszukiwać nielegalnego źródła albo substytutu – zwracał uwagę prof. Andrzej Fal, prezes Polskiego Towarzystwa Zdrowia Publicznego. – Jeżeli uzależni się kolejny milion dzieciaków, mamy potencjalnie milion kolejnych palaczy. Zatrzymajmy jakoś tę kulę śniegową".

Kulę, która zaczęła się rozpędzać kilka lat temu, jeszcze przed pandemią. Raport IPAG jest jak akt oskarżenia pod adresem instytucji i osób, które w latach 2018-2023 odpowiadały za zdrowie publiczne.

Niewielkim pocieszeniem jest fakt, że nie tylko Polska zmaga się z efektami tej lawiny. W styczniu 2024 r. zakaz sprzedaży jednorazowych smakowych e-papierosów ogłosił premier Wielkiej Brytanii. Podobny zakaz przegłosowało Zgromadzenie Narodowe Francji, planują go też Niemcy i Irlandia. ©

REKLAMA

Świat da się naprawić. Zróbmy to wspólnie. Naprawdę

1,5%

[MISJA „TYGODNIKA”, FRAGMENTY]
Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.
Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną.
Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu.
Wierzymy, że świat da się naprawić.

TYGODNIK POWSZECHNY

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński:
Po nitce do kłębowiska

Już jakiś czas temu zauważyłem, że Bret Weinstein – amerykański biolog ewolucyjny, współautor (wraz z żoną, Heather Heying) wartkiej i prowokacyjnej książki o tym, jak współczesna kultura staje w poprzek naszych zaprojektowanych przez naturę predyspozycji – wdał się w zażartą polemikę z tzw. oficjalną narracją dotyczącą pandemii koronawirusa. W szczególności, że w mediach społecznościowych zaczął lansować teorię, jakoby najskuteczniejszym panaceum na covid była iwermektyna, lek stosowany w zakażeniach pasożytami, ślepocie rzecznej i trądziku różowatym. Taki pogląd jeszcze niedawno rozpowszechniał Donald Trump, ponoć sam m.in. iwermektyną na covid leczony. I to właśnie Trumpowi substancja ta zawdzięcza ogromną popularność w kręgach amerykańskiej altprawicy – i nie tylko.

Owszem, podobnie jak wiele innych kuracji, tak i tę sprawdzano w pandemii pod kątem domniemanej efektywności, której jednak – taki jest naukowy konsensus – nie stwierdzono. Kto chce, może na ten temat – i w ogóle na temat rozmaitych innych, ponoć cudownych kuracji – poczytać na stronie Science Based Medicine (www.sciencebasedmedicine.org). Pisał o tym głównie prof. David Gorski, onkolog z Karmanos Cancer Institute w Detroit, od lat niestrudzony demaskator i tropiciel wszelkiej pseudonauki i pseudomedycyny. I chyba właśnie w jakimś jego eseju po raz pierwszy natrafiłem w tym kontekście na nazwisko Weinsteina. Co mnie, przyznam, zdziwiło. Wcześniej wprawdzie nigdy jakoś szczególnie uważnie go nie czytałem, ale odruchowo miałem raczej za racjonalnego i rzetelnego.

Zmieniło się to diametralnie 13 lutego 2024 r. Wtedy to bowiem na kanale Joego Rogana – najpopularniejszego autora podkastów na świecie – pojawiła się ponad trzygodzinna rozmowa z Weinsteinem. I natychmiast wywołała małe trzęsienie ziemi. Nie tylko wśród wiernych odbiorców Rogana, ale także wśród osób zajmujących się demaskowaniem pseudonauki (z Davidem Gorskim, jakżeby inaczej, na czele).

Proszę mi – weteranowi teorii spiskowych, który z niejednego konspiracyjnego pieca chleb jadał – wierzyć. Jest tam, w zasadzie, wszystko. No dobrze, nie ma reptilian. Teoretycznie. Ale równie dobrze mogliby być. To bowiem, co Weinstein o współczesnych elitach biznesowo-politycznych mówi, jak ulał pasuje do tych krwiożerczych jaszczurów z kosmosu. Pal sześć zresztą elity. Akurat teza, że coraz bardziej odklejają się od rzeczywistości zwykłych ludzi i robią, co w ich mocy, żeby poszerzać swoją i tak już ogromną władzę oraz i tak już ogromne majątki – jest oczywista. Nie potrzeba teorii spiskowych, żeby sobie z tego zdawać sprawę, choć nie da się przedstawić bezspornych dowodów, że tak jest, bo to kwestia społeczno-polityczno-psychologiczna. No ale już teza, że szczepienia na covid masowo zabijają albo że zastosowana w nich technologia mRNA jest czymś skrajnie niebezpiecznym w skali indywidualnej i zbiorowej, jak najbardziej daje się zweryfikować. Istnieje na ten temat rozległa literatura, istnieją statystyki, istnieją wiarygodne analizy, z których to lub tamto wynika. Jak to zatem możliwe, że wykwalifikowany akademik, doskonale znający się na metodologii naukowej, wyprowadza z dostępnych danych zupełnie odmienne wnioski niż przytłaczająca większość ekspertów specjalizujących się w temacie?

Ale to nie koniec. Niechby Weinstein poprzestał na opowieści o elitach, które przygotowują operację pozbawienia mas własności i podmiotowości, i o pandemii jako istotnym, acz nie najistotniejszym tej machinacji składniku. Można by wtedy po prostu uznać, że w tej konkretnej sprawie znamienity naukowiec operuje osobliwym i pozbawionym umocowania w twardych faktach obrazem świata. Tyle że w pewnym momencie swojego oskarżycielskiego wywodu Weinstein nawiązał także – w tonie jednoznacznie aprobatywnym – do jednej z najbardziej absurdalnych, a zarazem najbardziej śmiercionośnych teorii spiskowych, jakie w ogóle kiedykolwiek powstały. A mianowicie do AIDS-negacjonizmu.

Ta wciąż podtrzymywana przez kilku naukowców-outsiderów hipoteza zakłada, że wirus HIV jest nieszkodliwy, AIDS natomiast rozwija się wskutek niezdrowego stylu życia, zażywania narkotyków, rozwiązłości seksualnej itp. Szacuje się, że wskutek działalności jej głównych propagatorów – czyli Petera Duesberga, niegdyś świetnie zapowiadającego się biologa z Berkeley, oraz jego dwóch współpracowników, Davida Rasnicka i Harveya Bialy'ego – zmarło kilkaset tysięcy ludzi, którzy uwierzyli, że zakażenie HIV niczym im nie grozi i zrezygnowali z leczenia. O tym, że Duesberg i spółka w epoce pandemii znów stali się popularni, pisałem na łamach „TP" prawie rok temu – w felietonie „(Nie)oczekiwana zmiana miejsc". Że jednak na lep tego typu kuriozalnych narracji da się złapać Weinstein – tego, przyznam, nigdy bym nie wymyślił.

Z drugiej strony, no cóż, to po prostu jeszcze jeden przykład nieprawdopodobnie uwodzicielskiej siły mechanizmu, o którym nie raz już tutaj wspominałem. Czasami wymontowanie z racjonalnego obrazu świata choćby jednego elementu prowadzi wprost do spiskowej króliczej nory, w której ziemia usuwa się nam spod nóg i spadamy w otchłań: ciemną, głęboką i niezmierzoną. W tej otchłani zaś „nic nie jest tym, czym się wydaje" i wszystko staje się możliwe. Albo, inaczej mówiąc, czasami od jednej irracjonalnej wątpliwości dochodzi się – tak jak Weinstein, bezwiednie, po nitce spiskowego myślenia – do jakiegoś totalnego, mrocznego kłębowiska. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

ROZMOWA

LOGIKA PRZED GUSTEM

ROBERT KONIECZNY, ARCHITEKT:

Najbardziej lubię te momenty, kiedy projekt nikomu w biurze się nie podoba. Dopiero wtedy wyłączają się nawyki, przyzwyczajenia i gusty. Zaczynają się racjonalne decyzje. Dostrzegasz, czego dotąd nie widziałeś.

JACEK TARAN: Twój projekt Galerii Sztuki Plato w czeskiej Ostrawie jako jeden z pięciu znalazł się właśnie w ścisłym finale najważniejszej nagrody architektonicznej w Europie, Fundacji Miesa Van der Rohe. Co takiego wyjątkowego jest w tym projekcie?

ROBERT KONIECZNY: Ciężko mi wejść w głowy jury, ale gdybym miał zgadywać, to przede wszystkim pomysłowy sposób na odzyskanie starej tkanki. Galeria w niespotykany sposób otwiera się na przestrzeń zewnętrzną. Tak jakby zasysała do środka ludzi niezwiązanych ze sztuką, a przestrzeń dokoła jest też ekspozycją. To prowadzi do demokratyzacji sztuki. Być może ludzie, którzy nigdy nie weszliby do wnętrza, nagle stają w centrum wystawy, zostają przez nią zagarnięci. Grupa odbiorców sztuki może się nagle rozszerzyć dzięki oddziaływaniu przestrzeni. To daje też większe możliwości wystawiennicze artystom, jakby swoimi pracami zaczepiali ludzi. Ale to też ma swoje zaskakujące konsekwencje.

Jakie?

Po czasie zrozumiałem, że chyba bardzo dobre, chociaż początkowo nie było to dla mnie oczywiste. Dążyłem do czegoś innego, sprzecznego z ideą, którą wymyśliłem. Przestrzenie galeryjne to zazwyczaj miejsca hermetyczne, z założenia elitarne, a nie egalitarne. Idea ich otwarcia na otoczenie zrealizowana w tym budynku sprawiła, że galeria stała się raczej domem kultury, który przyciąga wielu ludzi. To miejsce pulsuje życiem, a na wystawy i różne akcje tam organizowane wpływ mają także ci ludzie „wciągani" do galerii, co powoduje zacieranie granic pomiędzy dwoma światami. Tam zacierają się podziały pomiędzy coraz bardziej rozwarstwionym społeczeństwem. Ten projekt nauczył mnie, że muszę czasem oddać pole innym, którzy pewne rzeczy widzą inaczej. Na tym polega demokratyzacja. Nie tylko sztuki.

Pamiętasz widok z okna ze swojego pokoju w rodzinnym domu?

Mieszkaliśmy w domu babci w Kochłowicach. Nie miałem swojego pokoju. Wychowywałem się w kuchni. Był tam bardzo szeroki parapet, na którym lubiłem siedzieć. Przebywaliśmy tam często z babcią – ja na oknie, ona przy swoich zajęciach, i gapiłem się na nasz ogródek, na ulicę, na starą gruszę. To był bardzo stary, wielopokoleniowy dom, nikt już nie pamiętał, jak stary. Do dziś bardzo często mi się śni. Wrastam w miejsca. Kiedy moi rodzice dostali wreszcie mieszkanie w Katowicach, przeprowadzka była dla mnie dramatem. W tym bloku miałem już swój pokój z widokiem na ogródki działkowe.

To nie był typowo śląski krajobraz?

Przeciwnie, on był bardzo śląski i bardzo go nie lubiłem. Z drugiego okna było widać tylko kopalnie i hałdy. Ten industrial działał depresyjnie. Dopiero teraz, po latach, dorosłem do świadomości, że należy go chronić, kultywować. Doceniam go też jako architekt. Oczywiście, teraz kopalnie zmieniają się w muzea, albo miejsca kulturotwórcze. Kiedyś ponury, pejzaż został wreszcie oswojony.

Robert Konieczny przy swojej Arce. Brenna, 10 lutego 2024 r.

JACEK TARAN

JULIUSZ SOKOŁOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE KWK PROMES

Muzeum Narodowe w Szczecinie – Centrum Dialogu Przełomy. Mieszkańcy Szczecina otrzymali plac publiczny, którego w mieście brakowało.

↦ **I dlatego w Twoich projektach jest tak mało Śląska?**

Może to jest odpowiedź? To była kraina, z której uciekałem.

Gdybyś miał opisać archetypiczny dom...

Nasz stary dom był właśnie archetypiczny, jak go dzieci na całym świecie rysują. Cztery kreski, dach, okna. Miał też dobudowaną część nowszą z płaskim dachem. Prosty miks wszystkiego, co dziś widzimy za oknem. Płaskie ze stromym. W Kochłowicach było dużo fajnej architektury: budynki, które miały trafne proporcje, zbudowane z dobrych materiałów. Wielu z nich już dziś niestety nie ma, zawaliły się. Zresztą cały ten stary Śląsk architektonicznie prezentuje się dziś bardzo dobrze. Wszystko miało ręce i nogi, harmonia. Na tym się wychowywałem.

Czym zatem jest perfekcyjna architektura, jak ją zdefiniować?

Nie mam ukutej jakiejś jednej regułki. Ale musi być absolutnie funkcjonalna. To jest podstawa. Jeśli coś jest niefunkcjonalne, żadne fajerwerki tego nie zmienią. Wtedy jest tylko rzeźba, bezużyteczna forma. A jeżeli jest perfekcyjnie funkcjonalna, a do tego absolutnie czysta, pozbawiona niepotrzebnych elementów, to pozostaje z niej tylko to, co powinno, czyli czyste piękno. Proces dochodzenia do takiego punktu jest żmudny i trudny, ale konieczny. To upraszczanie, eliminowanie jest aktem twórczym, jest kreacją poprzez wyrzucanie zbędnych elementów.

I jak to się robi?

Układ domu czy mieszkania możesz narysować gorzej lub lepiej, ale on będzie wciąż tym samym układem. Jeśli nałożysz kilkanaście kalek na rysunek i będziesz go poprawiał niemal w nieskończoność, to uzyskasz wreszcie tę samą przestrzeń, ale z minimalną ilością kresek. Bez żadnych załamań, bez żadnych występów. To będzie przestrzeń klarowna, a przy tym przyjemna. Dla mnie na tym polega esencja architektury. Eliminowanie, dążenie do najbardziej ascetycznej, minimalnej formy. Redukcja.

Czy katastrofa klimatyczna jest wyzwaniem dla architektury? Należy redukować również ze względu na nią?

Takie ostateczne wyzwanie daje też ogromny impuls do stworzenia czegoś nowego. Oczywiście, z jednej strony się martwię, ale z drugiej jako architekt i twórca cieszę się, bo tworzy się – czy też się wymusza – nową przestrzeń do kreacji. Zawsze zazdrościłem modernistom, że mogli tworzyć świat na nowo. I przez to długo miałem odczucie, że architektura zjada już własny ogon. Staje się próżną rewią mody. Wyścigiem na dziwności, czystym efekciarstwem. Mnie to mierziło, nudziło. To było zachwycanie się powłoką, bez zaglądania do wnętrza. Bez zastanawiania się, czy to jest funkcjonalne, oddane życiu, czy tylko zadziwia bezkrwistą rzeźbą.

A teraz?

Trzeba wszystko przemyśleć na nowo. Lepiej projektować, lepiej budować, lepiej eksploatować. Chodzi o wyzwania nie tylko dla architektów. Katastrofa klimatyczna stawia nas wszystkich przed niespotykanymi dotąd problemami. Najgorsze jest to, że jeszcze nikt nie wie, jak zrobić, żeby jej sprostać. Nikt. Podążamy torem, do którego jesteśmy przyuczeni, przyzwyczajeni i z pełną świadomością lecimy na zderzenie ze ścianą.

Przecież nie da się budować więcej?

Samo budowanie jest odpowiedzialne za 10 proc. emisji gazów cieplarnianych, eksploatacja budynków za 30 proc. Hasła pod tytułem „nic już nie budujmy" są naiwne i nierealne. Mówienie, żebyśmy siedli w lesie, w sandałach i jedli jagódki to głupota. Jak budować mądrze? To mnie fascynuje. Nie wiem, czy ktoś już jest blisko jakiegoś globalnego rozwiązania. Musimy sami eksperymentować, robiąc własne projekty, opierając się na dostępnej wiedzy.

Odzyskiwanie, bazowanie na tym, co już jest, tylko ze zmianą funkcji? To się dzieje przecież nie tylko na Śląsku.

Co do tego wszyscy się zgadzają – odzyskiwanie starej tkanki jest mądre. Bazowanie na zasobach porzuconych, zapomnianych jest bardzo ważne. Oczywiście nie można traktować tego automatycznie, bo czasami te budynki są w takim stanie, że ilość energii koniecznej do rewaloryzacji jest większa niż potrzeba na budowę nowego. To jest droga, o której wszyscy wiedzą, ale jeszcze nikt nie wie, jak tworzyć nowe budynki, żeby były na miarę nowej ery. Mnie jest bardzo

ALEKSANDER RUTKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE KWK PROMES

Arka Koniecznego w Brennej. 22 maja 2016 r.

bliska idea *living garden*, czyli wprowadzania żywej zieleni do wnętrz, na naprawdę dużą skalę. A drugą drogą są tak zwane *sunlight buildings*, czyli budynki, które z jednej strony osłaniają od słońca, a z drugiej strony pobierają ze słońca maksymalnie dużo energii. Odpowiedzi trzeba szukać nie tylko w rozwiązaniach elektronicznych, ale też materiałowych, bo na razie ten wybór jest dosyć wąski. Inaczej budujemy tu w Brennej, inaczej w Kalifornii, inaczej gdzieś na Saharze. Trzeba zaprojektować materiał o zmiennych właściwościach, a cały proces budowlany uprościć.

A co z miejskim konfliktem pomiędzy betonozą a „zalesieniem rynków"?

Zachowanie balansu jest bardzo ważne, bo trzeba pamiętać, że rynki w większych miastach muszą czasem pomieścić tysiące ludzi, więc mają inną funkcję niż parki. Tak jak na przykład plac na dachu naszego Centrum Dialogu Przełomy w Szczecinie. Nie wszyscy to rozumieją.

Spotkaliście się z jakąś krytyką?

Były takie głosy, że zabetonowaliśmy miasto. Krytykujący zebrali się na placu, który stworzyliśmy, dając mieszkańcom Szczecina jedyną taką publiczną przestrzeń. Czysta ironia. Gdyby tam wybudowano normalny, kondygnacyjny budynek z klasycznym dachem, to powstałaby kolejna wyspa ciepła, a ci ludzie nie mogliby się spotkać na placu, żeby go skrytykować. Gdybym tam był, to bym ich zaprowadził za filharmonię i pokazał olbrzymi, wielohektarowy park, który jest tuż obok. Nie jestem zwolennikiem dogmatycznego zazieleniania każdego placu. Czy my uzdrowimy Kraków tym, że zrobimy łąkę na rynku? Nie, tylko go zepsujemy. Dlaczego nikt nie mówi o zazielenianiu dachów? To naprawdę diametralnie zmienia sytuację w mieście. Przy projekcie Unikato w Katowicach uparłem się i doprowadziliśmy do tego, że inwestor posadził zieleń na dachu. To jest mech, z którym nie musisz nic robić, ale temperatura dachu, który byłby zrobiony z papy, jest o wiele wyższa niż tego zielonego.

Wspomniałeś o Unikato, który jest po prostu blokiem mieszkalnym. Twoje projekty raczej nie kojarzą się z taką typową mieszkaniówką. Czy jest szansa na to, żeby ten typ zabudowy był funkcjonalny, piękny i odpowiadał na wyzwania, o których rozmawiamy?

Architektura mieszkaniowa to temat, który niezmiennie mnie fascynuje. Niestety u nas rynek jest bardzo popsuty. Deweloperzy chcą dostać koncepcję za darmo i najlepiej gotową w trzy dni. Co najgorsze – za darmo ją dostają. Biura zaczynają zarabiać dopiero na projektach budowlanych. Na szczęście projektując Unikato trafiłem na mądrego dewelopera. Inwestor zlecił trzem pracowniom zrobienie koncepcji, oczywiście za darmo. U nas za koncepcję zapłacił, ale na tej samej powierzchni zaprojektowaliśmy 1300 metrów powierzchni mieszkalnej, a w projektach darmowych było jej zaledwie osiemset. Tylko że my pracowaliśmy nad projektem trzy miesiące, a nie trzy dni. I wygraliśmy, bo lepiej tę przestrzeń ułożyliśmy w tym samym miejscu. Mieliśmy czas na zrobienie mądrej i dobrej architektury.

W Krakowie niedawno wyliczono, że 60 tysięcy mieszkań stoi pustych.

To jest paradoks, ale to też skutek złych rozwiązań prawnych. Ważna jest odpowiedź na pytanie – jak budować mądrze i tanio. Dobrego architekta poznaje się po tym, jak projektuje architekturę mieszkaniową. Jak radzi sobie z centymetrami, które trzeba poupychać na małej przestrzeni. Robimy teraz mieszkaniówkę w Przyborze w Czechach. Przebudowujemy starą fabrykę na mieszkaniówkę dla młodych rodzin. To będą bardzo tanie mieszkania dla ludzi, którzy uciekają z miasta. To jest mądry plan zatrzymania mieszkańców, dania im czegoś fajnego. Tylko że tam burmistrzem jest architekt, Jan Malik. Jest świadomy, wie, co jest dobre, co jest złe w przestrzeni. Prowadzi mądrą politykę mieszkaniową, rzadki przypadek. W Katowicach powstał nowy Nikiszowiec, to miały być tanie mieszkania. Ale są tak oddalone od miasta, że w praktyce mieszkańcy skazani są na samochód. To są częste grzechy pierworodne, które potem trudno naprawić, bo generują kolejne problemy i koszty.

Odpowiedzią są miasta 15-minutowe?

To jest bardzo mądra koncepcja. Trzeba rozbić miasto na mniejsze ośrodki zamiast jednego centrum. One powinny być zupełnie wystarczające, jeżeli chodzi o codzienne życie. Takie osiedla jak Nowy Nikiszowiec wyrzucają ludzi na obrzeża. Budowaliśmy Unikato ↦

ALEKSANDER RUTKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE KWK PROMES

Budynek mieszkaniowy Unikato. Katowice, 2019 r.

↦ w samym centrum, kiedy wszyscy z Katowic uciekali. Teraz to się tak pomału zatrzymuje, Katowice stają się atrakcyjne, ale wtedy nikt nie wierzył, że to się sprzeda, że ktoś będzie chciał tam mieszkać. Choć mało brakowało, by Unikato nie powstało, to teraz okazało się sukcesem, bo się w nim po prostu dobrze mieszka. A przecież tylko o to chodzi.

Ale co z takimi projektami typowymi, powtarzalnymi? Czy jest możliwe, żeby każdy Kowalski mógł sobie zbudować dom według projektu Koniecznego?

Jest to możliwe, ale żeby takie się stało, sam musiałem zmienić sposób myślenia. Wcześniej wydawało mi się, że tylko zindywidualizowany projekt może być dobrą odpowiedzią na czyjeś potrzeby. Niestety, niewielu ludzi na taki projekt stać. Rozwiązaniem jest zrobienie czegoś powtarzalnego, co można by łatwo modyfikować. Pierwsza moja próba (projekt „Dom typowy", przyp. JT) była totalną porażką, chociaż ją bardzo lubię – taki projekt o kształcie ściętego pieńka. Ale cieszę się, że powstał tylko jeden, bo byłoby dramatem dla polskiej przestrzeni, gdybyśmy takie pieńki mieli wszędzie. Wyjście jest inne: kilka bardzo dobrych biur powinno stworzyć katalog mądrze zaprojektowanych, dostępnych cenowo domów, prostych do wybudowania, to by się przysłużyło i pejzażowi, i ludziom. Warto nad tym pomyśleć.

Mówisz o życiu w mieście, ale jednak powstała Arka Koniecznego, gdzie teraz jesteśmy. Z dala od świata. To jest to miejsce, do którego uciekasz od śląskiego industrialu?

Kilka lat temu moja żona powiedziała, że chce się wynieść z miasta, jak wszyscy nasi znajomi. Wtedy mieszkaliśmy w bloku, już we czwórkę. Zbuntowałem się, a potem długo jej tłumaczyłem, że tu wszędzie mamy blisko, wszystko jest pod ręką, a nasi znajomi cały czas muszą jeździć, czyli stać w korku. Postawiła sprawę jasno: jeżeli zostajemy, to musimy mieć jakąś odskocznię za miastem. Kupiliśmy działkę w Brennej i zaczęły się rodzić pierwsze koncepcje.

I jak było naprawdę? Bo według tradycji Noe budował swoją arkę 120 lat, a inna wieść niesie, że Konieczny swoją zaprojektował w trzy dni.

Tak, to było szalone. Na działce już pracowała koparka, powstawał zupełnie inny projekt. Ale coś mi nie pasowało. Przerwałem prace i powiedziałem, że nie robimy tego, że będzie nowy projekt. Powstał rzeczywiście w trzy dni. To znaczy sama koncepcja, bo potem trwały jeszcze żmudne prace projektowe, obliczeniowe. Po trzech dniach zaczęło przypominać barkę. I tak rzuciłem w biurze: „Będzie Arka Koniecznego!" Pośmialiśmy się z tego, bo to nie była przecież oficjalna nazwa tego projektu. Jednak momentalnie się przyjęła i już nikt inaczej o tym projekcie nie mówił. Bałem się, że kiedy ta nazwa pójdzie w świat, to ludzie sobie pomyślą, że jestem nawiedzony.

Przecież ona tak wygląda, jakby właśnie opadły wody potopu, a arka osiadła na zboczu.

Proszę bardzo. Budynek jest przecież tak posadowiony, żeby wody gruntowe, które mogą naruszyć grunt, mogły swobodnie pod nim przepływać. Zresztą Arka realizuje to, o czym rozmawialiśmy na początku. Tu nie ma żadnych elementów zbędnych – maksymalna redukcja. W sensowny sposób wpisuje się też w kontekst otoczenia. To się zwykle rozgrywa poprzez zupełne stopienie się z pejzażem, albo przeciwnie, na zasadzie pewnych kontrastów. Projektując Arkę myślałem o tym, żeby zrobić trwałą skorupę, która będzie pracowała dłużej, niż ja będę żył. Wnętrze jest bardzo łatwo adaptowalne. Budynek jest szary, jak kamienie z rzeki, z których tu dawniej budowano. Teraz nie wolno ich pozyskiwać, ale przecież beton to taki współczesny kamień. Wygląda więc jak głaz rzucony na stok góry – ktoś tak kiedyś

powiedział i bardzo lubię to porównanie. A z drugiej strony jest jak zwykła stodoła, jakich tutaj pełno we wsi. Jedyne, co wyróżnia Arkę, to tylko to odkręcenie od stoku i podcięcie, ta płetwa, która powoduje, że styk z gruntem jest minimalny.

Ale jak rodzi się taka koncepcja? Przychodzisz na działkę klienta i już widzisz – o, ten dom tutaj postawię, tak będzie wyglądał?

Patrząc z perspektywy ponad dwudziestu lat pracy mogę powiedzieć, że najważniejsze to wsłuchać się w życzenia i potrzeby inwestora. Chcę też dowiedzieć się jak najwięcej o miejscu. Nawet czasami śledzimy historię miejsc, których już nie ma. Szukam takiej nadrzędnej idei, która ustawi cały projekt. Dobry pomysł potrafi być odpowiedzią na wszystkie wyzwania, problemy, życzenia, na kontekst. Tego się nie da wpisać do podręcznika. I powiem to z brutalną szczerością – to jest ten punkt, w którym potrzebny jest talent. Rodzaj wrażliwości na otoczenie, które może podsuwać inspiracje mówiące, w którą stronę iść.

Ten sposób projektowania jest bardzo trudny. Ale pozwala oderwać się od swoich przyzwyczajeń, od gustów i pójść w stronę, której jeszcze nie znasz, odkryć coś nowego. Ja to nazywam siłą logiki w projektowaniu. Siłą racjonalnych, uzasadnionych decyzji.

JACEK TARAN

ROBERT KONIECZNY (ur. 1969 w Katowicach) jest architektem, twórcą pracowni KWK Promes. Od 2017 r. jest członkiem francuskiej Akademii Architektury, a od 2022 r. honorowym członkiem Stowarzyszenia Architektów Republiki Czeskiej Obec architektů. Wielokrotnie nagradzany w kraju i za granicą. Za muzeum Centrum Dialogu Przełomy w Szczecinie otrzymał Nagrodę Roku SARP. Jego prywatny dom, Arka Koniecznego, w 2017 r. wybrany został najlepszym domem na świecie. W tym roku projekt Galerii Sztuki Plato w Ostrawie wszedł do finałowej piątki nagrody im. Miesa Van der Rohe.

Na zdjęciu poniżej: Galeria Plato. Widoczne są zachowane historyczne części budynku i zrekontruowane współcześnie z jasnego betonu. Ostrawa, Czechy, 21 grudnia 2022 r.

Ale musi się jeszcze podobać? Być ładne?

Są czasami takie momenty w biurze, gdy coś robimy i nikomu się nie podoba. Bardzo je lubię, bo właśnie wtedy zaczyna się twórczy ferment. Z czego bowiem bierze się samo „podobanie"? Powiedział to już inżynier Mamoń – najczęściej lubimy te piosenki, które już raz słyszeliśmy. A jak dochodzisz do czegoś, co jest nieznane, to musi pojawić się jakiś opór. I wtedy na scenę wchodzi logika. Gust, upodobania muszą zostać wyłączone. One ci tylko powiedzą, że to nie jest dobre, bo tego jeszcze nie widziałeś.

Rozumiem, ale wróćmy do pytania: jesteś na działce klienta i...

...patrzę i czasami widzę już, jak mógłby wyglądać budynek. Ale nie wolno na tym poprzestać, bo jeszcze nie przetrenowałeś innych dróg. Musisz do każdej z nich siąść tak, jakbyś miał zrobić projekt od nowa. I zapomnieć o tym, co już masz, co wydaje ci się prawie genialne. Bardzo to trudne.

Nie przyzwyczajać się do tej pierwszej wersji?

Nigdy. Nie można zaspać i przywiązać się do takiego myślenia: „Jesteśmy w domu! Już jest super, jestem genialny!". Trzeba szukać nowych rozwiązań. Ja do nich dochodzę właśnie w taki sposób – siłą logiki.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

JULIUSZ SOKOŁOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE KWK PROMES

ZARAŻENI CIEKAWOŚCIĄ

IRENA CIEŚLIŃSKA, CENTRUM NAUKI KOPERNIK:

Ilekroć coś tłumaczymy od A do Z – nieważne, czy dziecku czy dorosłemu – odbieramy mu możliwość i wielką przyjemność odkrycia tego samemu. A co w tym właściwie złego, że ktoś popełni na początku parę błędów?

MICHAŁ SOWIŃSKI: O edukacji, szczególnie tej szkolnej, sporo ostatnio rozmawiamy.

IRENA CIEŚLIŃSKA: To dobrze! Trudno o ważniejszy temat. Świat się zmienia i edukacja też się musi zmienić – wszyscy na świecie to czują i każdego to dotyczy. XIX-wieczny pomysł, by młodego człowieka wyposażyć w „podstawową wiedzę ludzkości", jest wyraźnie skazany na niepowodzenie, choćby dlatego, że tej wiedzy jest coraz więcej. Puchnąca podstawa staje się pigułką nie do przełknięcia. Zatem zamiast koncentrować się na przekazywaniu wiedzy, powinniśmy stawiać na rozwój umiejętności. Umiejętności uczenia się, współpracy, dogadywania się z innymi ludźmi. Zdolności dostrzegania i rozwiązywania problemów. Krytycznego myślenia i odwagi mierzenia się z nieznanym. Tymczasem te właśnie podstawowe kompetencje dusimy, zamiast rozwijać, bo przez kilka lat ćwiczymy ludzi głównie w zapamiętywaniu tego, co napisane w podręczniku. W zeszłym roku robiliśmy badania, aby sprawdzić, co sami kilkunastoletni uczniowie uważają w edukacji szkolnej za wartościowe. I okazało się, że poza pisaniem i czytaniem pojawiło się niewiele wątków.

Tyle zmarnowanych okazji, żeby zarażać ciekawością do świata…

Weźmy na przykład biologię – ile tu możemy się dowiedzieć o sobie i świecie dookoła! Tylko dlaczego zaczynamy od nauki o komórkach? Punktem wyjścia powinno być zawsze to, co człowiekowi najbliższe, co widzi i czego doświadcza na co dzień. Komórki są oczywiście ważne, ale na początku wydają się zupełnie odklejone od życia, zniechęcają do pogłębiania wiedzy o przyrodzie. A ile osób, które skończyły szkołę ponadpodstawową, wie, gdzie ma trzustkę i do czego ona służy?

Często nie chodzi nawet o to, że tej wiedzy jest za dużo czy jest niepotrzebna – bywa po prostu, że system jej przekazywania jest źle zaprojektowany. Oddzielenie wiedzy szkolnej od życiowych doświadczeń buduje przekonanie o jej nieprzydatności. A w dalszej kolejności – rodzi taką postawę, że przez szkołę trzeba się jakoś przemęczyć, żeby potem w końcu zająć się istotnymi sprawami, a nie nauką. W szkole uczniowie dowiadują się o mejozie i wojnach fenickich, a w domach trwa dyskusja o szczepieniach i wojnie w Ukrainie.

Jaki więc powinien być cel edukacji?

Rozwijanie samodzielności poznawczej i umiejętności współpracy. Te same nastolatki, które wskazywały, że w szkole stykają się z przytłaczającą ilością nieprzydatnej, z ich punktu widzenia, wiedzy, mówiły, że marzy im się lekcja pod nazwą „przyszłe życie". Chcą się usamodzielnić, rozwijać, doskonalić. Chcą podejmować wyzwania. Chcą je sami określać. Gdyby rodzice, starając się ustrzec dziecko przed problemami, zawsze dostarczali mu gotowych rozwiązań, pozbawiliby go okazji do doskonalenia własnej pomysłowości. Czemu dostarczamy tyle gotowych rozwiązań w szkole?

Byłoby naiwnością spodziewać się, że każdy odkryje wszystko sam. Po co?

Oczywiście. Ale ilekroć coś komuś tłumaczymy od A do Z – nieważne, czy dziecku czy dorosłemu – odbieramy mu możliwość i wielką przyjemność odkrycia tego samemu. Nawet jeżeli dajemy komuś trochę swobody, na przykład pozwalając robić samodzielnie eksperymenty, to na wstępie i tak czujemy potrzebę, żeby wszystko dokładnie wytłumaczyć. Żeby tylko przypadkiem coś nie poszło źle. A co w tym właściwie złego, że ktoś popełni na początku parę błędów? Istnieje w edukacji wiele modeli, w których przede wszystkim podąża się za ciekawością samego ucznia – nie zmusza się do sztywnego trzymania się ram programu, a to niestety rzadkie w naszej szkole. Z badań wynika, że robi tak tylko kilkanaście procent nauczycieli. Co gorsza, im wyższy stopień edukacji, tym częściej dominuje przekaz słowny i wyjaśnienia, rzadziej – metody stymulujące samodzielność myślenia.

W praktyce to jednak trudne.

Wymaga dużo determinacji i odwagi. Miałam nauczyciela matematyki, który trójki stawiał za dobre chęci, czwórki za niezłe wyniki ze sprawdzianów i odpowiedzi, ale piątki tylko za zadawanie dobrych pytań. To dopiero była odwaga – przecież na część z tych pytań sam nie znał odpowiedzi i otwarcie się do tego przyznawał. Przeskok między różnymi filozofiami nauczania widać dobrze, gdy młodzi ludzie idą na studia albo robią doktoraty – tam jest już wymagana duża samodzielność, co dla wielu okazuje się nie lada wyzwaniem. W szkole niestety nie wychowujemy do samodzielności. Tworzymy też fałszywe przekonanie, że gmach wiedzy jest doskonały i skończony, a główna sprawność, jaką należy opanować, to gra w „memory" – dobieranie odpowiedzi do zadanego pytania. Mało mówimy o najciekawszym, o tych obszarach, w których odpowiedzi jeszcze nie ma. A te przecież są najbardziej inspirujące.

Czeka nas przewrót?

Wolę mówić o ewolucji pewnego skomplikowanego ekosystemu. Nazwa naszej nagrody właśnie do tego nawiązuje. Nie chodzi o jeden przewrót, tylko o całą ich serię, o lokalne zmiany, poszukiwanie nowych rozwiązań, czasami metodą prób i błędów. Jedni inspirują drugich i powoli wypracowujemy coraz to lepsze rozwiązania. Gdyby ktoś wymyślił jeden idealny model edukacji, dostałby za to Nobla, a nam zostałoby jedynie jego wdrażanie. Niestety, to tak nie działa.

Czyli dla kogo jest nagroda Przewroty?

Nie ma ograniczeń. Szukamy ludzi, którzy działają w szkole i poza nią. Chcemy wyróżnić działania kierowane zarówno do młodych ludzi, jak i dorosłych, bo edukacja nie ogranicza się wyłącznie do szkoły. Uczymy się nowych rzeczy całe życie, ale w edukacji chodzi również o budowanie lepszych, głębszych relacji międzyludzkich, o zdobywanie kluczowych dla funkcjonowania w dzisiejszym świecie umiejętności. Chcemy nagradzać ludzi i instytucje, które myślą i działają w tym właśnie duchu.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

WALDEMAR KOMPAŁA / / MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA

IRENA CIEŚLIŃSKA – dyrektor programowa w Centrum Nauki Kopernik. Przez lata pracowała w Katedrze Metod Matematycznych na Wydziale Fizyki UW. W latach 2001-2005 redaktor naczelna miesięcznika „Wiedza i Życie".

MATERIAŁ PARTNERA

CZŁONKOWIE KAPITUŁY HONOROWEJ NAGRODY PRZEWROTY O WYZWANIACH, PRZED JAKIMI STOI DZIŚ EDUKACJA W POLSCE:

Przy tak dużej dostępności wiedzy dzieci powinny być uczone tego, jak weryfikować jej źródła. Zamiast całkowicie deprecjonować wiarygodność internetu, trzeba uczyć, jak mądrze z niego korzystać. Dlatego program powinien zostać okrojony z części zagadnień wymagających uczenia pamięciowego na rzecz nauki odpowiedniego korzystania z narzędzi cyfrowych.
AGNIESZKA GRACLIK, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu, zoolożka, edukatorka, popularyzatorka nauki

Samodzielność jest nierozerwalnie związana z odpowiedzialnością, którą chcemy przekazać w sztafecie pokoleń. Podobnie jak ze wsparciem, które nie może odbierać jednostce samostanowienia i odpowiedzialności. Młody człowiek wybierze np. formę dotarcia do szkoły – spacer, rower czy hulajnoga elektryczna, a my powinniśmy zadbać o kartę rowerową czy odpowiedzialne korzystanie z tej hulajnogi.
MICHAŁ SENK, dyrektor Centrum Myśli Jana Pawła II, wieloletni instruktor harcerski

Na nieznaną przyszłość potrzebujemy edukacji, która na nowo wyważa równowagę pomiędzy wiedzą a kompetencjami pozwalającymi działać.

Wszyscy uczniowie i uczennice powinni z edukacji wynosić doświadczenie sprawczości, to ono w największym stopniu buduje podmiotowość.
JĘDRZEJ WITKOWSKI, prezes zarządu Centrum Edukacji Obywatelskiej, doktor socjologii i politolog

Szkoła (czyli nauczyciele) powinna nauczyć się strategii radzenia sobie z najróżniejszymi kryzysami współczesności. Z tego punktu widzenia jesteśmy w idealnym momencie – w sytuacji kryzysu, który zaprasza nas do takiej właśnie lekcji transformacji społecznej.
SŁAWOMIR KASPRZAK, dyrektor Zespołu Szkół Licealnych i Technicznych nr 1 w Warszawie, inżynier mechanik

Jeśli nie zwiększymy zaufania do uczniów: ich kompetencji, wiedzy osobistej, strategii myślenia, zainteresowania własnym rozwojem, jeśli nie przestaniemy myśleć, że uczeń uczy się tylko wtedy, gdy jest nauczany, a wyjście poza standard treści programowych jest niemożliwe, bo „to jest dla nich za trudne", nie zmienimy szkoły.
DOROTA KLUS-STAŃSKA, kierownik Zakładu Badań nad Dzieciństwem i Szkołą na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego

Partner nagrody Przewroty
Patroni medialni nagrody Przewroty
Organizatorzy Centrum Nauki Kopernik

Mural Joego Caslina zachęcający do korzystania z pomocy psychoterapeutów, Dublin, lipiec 2020 r.

LECZENIE DUSZY

Zmagamy się z wewnętrznymi problemami, nie bardzo wiedząc, jaką mają naturę: duchową czy psychiczną. Do kogo się udać: do psychoterapeuty czy do przewodnika duchowego? A może do obu naraz?

PIOTR SIKORA

Czy święty Paweł w drodze do Damaszku doświadczył mistycznego spotkania z Jezusem, czy przeżył epizod dysocjacyjny? A może opowieści ewangeliczne o wyrzucaniu przez Jezusa z opętanych złych duchów są tak naprawdę historią o leczeniu chorób psychicznych (w sposób niezbyt naukowy, ale – szczęśliwie – skuteczny)? Czy „noc ciemna" Jana od Krzyża była depresją? A może zapisane przez świętą Faustynę w „Dzienniczku" momenty, w których widzi Jezusa i rozmawia z nim, są zapisem halucynacji osoby, która cierpiała też na chorobę afektywną dwubiegunową?

Gdzie po pomoc

Wielu wierzącym powyższe pytania mogą wydać się niestosowne, a nawet bluźniercze. Ale inni nie widzą w nich nic zdrożnego. Wpadła mi niedawno w ręce wydana właśnie książka, w której psychiatra i zdeklarowany katolik, prof. Krzysztof Krajewski-Siuda, w książce-rozmowie z katolickim publicystą Tomaszem Terlikowskim („Uleczyć Boga w sobie") analizuje teksty biblijne i mistyczne pokazując, że interpretacja opisanych tam zjawisk w kategoriach psychiatrycznych nie jest nieuzasadniona.

BRIAN LAWLESS / PA IMAGES / FORUM

Pytania takie, jak te postawione wyżej, są jednak nie tylko ciekawe teoretycznie – wiążą się również z ważnymi, osobistymi, egzystencjalnymi decyzjami. Jeśli doświadczysz – czytelniczko/czytelniku – że sens życia gdzieś wyparował i ogarnia cię dojmujący smutek, albo nie będziesz mogła/mógł poradzić sobie w bliskich relacjach, albo przeżyjesz dziwne wewnętrzne doświadczenie, które trudno ci będzie zintegrować z resztą swojego życia: gdzie udasz się po pomoc? Czy będziesz szukał jakiegoś przewodnictwa lub towarzyszenia duchowego ze strony osoby zaawansowanej na jakiejś religijnej drodze? Czy raczej poszukasz gabinetu psychoterapeuty?

Mieliśmy szczęście

W czasach mojej młodości odpowiedź była oczywista. W późnych latach 80. ubiegłego wieku, w jednym z największych polskich miast, mój licealny kolega zakochał się po uszy w dwóch dziewczynach jednocześnie. Miotał się wewnętrznie, cierpiał i zupełnie nie wiedział, co zrobić. „Pogadaj z o. Grzegorzem – radziliśmy mu". Byliśmy w młodzieżowym duszpasterstwie, ale nawet nasi mało pobożni kumple kiwali głowami: „Idź, idź, pogadaj...".

To, że duszpasterz będzie znał się na tym, jak działają uczucia, co robi z człowiekiem zakochanie i jak radzić sobie w ważnych, a skomplikowanych relacjach, nikogo z nas nie dziwiło. Owszem, wiedzieliśmy równocześnie, że mnóstwo księży nie ma pojęcia o sprawach sercowych, w ogóle nie zna się na życiu i nie wie, jak uleczyć zranioną duszę. Wiedzieliśmy też jednak, że to marni księża, niewarci naszej nastoletniej uwagi.

Niektórzy z nas czytali Kępińskiego. Ktoś, po lekturze Horney, opowiadał o neurotycznej osobowości naszych czasów. Ale „Archetypy i symbole" Junga miały po polsku wyjść dopiero za kilka lat, a Marsha Linehan jeszcze nie napisała podręcznika do terapii dialektyczno-behawioralnej. W zasięgu uwagi większości z nas, choć (wbrew rozpowszechnianym dziś opiniom) cierpieliśmy emocjonalnie nie mniej niż dzisiejsza młodzież, nie było pojęcia „psychoterapeuta". Mieliśmy szczęście, bo dorosły, który nas rozumiał i chciał wysłuchać, zakonnik, znał się trochę na życiu i meandrach psychiki.

Duch czy riff

Dzisiaj zapewne – a wśród ludzi młodych z wielkich miast niemal na pewno – bardziej oczywistym wyborem będzie gabinet psychoterapeutyczny, nie rozmowa z duszpasterzem. To psychiatrzy i psychoterapeuci występują w mediach jako autorytety pomagające odnaleźć sens życia, poradzić sobie z egzystencjalnym lękiem, zbudować dobry związek czy pojednać się z rodzicami. Można z tej zmiany się cieszyć, można nad nią załamywać ręce. Na pewno warto zastanawiać się – jak się do siebie ma duch i psychika, duchowość i psychoterapia?

Pytanie jest tym ważniejsze, że popularność terapeutycznych rozmów i książek, a także powracające raz po raz pytanie o relację (granice?) pomiędzy sferą duchową a psychiczną, pomiędzy psychoterapią a duchowością wynika, jak sądzę, nie tylko z przyczyn osobistej wagi tych kwestii. W przestrzeni społecznej pytania takie pojawiają się szczególnie wtedy, gdy wychodzi na jaw, że w jakiejś wspólnocie tworzonej przez bardzo zaangażowanych i wierzących ludzi mają miejsce nie tylko intensywne przeżycia religijne, ale dochodzi także do manipulacji o rozmaitym ciężarze, lecz zawsze skutkujących psychiczną krzywdą – i gdy przy bliższym przyjrzeniu się widać, że religijne doświadczenia i psychiczne rany są jakoś blisko ze sobą związane.

Oczywiście – pytania takie mogą być również czysto osobiste, jak na przykład to, które postawił mi pewnego razu człowiek zaangażowany w ruch charyzmatyczny po wyjściu z rockowego koncertu. Z fascynacją, ale także z lękiem przyznał: „Skacząc w tłumie pod sceną w rytm nadawany przez perkusję, basy i gitarowe riffy, doświadczyłem czegoś bardzo podobnego do tego, czego doświadczam na modlitewnych spotkaniach. I teraz nie wiem, co z moich przeżyć podczas uwielbienia pochodzi od Ducha Świętego, a co jest po prostu wynikiem wzbudzenia mojego układu nerwowego".

Demony wzbudzają myśli

Gdy poznałem lepiej filozoficzne analizy religii i chrześcijańską tradycję, zrozumiałem, że nasz nastoletni pomysł, iż ksiądz – osoba, która powinna znać chrześcijańską tradycję duchową – będzie mógł doradzić w sprawach uczuć, rozwiązywania życiowych dylematów i radzenia sobie z cierpieniem psychicznym, wcale nie był nieuzasadniony. Wiele dzieł, które zajmują poczesne miejsce w historii chrześcijańskiej duchowości, dotyczy kwestii, które dla dzisiejszego ucha brzmią bardzo psychologicznie.

Weźmy choćby takiego Ewagriusza z Pontu – mnicha, żyjącego w IV wieku na pustyni w Egipcie. Rozpracował on bardzo szczegółowo działanie mechanizmów, które nazwał namiętnymi myślami: obżarstwa, nieczystości, chciwości, gniewu, smutku, acedii, próżności i pychy. W późniejszej tradycji Kościoła na zachodzie idee Ewagriusza zostały przekształcone w listę tzw. grzechów głównych. Ale pierwotnie chodziło o rozpoznanie działania mechanizmów składających się z pragnień, emocji, myśli i działań, które wikłają człowieka w uzależnienie. Język, którego używa Ewagriusz, pełny jest metafor oraz kategorii teologicznych (często np. wspomina o demonach ↦

↦ wzbudzających w człowieku namiętne myśli). Z drugiej strony, wprawne oko łatwo rozpozna w tekście wiele twierdzeń i wyjaśnień poruszających się na poziomie psychologicznym – np. dotyczących mechanizmu powstawania emocji, powiązania między różnymi emocjami, a także wzajemnych oddziaływań między emocjami, myślami i działaniami.

Religia wcielenia

Ewagriusz nie jest pod tym względem autorem odosobnionym. Przeciwnie, jest przedstawicielem znacznie szerszej tradycji. Jak sam przyznaje, usystematyzował doświadczenie i opartą na nim wiedzę ludzi, od których na pustyni uczył się o funkcjonowaniu swojego ducha i swojej psychiki. Jego pismami inspirowało się zaś wielu autorów późniejszych, żyjących na przestrzeni wielu wieków. Najbardziej znana antologia ich pism nosi tytuł „Filokalia" – została zredagowana i wydana w XVIII wieku. Zainspirowała ona duchową odnowę w Kościele prawosławnym – a dzisiaj zyskuje coraz większą popularność na chrześcijańskim Zachodzie.

Ani pisma Ewagriusza, ani tradycja zebrana w „Filokalii" nie wyczerpują nurtów chrześcijańskiej duchowości, które mają sporo do powiedzenia o ludzkiej psychice. Karmelitańska mistyka hiszpańska albo szkoła ignacjańska wcale nie są w tej kwestii uboższe czy mniej wyrafinowane – a to tylko niektóre, bardziej znane przykłady. Z teologicznego punktu widzenia nie ma w tym nic dziwnego – chrześcijaństwo jest wszak religią wcielenia, czyli głosi, że boskie i święte przenika wszystkie sfery człowieczeństwa: a więc i psyche (i także ciało).

Powrót do duszy

Z drugiej strony wiele nurtów psychologicznych/psychoterapeutycznych mniej lub bardziej świadomie wchodzi w obszar, który można określić jako przez wieki należący do duchowości i religii.

Myśl Freuda, ojca psychoanalizy, nie zatrzymuje się na granicy tego, co religijne – śmiało wchodzi w ten obszar i interpretuje go w swoich własnych kategoriach. O ile sam Freud był redukcjonistą, to Carl Gustav Jung, jeden z jego najbardziej znanych uczniów, stworzył system psychologiczny i terapeutyczny, który przypomina swego rodzaju gnostycką religię.

Skacząc w tłumie podczas rockowego koncertu, można doświadczyć czegoś podobnego jak podczas uwielbieniowej modlitwy.

W jakim sensie to drugie doświadczenie jest religijne?

Wśród współczesnych spadkobierców Freuda, czyli wśród psychoterapeutów psychodynamicznych można spotkać i takich, którzy czerpiąc inspiracje z filozofii egzystencjalnej, rozwijają teorię i praktykę jeśli nie religijną, to na pewno duchową. Na przykład Małgorzata Opoczyńska, psycholog, profesor UJ, w monografii o psychoterapii pisze: „Psychologia egzystencjalna chce być nauką o człowieku nawiedzanym przez bogów i demony". Postuluje powrót psychologii i psychoterapii do kategorii duszy (i do duszy samej). Pojęcie duszy wyjaśnia zaś odwołując się do myśli filozoficznej poruszającej się w sferze, którą łatwo nazwać sferą duchowości (Heraklit, Platon, Heidegger, Wittgenstein), a także odwołując się wprost – jako do źródła inspiracji – do ksiąg biblijnych. Oczywiście: „bogowie i demony" to wyrażenie metaforyczne, ale wyraźnie wskazuje ono, jakimi poziomami ludzkiej natury zainteresowana jest psychoterapeutka egzystencjalna.

Odróżnienie

Również relację między terapeutą a pacjentem i sam proces psychoterapii Opoczyńska opisuje językiem pełnym podobnych metafor. W jej koncepcji terapeuta i pacjent powiązani relacją terapeutyczną „mieszają się z sobą, wychodząc z siebie i sobie się wydając". W perspektywie psychoterapii egzystencjalnej „relacja psychoterapeutyczna, jeśli zakorzenia się w tym, co rzeczywiste, nieuchronnie otwiera się na *zaświaty*" – gdzie słowo „zaświaty", jak wyjaśnia, odnosi się do rzeczywistości nieuchwytnej empirycznie, choć egzystencjalnie dostępnej tu-i-teraz.

Psychoterapia egzystencjalna, taka, jaką rozwija Opoczyńska, jest może skrajnym przykładem psychoterapii poruszającej się w sferze duchowości. Ale również inni terapeuci psychodynamiczni zauważają bliskie związki duchowości i psychoterapii oraz kłopotliwość z rozdzieleniem tych sfer. Na przykład prof. Dominika Dudek, szefowa Kliniki Psychiatrii Dorosłych w Krakowie, w rozmowie z Jackiem Prusakiem o duchowości i psychoterapii przyznaje: „klinicyści najczęściej dokonują ewaluacji diagnostycznej doświadczeń religijnych/duchowych przede wszystkim w oparciu o własne normy kulturowe. Im bardziej nietypowe (nieprzystające do ich rozumienia duchowości bądź wyznawanej religii) są analizowane przez nich przypadki, tym częściej interpretują je w kategoriach psychopatologii".

Jej rozmówca, Jacek Prusak – jednocześnie ksiądz i psychoterapeuta psychodynamiczny – wiele wysiłku wkłada w odróżnienie tego, co psychiczne, a tego, co religijne. Zarówno w samej rozmowie, jak też w swoich publikacjach naukowych stara się na przykład precyzyjnie odróżnić superego od sumienia, odróżniając jednocześnie sumienie w sensie psychologicznym i religijnym. O ile jednak to pierwsze rozróżnienie można uznać za na tyle udane, że umożliwia, by w pracy terapeutycznej rozgraniczać „kierowanie się w życiu sumieniem od kierowania się w życiu superego", to różnica pomiędzy dwoma sensami sumienia nie jest zbyt wyraźna.

Noc ciemna i depresja

Obydwoje rozmówcy zauważają też podobieństwo pomiędzy duchową „nocą ciemną" a depresją. Prusak próbuje je odróżniać, stwierdzając, że „noc ciemna" – w przeciwieństwie do depresji – musi być poprzedzona doświadczeniem duchowym, a po niej musi następować jakościowy skok wiary. Problem w tym, że nie wiadomo, kto i na jakiej podstawie ma weryfikować owo doświadczenie duchowe oraz jakość rozwoju wiary.

Splot sfer duchowej i psychicznej ujawnia się także w tym, że – jak stwierdza Dominika Dudek – wiara może pomagać w zdrowieniu, budowaniu lepszych sposobów funkcjonowania człowieka w świecie, religia może jednak też służyć jako sposób ucieczki od problemów życiowych lub zapewniać kontekst, w którym dewiacyjne formy myślenia i zachowania uzyskują akceptację społeczną. Bywa wreszcie tak, że „w wielu przypad-

kach religia wzmacnia patologię, jest źródłem wewnętrznych konfliktów, nasila lęk" (często jest tak u cierpiących na zespół natręctw).

Prusak twierdzi, że obraz Boga z jednej strony kształtuje się w dużej mierze w oparciu o relacje z rodzicami (dająca się opisać psychologicznie jakość tych relacji decyduje o obrazie Boga), z drugiej zaś strony to, jaki dana osoba ma obraz Boga, ma duży wpływ na jej zdrowie psychiczne (pewne obrazy Boga mogą skutkować nerwicą, lękami, dysocjacjami). I zauważa: „Istnieją już takie modele terapeutyczne, które *explicite* wykorzystują obraz Boga do zainicjowania procesu zmiany w ramach pomocy psychologicznej".

Duchowy wymiar uważności

Warto przy tym zauważyć, że powyższą uwagę Prusaka można odnieść do bardzo wielu nurtów terapeutycznych. Nie tylko psychodynamicznie zorientowani terapeuci poruszają się w swojej praktyce w sferze duchowości. Podobne zjawisko ma miejsce nawet w nurtach poznawczo-behawioralnych, najbardziej przywiązanych do empirycznego zakorzenienia psychoterapii. O ile u swoich początków psychoterapeuci tego nurtu, z założenia opowiadający się „za rozumem przeciw autorytetom", byli sceptyczni wobec religijności pacjentów, to współcześnie coraz częściej włączają ich religijne przekonania do procesu terapeutycznego. Powstały nawet protokoły terapeutyczne wprost otwarte na religię i wiarę pacjenta. Prowadzi się także badania skuteczności takich protokołów. Metaanalizy tych badań, autorstwa Koeniga i współpracowników oraz Anderson i współpracowników, sugerują zaś, że włączenie przekonań religijnych w proces terapeutyczny nie szkodzi skuteczności procesu, a nawet nieco jej pomaga.

Jeszcze bardziej otwarte na sferę duchową są nurty tzw. „trzeciej fali" terapii poznawczo-behawioralnej. Na przykład Marsha Linehan, twórczyni DBT (nurtu terapeutycznego, którego skuteczność w leczeniu pacjentów z zaburzeniem osobowości *borderline* jest najlepiej empirycznie przebadana), z jednej strony bardzo mocno osadza swoją teorię i praktykę w empirycznie potwierdzonych prawach behawioryzmu, a z drugiej włącza w proces terapeutyczny techniki uważności zaczerpnięte z praktyki zen i chrześcijańskiej tradycji kontemplacyjnej. Oczywiście, modyfikuje te techniki tak, by pacjenci mogli je praktykować niezależnie od wyznawanego światopoglądu. Ale w swoich podręcznikach i programach treningu umiejętności DBT wyraźnie pokazuje także duchowy wymiar uważności. Co więcej, pokazuje również, że proces terapeutyczny w DBT, choć zaczyna się najczęściej od pracy nad behawioralnym powstrzymaniem zachowań samobójczych i parasamobójczych, przechodzi następnie przez kilka etapów, z których ostatni dotyczy poszukiwania sensu życia jako takiego.

Unikać dogmatyzmu

Oczywiście – postulatem wszystkich nurtów psychoterapeutycznych jest nienarzucanie przez terapeutę swoich poglądów i swojej duchowości pacjentowi, ale raczej towarzyszenie temu ostatniemu w jego własnych poszukiwaniach. Jak mówi o tym Krajewski-Siuda, sam deklarujący się jako wierzący chrześcijanin: „Jeśli przychodzi do mnie buddysta, to muszę odszukać w sobie buddyjską stronę mojego myślenia, która pomoże mu stawiać pytania i szukać odpowiedzi, które będą mu bliskie".

W nurcie poznawczo-behawioralnym założenie to prowadzi do przyjęcia trzech zasad obowiązujących w terapii „wrażliwej religijnie": 1. Terapeuta powinien mieć przemyślane własne przekonania religijne. 2. Powinien unikać dogmatyzmu, nawet jeżeli uważa się za osobę religijną. 3. Jeśli terapeuta nie jest w stanie traktować poważnie i z szacunkiem religijnych przekonań pacjenta oraz jeśli nie jest gotowy poznać jego systemu religijnego lub współpracować z duchownym jego wyznania, to nie powinien podejmować się pracy z religijnym pacjentem.

Założenie o nienarzucaniu własnych poglądów jest – być może – najbardziej wyraźną różnicą pomiędzy psychoterapią otwartą na duchowość a duchowym towarzyszeniem w konkretnej tradycji religijnej.

Komplementarność

Gdy weźmiemy pod uwagę jedność psychofizyczną człowieka, nie powinny nas dziwić kłopoty z odróżnieniem tego, co psychiczne, od tego, co duchowe. Możliwe więc, że nie da się wyraźnie odróżnić zakresów kompetencji psychoterapii i duchowości. Zawsze będą powstawać problemy dotyczące kwestii leżących w tym wspólnym obszarze.

Działania przewodników duchowych zawsze będą zatem opatrzone ryzykiem związanym z niedostatecznymi kompetencjami psychologicznymi, a praktyka psychoterapeutów – analogicznym ryzykiem wynikającym z braku kompetencji w kwestiach ducha. Najprawdopodobniej potrzebna jest jak najlepsza współpraca między ludźmi z obu środowisk.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns I 700/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Jerzym Hajdukiewiczu, zmarłym w dniu 17 maja 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn, akt I Ns 490/23 toczy się postępowanie z wniosku Karoliny Skrzypek i Roberta Skrzypka o stwierdzenie zasiedzenie nieruchomości gruntowej o powierzchni 0,23 ha, położonej w Jastkowicach, stanowiącej działkę numer ewidencyjny 427, objętej księgą wieczystą numer TB 1 S/00003637/5, w której jako właściciele ujawnieni są Antoni Kurlej, Bronisława Kurlej, Katarzyna Kurlej, Marianna Kurlej.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i wykazali prawa do nieruchomości pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia, jeżeli zostanie wykazane.

Kościół powszechny po turecku

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z ISKENDERUNU (TURCJA)

Choć sam chciał tu przyjechać, na miejscu napotkał problemy, których się nie spodziewał. Proboszcz katedry w tureckim Iskenderunie ks. Dariusz Dogondke w kilka chwil stracił w trzęsieniu ziemi kościół.

Gdyby ta scena pojawiła się w jakimś serialu, nikt by nie uwierzył. Stoimy na rozległym parkingu w centrum Iskenderunu, między zabudowaniami kościelnymi, należącymi do parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, a wielkim budynkiem urzędu miejskiego. Jest niedziela, na pełnym zwykle parkingu dziś stoi tylko kilka samochodów. Wśród nich nowe auto dwojga tureckich parafian. Po skończonej mszy poprosili księdza Dariusza, by poświęcił ich nowy zakup.

W tle śpiewa muezin, a ksiądz, zgodnie z prośbą wiernych, odprawia modlitwę, częściowo po polsku, częściowo po turecku, a następnie macha kropidłem. Przechodnie zerkają z umiarkowanym zaciekawieniem, jakby nie takie już rzeczy widzieli w mieście, w którym prócz meczetów swoje świątynie mają katolicy, prawosławni, asyryjscy katolicy i ich prawosławni bracia, a także Ormianie.

Modlimy się, by auto służyło użytkownikom dobrze i bezpiecznie, żegnamy się znakiem krzyża i rozchodzimy. To znaczy wierni odchodzą, a ja siadam z proboszczem w przestronnej sali, na ścianach której Pan Jezus sąsiaduje z Mustafą Kemalem Atatürkiem. Pół godziny wcześniej uczestniczyłam w niedzielnej mszy, która – po zawaleniu się kościoła w wyniku lutowego trzęsienia ziemi sprzed roku – odprawiana jest w przylegającej do niego sali wykładowej, która nie ucierpiała podczas katastrofy. Ustawiono tam ołtarz, powieszono obrazy, jest nawet organistka, grająca pieśni religijne na keyboardzie.

Choć to świątynia stworzona naprędce, wygląda lepiej niż niejedna kaplica, jakich pełno było w Polsce w latach 80. i 90. XX wieku, nim parafie zebrały wystarczająco środków i uzyskały pozwolenia na budowę kościołów. Zdziwiła mnie frekwencja: kaplica była pełna ludzi.

Dyskusje religijne

– Nie wszyscy, którzy byli obecni na mszy, to „nasi" – mówi żartobliwie ks. Dariusz. Zaznacza, że wspólnota katolików w Iskenderunie liczy około 60 osób, najczęściej potomków wiernych żyjących tu w czasach sprzed Republiki. Kim są więc pozostali uczestnicy niedzielnej mszy? – Przychodzą też Ormianie, prawosławni, Asyryjczycy – wylicza. – W mieście są ich kościoły, ale nie wszystkie mają duszpasterzy – wyjaśnia kapłan z poznańskiej diecezji, który już piąty rok prowadzi posługę na południu Turcji. Choć – jak mówi – przed nikim nie zamyka drzwi, więcej nie zawsze znaczy łatwiej.

– Miewamy poważne spory teologiczne, wynikające z różnic w doktrynie Kościołów. Podczas gdy ja mówię: „Matka Boska", oni uparcie nazywają Maryję Matką Mesjasza, bo nie uważają jej za matkę Boga. Albo „*katolikos*". W wyznaniu wiary znaczy to przecież tyle, co powszechny, jednak wielu wiernym nie przechodzi to przez usta, jakby się bali, że „wierzą w Kościół katolicki" – wyjaśnia polski duchowny. – Czasem nawet im tłumaczę, że ja też wierzę w Kościół prawosławny w znaczeniu: wierny boskiemu prawu. Ale cóż, nawet w tureckiej książeczce do nabożeństwa użyto zamiast „katolicki" słów „*ulusal*" i „*evrensel*" – uniwersalny.

Z określeniem „*katolikos*" łączy się zresztą jeszcze jedna anegdota, którą opowiada mi ksiądz Dariusz.

– Gdy czas pozwala, staram się zwiedzać Turcję. Zdarzyło mi się podczas jednego wyjazdu trafić do remontowanego właśnie kościoła. Choć trwały w nim prace, pewien Turek wpuścił nas do środka opowiadając, że to kościół katolicki. Weszliśmy zdziwieni, a tam charakterystyczne freski przedstawiające kolejne sobory i greckie napisy, skąd więc pomysł, że to katolicka świątynia? Okazało się, że w odczytanym przez konserwatorów fragmencie wyznania wiary widniejącym na ścianie kościoła stoi właśnie greckie „*katolikos*". Turcy sądzili, że oznacza to, iż kościół jest katolicki. Od nas dowiedzieli się, że to greckie „*katolikos*", czyli „powszechny", jest częścią wyznania wiary, określonego podczas pierwszych soborów, na długo przed podziałem Kościoła na wschodni i zachodni.

Duszpasterstwo elastyczne

Nieporozumień jest więcej. Według księdza Dariusza w Turcji język liturgii „leży". Tłumaczenia są przeciętne, nie oddają sensu i głębi wiary. Należałoby nad nimi

BURAK KARA / GETTY IMAGES

Zniszczony kościół Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny w Iskenderun, Turcja, luty 2024 r.

intensywnie popracować. Ale choć czasem spiera się z wiernymi, stara się nie być małostkowy.

– Ostatecznie to i tak tylko nasze ziemskie problemy i sprawy, a Duch Święty działa po swojemu – mówi i dodaje, że i w Polsce zna dziesiątki katolików, dla których sprawy związane z doktryną Kościoła mają drugorzędne znaczenie. – Albo ich nie obchodzą, albo ich nie rozumieją.

Być duszpasterzem w Turcji oznacza być elastycznym i przygotowanym na wszystko. Duchowni różnych obrządków, nawet jeśli krzywo patrzą na fakt, że wierni raz są na mszy tu, a raz gdzie indziej, starają się sobie pomagać. Gdy do Iskenderunu przyjeżdżał ormiański biskup, nocował na katolickiej plebanii, bo kościół ormiański nie dysponuje miejscem noclegowym. Fragmenty Ewangelii podczas niedzielnej mszy czytał wierny, który godzinę wcześniej był na mszy w kościele prawosławnym.– Jego matka była katoliczką, a ojciec prawosławnym. Córki przystępowały u nas do pierwszej komunii, ale prawdę mówiąc nie wiem, kim czuje się on sam – mówi ksiądz.

Sen o Jezusie

Choć katoliccy duchowni w Turcji nigdy nie prowadzili działań ewangelizacyjnych zakrojonych na tak szeroką skalę, jak np. protestanci, nie znaczy to, że do drzwi księdza Dariusza nie pukają muzułmanie, którzy w Jezusie dostrzegli Boga, a nie „tylko" islamskiego proroka. Duszpasterz z Iskenderunu potwierdza to, co już wcześniej słyszałam od innych katolickich księży w Turcji.

– Niektórzy Kościół poznają dzięki rodzinie czy znajomym, którzy są katolikami, ale wielu doznaje objawień we śnie. Śni im się Jezus albo Maryja, ale znów rozumieją to opacznie. Im się wydaje, że Jezus osobiście do nich przemówił – tłumaczy ksiądz i opowiada historię tureckiego chłopca, któremu podobne sny towarzyszyły od dzieciństwa.

– Babcie i ciotki twierdziły, że mu minie, ale nie minęło. Po latach się ochrzcił.

Chrzest Turka

Wielu Turków ma problem ze zrozumieniem, dlaczego tak długo trzeba się przygotowywać, nim przyjmie się chrzest. Uważają, że skoro aby zostać muzułmaninem, wystarczy trzykrotnie wypowiedzieć wyznanie wiary, system powinien działać podobnie, jeśli chce się zostać katolikiem. Bywa, że fakt, iż to bardziej skomplikowane, rodzi frustrację.

– Mojego tureckiego znajomego do chrztu przygotowywało małżeństwo z naszej parafii. Po pierwszym spotkaniu przyszedł do mnie i powiedział, że więcej tam nie pójdzie, bo traktują go jak uczniaka. Zapytałem, jak inaczej mają go traktować, by czegoś go nauczyć, a on odparł, że wolałby się uczyć u mnie, na herbacie, podczas rozmowy. Prawda, że miał rację? – zauważa duchowny. – Bóg czasem działa inaczej, niż się spodziewamy. Po swojemu.

Ale nie wszystkie historie są tak pozytywne. Od jakiegoś czasu w kościele pojawia się około 30-letni chłopak z muzułmańskiej rodziny.

– Bardzo, z całych sił chce przejść do Kościoła. Gdyby mógł, poszedłby prosto do seminarium, ale jego rodzina, od której jest zależny finansowo i z którą mieszka, zupełnie tego nie akceptuje. Mówię mu: módl się, módl się z całych sił o to, by rodzina zaakceptowała twój wybór, a Bóg wskazał drogę – mówi ksiądz i dodaje, że choć to dorosły mężczyzna, lęk o jego bezpieczeństwo powstrzymuje przed nieprzemyślanymi ruchami.

Gdyby ochrzcił go teraz, naraziłby go na gniew, przemoc, a może i zemstę rodziny. – Prosiłem, by się modlił, czytał Pismo, a do kościoła przychodził wtedy, kiedy mu się uda. Dawno już go nie było.

Gdy wali się świat

Ksiądz Dariusz o wakacie w Iskenderunie dowiedział się, słuchając audycji w Radiu Watykańskim. Od razu poczuł, że to coś dla niego, choć wcześniej nie planował wyjazdu misyjnego. Skontaktował się z tutejszym biskupem, który niemal natychmiast odpisał na maila. – Odpowiedź brzmiała „Przyjeżdżaj, choćby dziś!" ↦

↦ – wspomina proboszcz z Iskenderunu. Tyle że o wyjeździe nie chcieli słyszeć jego polscy przełożeni, proponując nawet „lepszą” parafię na miejscu. – Powiedziałem, że nie ma lepszej niż moja – śmieje się ksiądz Dariusz i wyjaśnia, że dopiero gdy turecki hierarcha sam się do nich odezwał, zgodzili się.

O ile z trudnościami takimi, jak nieznajomość języka tureckiego czy realiów na miejscu, udało się księdzu lepiej lub gorzej uporać (twierdzi, że w jego wieku uczenie się nowego języka nie należy do łatwych zadań), wydarzyło się tam coś, na co nie był przygotowany, choć wiedział, że może się zdarzyć. Trzęsienie ziemi 6 lutego 2023 r. zmiotło katedrę w Iskenderunie, zostawiając tylko kilka ścian i kupę gruzu.

– Kościół został zburzony całkowicie, ale ołtarz nie został zniszczony, a Najświętszy Sakrament został wyniesiony z gruzowiska już po trzęsieniu ziemi. W bocznym ołtarzu ocalała też figura Matki Bożej. A w moim biurze parafialnym wszystko było porozrzucane na ziemi, tylko moja alba wisiała nienaruszona na haczyku.

Nowy początek

Na początku lutego, w pierwszą rocznicę tragedii, wierni pierwszy raz weszli na teren zrujnowanego kościoła. Wcześniej tego nie robili, ze względu na zagrożenie zawaleniem się ocalałych elementów świątyni. W rocznicę uzyskali od władz zgodę, by pomodlić się na gruzach. Tłumowi wiernych ze świecami, którzy ze łzami w oczach patrzyli na pozostałości kościoła, towarzyszyli lokalni politycy i obrona cywilna.

– Modliliśmy się o nowy początek, o to, żeby życie przyniosło Boże błogosławieństwo dla całej naszej wspólnoty, dla Kościoła, żeby wzrastał, żył i rozwijał się – mówi ksiądz Dariusz. Zaznacza, że choć nikt z 60-osobowej katolickiej wspólnoty nie zginął, każdy stracił kogoś bliskiego. – A jednak, choć przeżyli apokalipsę, nie poprzestali na opłakiwaniu kamieni. Patrzą naprzód z odwagą i nadzieją.

Naprzód patrzy też polski proboszcz. Jego pięcioletni kontrakt w Iskenderunie dobiega końca w lecie tego roku. Nie wie jeszcze, dokąd trafi, niedługo będzie rozmawiać o tym z polskimi przełożonymi. Wie, że Bóg działa po swojemu.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Rafy na peryferiach

EDWARD AUGUSTYN

Po pogrzebie ikony LGBT Cecilii Gentili w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku wielu katolików otwartych zdało sobie sprawę, że zaproszenie do Kościoła wszystkich nie może oznaczać zgody na wszystko.

Poza Wielkanocą nie widujemy tu takich tłumów, w dodatku tak dobrze ubranych” – mówił ks. Edward Dougherty, budząc entuzjazm uczestników pogrzebu. Był czwartek, 15 lutego, pierwszy dzień Wielkiego Postu.

Dwa dni później kard. Timothy Dolan, arcybiskup Nowego Jorku, nakazał odprawić mszę ekspiacyjną za bluźnierstwa i profanacje, jakich dokonano podczas pogrzebowego nabożeństwa. Proboszcz katedry, ks. Enrique Salvo, napisał w komunikacie: „Nie mieliśmy pojęcia, że nasza gościnność i modlitwa zostaną w tak świętokradzki i przebiegły sposób wypaczone”.

Transaktywistka

Cecilia Gentili miała 52 lata i była ikoną amerykańskich środowisk LGBT. Urodzona w Argentynie, w dzieciństwie wykorzystywana seksualnie, mając lat 18 zaczęła identyfikować się jako kobieta. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych została transpłciową prostytutką. Aresztowana za posiadanie narkotyków, po odbyciu kary rozpoczęła walkę o prawo do równego traktowania i bezpłatną opiekę zdrowotną dla pracowników seksualnych, kobiet trans, uzależnionych i więzionych. W 2011 r. przyznano jej prawo stałego pobytu w USA, w 2022 r. otrzymała amerykańskie obywatelstwo. Była autorką książek o problemach osób transpłciowych, aktorką w spektaklach i filmach realizowanych przez środowisko LGBT w Nowym Jorku i współorganizatorką protestów antywojennych organizacji Żydowski Głos dla Pokoju. Zmarła 6 lutego 2024 r.

Święta dziwka

Na jej pogrzeb do katedry przyszło ponad tysiąc osób, wśród których najbardziej rzucały się w oczy – strojem i zachowaniem – osoby transpłciowe. Przed ołtarzem, obok trumny, wisiał portret zmarłej w złotej aureoli z napisem: „Święta Matka Dziwka”, wezwania modlitwy wiernych nawiązywały do postulatów środowisk LGBT, wspomnienia bliskich Cecilii, w tym jej partnera, przerywane były oklaskami i skandowaniem imienia zmarłej. Największy aplauz wzbudziło nazwanie jej „wielką dziwką, świętą Cecilią, matką wszystkich dziwek”.

W czasie śpiewu „Ave Maria” jeden z uczestników ceremonii rozpoczął, z okrzykiem „Ave Cecilia”, spontaniczny taniec przed ołtarzem i wśród wiwatującej publiczności. Trwający ponad godzinę film z uroczystości można obejrzeć w Internecie. Relacje z pogrzebu, z najbarwniejszymi fragmentami, pokazały największe stacje telewizyjne. Wybuchł skandal.

Szminki i koronki

Do arcybiskupa Nowego Jorku i proboszcza katedry zaczęli dzwonić oburzeni wierni. Katolickie media i portale społecznościowe pisały o profanacji katedry i bluźnierstwach. Przypominano, że Cecilia Gentili była ateistką (sama się tak określiła, choć przyznawała też, że modli się do Boga), która nie tylko nie porzuciła grzesznego życia, ale do końca je afirmowała i nim się szczyciła. Krytykowano celebransa za to, że używał żeńskich zaimków w stosunku do osoby, która była metrykalnie mężczyzną, i że nie panował nad sytuacją. Chwalono proboszcza za decyzję

STEPHANIE KEITH / GETTY IMAGES

Pogrzeb transseksualnej aktywistki Cecilii Gentili w katedrze św. Patryka, Nowy Jork, 15 lutego 2024 r.

o odprawieniu nabożeństwa ekspiacyjnego, choć domagano się aktu jeszcze większej rangi – ponownej konsekracji sprofanowanej świątyni.

Widok umalowanych, całujących się mężczyzn, ubranych w kobiece suknie jednych gorszył, innym pozwolił spojrzeć w nowym świetle na stroje celebransa, kantora i służby liturgicznej w kolorowych sutannach i koronkowych komżach. Wiwaty na cześć zmarłej i manifestowanie jej świętości dla jednych były prowokacją, dla drugich żywiołową reakcją publiczności, w znacznej części złożonej z imigrantów z Ameryki Łacińskiej.

Wszyscy czy wszystko?

Fala krytyki, jaka spadła na organizatorów uroczystości i ks. Dougherty'ego, głównie z prawej, konserwatywnej strony, tym razem nie spotkała się z odpowiedzią katolików liberalnych – głosy obrońców były rzadkie i ciche. Wydawało się, że Kościół otwarty wpadł na rafę, jaką prędzej czy później musiał na swojej drodze napotkać, obierając kurs na społeczne i kulturowe obrzeża.

Nieliczni próbowali argumentować, że Jezus otaczał się celnikami i nierządnicami, że papież Franciszek przekazał swoje błogosławieństwo i pomoc materialną transpłciowym prostytutkom (zawiózł je im w 2020 r. jego jałmużnik, kard. Konrad Krajewski), że Dykasteria Nauki Wiary zgodziła się, by osoby transseksualne były rodzicami chrzestnymi i świadkami sakramentu małżeństwa (pod warunkiem, że ceremonia z ich udziałem nie stanie się „źródłem zgorszenia"). Jednak wielu katolików otwartych zdało sobie sprawę, być może po raz pierwszy, że zaproszenie do Kościoła wszystkich (zgodnie z papieskim zawołaniem z Lizbony: *todos, todos, todos!*) nie może oznaczać zgody na wszystko.

Uprzedzenia i stereotypy

Ks. James Martin, znany duszpasterz amerykańskich katolików LGBT, który miał prowadzić pogrzeb Cecilii Gentili (zrezygnował z powodu pilnego wyjazdu), początkowo bronił uczestników uroczystości. Zmienił zdanie po obejrzeniu nagrania. W odpowiedzi na moje pytania napisał:

– Problemem było zachowanie niektórych uczestników podczas nabożeństwa, a nie to, że zmarła była osobą transpłciową. Nie raz brałem udział w pogrzebach katolików LGBT, podczas których zachowywano w pełni szacunek i powagę. Musimy być ostrożni w wyciąganiu wniosków, że otwarcie się Kościoła na tych ludzi naraża go na lekceważenie i ośmieszenie. To szkodliwy stereotyp. W wielu parafiach katolicy homoseksualni i transseksualni służą jako szafarze Eucharystii, lektorzy czy kantorzy. A z lekceważącym zachowaniem podczas mszy czy liturgii można spotkać się także wśród katolików heteroseksualnych. Uczestniczyłem kiedyś w pogrzebie, na którym mowa pożegnalna pełna była wulgaryzmów. Kościół jest miejscem szacunku i nikt, bez względu na orientację ↦

↦ czy pochodzenie, nie powinien lekceważyć jego świętej przestrzeni. To miejsce modlitwy, a nie manifestacji poglądów.

Skuteczne prowokacje

W przypadku nowojorskiej uroczystości ucieczka od stereotypów nie jest łatwa, bo niektórzy uczestnicy sami je utrwalali.

Prof. Massimo Faggioli, teolog i historyk Kościoła na Uniwersytecie Villanova w Pensylwanii, podejrzewa, że wiele z kontrowersyjnych zachowań w czasie nabożeństwa było zamierzonych i celowych. Przypomina słowa organizatorów, że chodziło o „historyczne przeciwstawienie się hipokryzji Kościoła i nienawiści wobec osób transpłciowych" oraz „wniesienie do katedry trochę życia i radykalnej radości". Znaczący i obliczony na reakcję był już sam wybór świątyni.

– W Nowym Jorku jest wiele kościołów, gdzie bez żadnego problemu zgodzono by się na pogrzeb transpłciowej aktywistki – mówi Faggioli.

Zauważa, że rodzinie Cecilii Gentili zależało właśnie na katedrze, najważniejszym kościele amerykańskim, odwiedzanym przez papieży, znanym z pogrzebów słynnych osób (np. senatora Roberta F. Kennedy'ego czy strażaków, którzy zginęli 11 września 2001 r.). Licząc się z odmową proboszcza, bliscy zmarłej ukryli istotne informacje o jej życiu i poglądach, do czego później sami się przyznali. Ich działania można więc uznać za prowokację. Która, jak mówi Faggioli, już nie raz okazywała się skuteczną metodą.

– Dzięki prowokacjom udawało się w przeszłości posuwać do przodu sprawy osób LGBT w Kościele – dodaje.

Widok całujących się mężczyzn, ubranych w kobiece suknie jednych gorszył, innym pozwolił spojrzeć w nowym świetle na ornat celebransa i koronkowe komże służby liturgicznej.

Niebezpieczne rafy

Pogrzeb Cecilii Gentili pokazał złożoność problemów, przed którymi staje tzw. Kościół otwarty. Zaproszenie „wszystkich" oznacza nie tylko walkę z ksenofobią i homofobią (wciąż obecnymi wśród katolików, nawet jeśli w mniejszym dziś wymiarze) czy przełamywanie stereotypów, które są źródłem niechęci i wrogości. To także troska o wzajemny szacunek – dla tych, których się zaprasza, i dla tych, którzy w Kościele obecni są od dawna, dla wolności i inności jednych oraz wierności i wrażliwości drugich.

Otwartość na innych nie jest pochwałą dla ich sposobu życia ani podzielaniem poglądów. Co więcej, dbanie, by przestrzeń sakralna nie stała się miejscem ich manifestowania, jest jednym ze sposobów omijania niebezpiecznych raf. Bez względu na to, czy są to poglądy prawicowe i nacjonalistyczne, czy postępowe i liberalne. Tym pierwszym otwarci katolicy chętniej się sprzeciwiają, na te drugie łatwiej przymykają oczy. Choć jedne i drugie trudno pogodzić z nauką Kościoła, także tego otwartego na oścież. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

REKLAMA

CZY NA GRANICY ŻYCIA I ŚMIERCI MOŻNA ODNALEŹĆ MIŁOŚĆ?

Nastoletnia Lena zaplanowała już całe swoje życie. Podczas gdy jej siostra marzy o wyjściu za mąż i fascynuje się cygańskimi wróżbami, których wysłuchuje w taborze nad Sanem, Lena uczy się całymi dniami, by spełnić swój życiowy cel – zamierza studiować medycynę w Krakowie i zostać lekarką. Jest pewna, że nie dopuści, by stereotypy zrujnowały jej wizję własnej przyszłości. Los ma jednak dla niej inny plan. Niespodziewane małżeństwo, macierzyństwo, oderwanie od rodziny, wybuch drugiej wojny światowej i wygnanie na Syberię – to wszystko sprawia, że Lena na nowo musi zdefiniować swoje pragnienia i sens życia. Zdeterminowana, by walczyć o przetrwanie swoje i swojej córki, jest gotowa na wszystko. Na wszystko oprócz miłości. A przynajmniej tak się jej wydaje.

Ludzie z kości to inspirowana rodzinną historią autorki brutalna, szczera i pełna pasji opowieść o dokonywaniu niemożliwych wyborów, a także o niezwykłej umiejętności podtrzymywania płomienia nadziei w najmroczniejszych chwilach. To również opowieść o trudnej polskiej historii, w której splatają się losy Polaków i Ukraińców, wojna zbiera najokrutniejsze żniwo, a emigracja zamiast wyborem staje się koniecznością.

Punktem wyjścia powieści jest historia babki autorki, Polki, która wraz z rodziną została wysiedlona na Syberię w latach czterdziestych XX wieku. Akcja książki rozgrywa się w przedwojennym Przemyślu, w syberyjskim obozie oraz w powojennej Wielkiej Brytanii.

przełożyła Xenia Wiśniewska

insignis

WOJCIECH

Bonowicz:
Małe „ja”, duże „ja”

Jaki masz plan na dziś? Masz w ogóle jakiś? Co chciałbyś, chciałabyś zrobić z tym dniem, miesiącem, rokiem? Czy panujesz nad swoim życiem? Czy jest ono twoją własnością, czy raczej należy do innych? Czujesz się wykorzystywany, wykorzystywana? Najwyższy czas zająć się sobą.

Ten zwrot „do siebie” widać w bardzo wielu obszarach życia. Jest w nim coś pozytywnego: nikt nie powinien być wykorzystywany. Powinniśmy budować społeczeństwo, w którym każdy na tyle przynajmniej będzie mógł liczyć: że jego dobra wola, energia, zdrowie nie zostaną zmarnowane. Że nie tylko nie zostanie skrzywdzony, ale będzie dostrzeżony i doceniony. Że może nie wszystkie jego ambicje będą zaspokojone, ale znajdzie się miejsce, w którym to, co ma do zaoferowania, spotka się z uznaniem. Mieć poczucie, że moje „ja” jest wartością i dla mnie, i w oczach innych – oto jedno z najsilniejszych ludzkich pragnień, dziś chyba silniejszych niż kiedykolwiek wcześniej w naszej kulturze.

Zarazem w tym zwrocie „do siebie” jest też coś niebezpiecznego: może on prowadzić do zawężenia perspektywy, nadmiernej koncentracji na sobie. Nadmiernej, czyli takiej, w której „ja” odrywa się od jakiegokolwiek „my”, ewentualnie traktuje wszelkie „my” jako coś doraźnego, zmiennego, czego wartość jest względna – w odróżnieniu od bezwzględnej wartości „ja”. Jeżeli „my” nie służy „ja”, należy je „rozwiązać”. „My” nie ma do „ja” żadnych praw, tylko „ja” może formować oczekiwania wobec „my”. Umówiliśmy się na coś? Żadna umowa nie jest absolutnie wiążąca. Mam obowiązki wobec innych? Muszę przede wszystkim zająć się sobą, nie mogę zajmować się całym światem. Zresztą na świecie robi się coraz ciaśniej; jeśli mam sięgnąć „po swoje”, muszę przepchnąć się pomiędzy innymi, zrobić to energiczniej, skuteczniej. Albo będę zwycięzcą, zwyciężczynią, albo „ofiarą”.

Pytania, jakie zestawiłem na wstępie, pochodzą z wybranych na chybił trafił programów motywacyjnych. Jest w nich dużo pożytecznych rad – nie neguję tego. Są sytuacje, w których nie wolno odpuszczać, trzeba umieć powiedzieć „stop”, być asertywnym, nawet jeśli miałoby to komuś innemu popsuć humor. Bywa, że trzeba powiedzieć „stop” bliskim, którzy przyzwyczaili się, że jest ktoś, kto dla ich wygody poświęci własne marzenia i plany. Relacje społeczne to ciągła nierównowaga i próby jej naprawiania. Problem w tym, że tendencja „do siebie” narasta i zaczyna przybierać formę zagrażającą samemu „ja”. Uwolnione od odpowiedzialności za szerszy kontekst – za wspólnotę, w której żyje, relacje, które zawiązało, widzialne i niewidzialne więzi, które łączą je z innymi – „ja” przemienia się w „monadę bez okien”. Owszem, życie „bez okien” jest możliwe, zapewne bywa nawet szczęśliwe, nieprzygotowane jest jednak na kryzysy, z którymi jednostka sama sobie poradzić nie jest w stanie. Nie musi być przy tym roszczeniowe ani krzykliwe; obserwuję dziś narastanie czegoś, co mam ochotę nazwać „ciepłym” egoizmem – egoizmem ludzi miłych, zajętych swoimi sprawami w sposób wyczerpujący, niepozostawiający miejsca na inne zaangażowania. „Ciepły” egoizm jest oczywiście znośniejszy niż ten agresywny i krzykliwy, niemniej nadal pozostaje egoizmem.

Mówię o tendencjach, nie o poszczególnych, konkretnych osobach. Na szczęście nie jesteśmy konsekwentni – życie zmusza nas do wychodzenia z izolacji, konfrontuje z czymś, czego się nie spodziewaliśmy, skleja to, co zostało rozklejone. I na szczęście są między nami tacy, którzy budzą sumienia, mobilizują do solidarności, pociągają własnym zaangażowaniem. Pokazują, że można być ofiarnym, wcale nie będąc „ofiarą”, że można i warto się poświęcać, a jednocześnie nie dać się wykorzystać. Że należy o siebie zadbać – ale też, że owo „o siebie” trzeba rozumieć szerzej. Bo „ja” to coś o wiele większego, niż się nam na ogół wydaje. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Kwidzynie pod sygn. akt I Ns 767/23 toczy się sprawa z wniosku Gminy Ryjewo o stwierdzenie nabycia spadku po Wandzie Hawryłycz zd. Bielińskiej, c. Feliksa i Antoniny, zd. Skiermond, urodzonej w dniu 06 stycznia 1946 r. w Mątowskich Pastwiskach, zmarłej w dniu 04 marca 2021 r. w Kwidzynie, ostatnio przed śmiercią przebywającej w Domu Pomocy Społecznej w Kwidzynie i stale zamieszkałej w Ryjewie. W skład spadku wchodzi nieruchomość gruntowa stanowiąca działkę ewidencyjną numer 743 o powierzchni 0,1306 ha, zabudowana budynkiem mieszkalnym, położoną przy ulicy Nowej 11 w Ryjewie.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w szczególności zstępnych dziadków spadkodawczyni, tj. Jana Bielińskiego i Marianny Bielińskiej zd. Kalbukowskiej oraz Stefana Skiermond i Rozalii Skiermond zd. Czubiak, aby w terminie trzymiesięcznym zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kwidzynie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

GRY (PO)WOJENNE

Co się stanie, jeśli Ukraina upadnie? Przeprowadziliśmy wojenno-polityczną symulację ukraińskiej klęski i jej skutków dla Polski oraz Zachodu.

WOJCIECH PIĘCIAK

Swój ostatni rozkaz operacyjny w tamtej kampanii pułkownik Jan Kotowicz wydał w poniedziałek 18 września 1939 r. Wszystko musiało odbyć się porządnie, w ordynku.

Wszak nie po to 49-letni Kotowicz – za młodu ochotnik do Legionów, a teraz dowódca 3. Brygady Strzelców Górskich, broniącej południowej granicy Polski – doprowadził wielkim wysiłkiem swoich ludzi aż tu, w Karpaty Wschodnie, w bojach odwrotowych staczanych w Beskidzie Niskim, Bieszczadach i na koniec pod Starym Samborem. Nie po to zbierał po drodze rozbitków z innych jednostek, czyniąc z nich na powrót wojsko, by teraz dopuścić do chaosu. Nie w chwili, gdy przyszło wypełniać ostatni rozkaz dowództwa – i opuścić Polskę.

W DESZCZU I SMUTKU | Zanim jednak sformułowano wytyczne, o trzeciej w nocy szef sztabu brygady, kpt. Kazimierz Czechowski, spotkał się z węgierskimi oficerami. Aby, jak zapisał w dzienniku jednostki, „omawiać warunki naszego przejścia przez granicę”.

Gdy Czechowski wrócił z ustaleniami do sztabu – ten ulokował się w miasteczku Turka, położonym na południe od Lwowa, już głęboko w górach – Kotowicz podyktował ostatni rozkaz operacyjny (ściślej: chwilowo ostatni; ale tego nie mógł wiedzieć). Zachowany pod postacią dwustronicowego maszynopisu, rozpisywał trasy dla wszystkich oddziałów brygady. I tak, granicę na przełęczy Użockiej jako pierwsi przejść mieli, począwszy od godzin rannych 19 września, najsłabsi: główne tabory, a na nich, można sądzić, ranni zdolni do transportu. Potem, kolejno, pułk strzelców górskich, pułk pieszy KOP, saperzy, łączność, tabory bojowe (tj. wozy z zaopatrzeniem towarzyszące jednostkom) i straż tylna. Wszyscy z bronią. Nic nie miało zostać, nic nie miało wpaść w ręce Niemców i Sowietów.

Wymarsz ku granicy zaczął się wieczorem. Jak pisał Czechowski w dzienniku, „wśród błota, deszczu i wielkiego smutku".

ABY WALCZYĆ DALEJ | Gdy stał na Użoku i patrzył na mijających go żołnierzy, którzy za chwilę mieli zdać broń Węgrom i udać się do obozów internowania, Kotowicz nie mógł wiedzieć i tego, że przejdzie do historii jako dowódca jednej z dwóch dużych jednostek Wojska Polskiego, które w 1939 r. przeszły granice z neutralnymi Węgrami, Rumunią lub krajami bałtyckimi jako formacje nierozbite. Druga to 10. Brygada Kawalerii Stanisława Maczka. Zmotoryzowana, wojnę zaczęła pod Jordanowem i skutecznie opóźniała marsz Wehrmachtu. Opuściła Polskę, także na rozkaz dowództwa, tego dnia co ludzie Kotowicza – przez Przełęcz Tatarską. Również w porządku: półtora tysiąca ludzi, wozy pancerne, artyleria.

Pozostali ze stu kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy, którzy opuścili wtedy kraj, unikając niewoli, pochodzili z jednostek rozbitych. Towarzyszyli im liczni cywile-ochotnicy. Wkrótce zaroi się od nich na zielonych granicach: zdeterminowani, będą przedzierać się na Zachód. Nie po to, by gdzieś w świecie ułożyć sobie spokojne życie, lecz aby móc dalej walczyć: zachować ciągłość państwa, odbudować armię. I nie dopuścić, by zachodni sojusznicy dogadali się z wrogami, akceptując nowy podział Europy.

Tak też miały potoczyć się losy Jana Kotowicza. Internowany na Węgrzech, wróci do Polski, do konspiracji. W 1944 r. będzie ostatnim dowódcą 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, potem trafi w ręce komunistów. To już osobna historia. Choć, jak zobaczymy, i ona jest pełna możliwych analogii.

SCENARIUSZE UPADKU | Czy podobne sceny, jakie we wrześniu 1939 r. miały miejsce na karpackich przełęczach, a także w Zaleszczykach na granicy z Rumunią – po tym, jak Armia Czerwona przypieczętowała upadek II Rzeczypospolitej – zobaczymy wkrótce w Korczowej, Medyce, Hrebennem? A także na przejściach granicznych między Ukrainą a Słowacją, Mołdawią, Węgrami i Rumunią? Czy będziemy świadkami przekraczania granicy przez ukraińskie formacje wojskowe po tym, jak upadnie Ukraina?

Jak miałby wyglądać ten upadek? Można wyobrazić sobie różne scenariusze. Np. ten gwałtowny: gdy front się załamuje, bo armia nie ma już czym strzelać. Albo inny, powolny: gdy front jakoś się trzyma, ale postępuje rozkład państwa, pozbawionego źródeł finansowania, a także gospodarki i struktur społecznych.

Nie miejsce tu jednak, by rozważać scenariusze upadku – nas interesuje efekt finalny i jego skutki dla Polski, Europy i Zachodu po tym, jak Ukraina upada. To znaczy, precyzując to pojęcie: po tym, jak przestanie być krajem wolnym i niepodległym, z własną tożsamością i władzami wybranymi z woli obywateli, a stanie się marionetką, jakąś neo-Ukrainą. Formalnie nadal suwerenną (jak dziś Białoruś), ale faktycznie podporządkowaną Rosji, rządzoną przez ludzi przez nią delegowanych, niedemokratyczną, pozbawianą tożsamości, języka. No i armii.

Słowem – państwem takim, jakim chce ją widzieć Putin. Bo do tego sprowadzają się cele dyktatora, gdy mówi o „denazyfikacji", „demilitaryzacji" i „neutralizacji" Ukrainy. Takie były zamiary Kremla 24 lutego 2022 r. i takie pozostają, Putin niedawno to potwierdził.

POWRÓT DO MAŁOROSJI | W perspektywie historyczno-kulturowej Ukraina stałaby się wówczas tym, czym jej wschodnia i centralna część była przed rokiem 1914, a co oddaje używane wtedy określenie: Małorosja. A także, co możliwe, krajem jeszcze bardziej niż dziś okrojonym terytorialnie – bo pozbawionym nie tylko Krymu i obwodów donieckiego, zaporoskiego, chersońskiego i ługańskiego.

Bo wolno sądzić, iż po upadku Ukrainy Putin chciałby nie tylko sfinalizować aneksję okupowanych już ziem (w jego interpretacji Krym jest częścią Rosji od 2014 r., a cztery obwody od września 2022 r.), lecz chciałby wcielić do niej także inne ośrodki na wschodzie i południu, co do których po 2014 r. pojawiały się roszczenia podbudowane (pseudo)historycznie (hasło „Noworosja") i ideologicznie (hasło „ruskiego miru", rosyjskiej przestrzeni życiowej).

Mogłyby to być Charków, Dniepr (dawny Dniepropietrowsk) i Odessa. Zabór tej ostatniej byłby szczególnie cenny: odcinałby pokonany kraj od czarnomorskiego okna na świat i dałby Rosji lądowe połączenie z kontrolowanym przez nią Naddniestrzem, a więc i możliwość uderzenia na Mołdawię, kolejną „ziemię odłączoną".

ILE MILIONÓW? | Na Ukrainie żyje dziś ok. 30 mln ludzi, może mniej (tyle zostało z 44 mln w roku 2014 po oderwaniu Krymu, Donbasu itd., po wojennym wychodźstwie, a także emigracji zarobkowej). Znaczna część z nich jest zaangażowana w opór militarny i cywilny. Ponad milion ludzi jest w mundurach – prócz armii (ZSU) to wiele innych formacji, jak Gwardia Narodowa (kilkanaście brygad), wojska pograniczne, siły policyjne, służba sytuacji nadzwyczajnych.

Do tego dodajmy ich rodziny, weteranów (rannych, którzy odeszli z szeregów), „otulinę" armii (wolontariuszy), aparat urzędniczy państwowy i samorządowy, kadry edukacyjne itd. – słowem tych wszystkich, którzy uczestniczą w oporze cywilnym.

Po co to wyliczenie? Bo można przyjąć, że w razie zwycięstwa Rosji znaczna część z tych ludzi nie będzie chciała żyć w marionetkowym państwie. Albo nie będzie mogła, bo nie będzie tu dla nich miejsca. Ilu odejdzie? Dziennik „Die Welt" podał niedawno, że wedle szacunku przygotowanego dla rządu Niemiec ↦

Ukraiński żołnierz, który przed chwilą został uwolniony z rosyjskiej niewoli. 31 stycznia 2024 r.

UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SERVICE / AFP / EAST NEWS

↦ można się wtedy spodziewać 10 mln nowych uciekinierów. To jednak raczej szacunek zaniżony – bardziej prawdopodobne, że kraj rządzony przez Kreml i jego kolaborantów wolałoby opuścić nawet kilkanaście milionów.

NOWE WYCHODŹSTWO | Rzecz jednak nie w liczbach, lecz w tym, kim byliby ci nowi emigranci. Oraz jakie mieliby oczekiwania, jaki pomysł na swoją przyszłość. A byliby to – inaczej niż zimą/wiosną 2022 r. – w dużej mierze nie ludzie, którzy chcą uciec, by znaleźć schronienie, przeczekać, a niekiedy znaleźć sobie na stałe nowe miejsce do życia. Teraz byłoby inaczej: byłoby to wychodźstwo polityczne. I militarne.

Jesienią 1939 r. polscy żołnierze, politycy i także przedstawiciele elit opuszczali kraj z przekonaniem, że to nie koniec. Szli do Francji, a po jej upadku do Anglii nie po to, by ułożyć sobie nowe życie. Również dziś Ukraińcy – a przynajmniej znaczna ich część – opuszczaliby kraj po klęsce w przekonaniu, iż to jeszcze nie koniec tej historii.

Że walka będzie trwać – z terenu Polski, Niemiec, krajów bałtyckich i skandynawskich, Rumunii. Że będą mogli odtworzyć tu struktury polityczne, zachować ciągłość państwa (rząd emigracyjny w Rzeszowie?). Odbudować wojsko – armię ukraińską na Zachodzie. Szukać możliwości bicia wroga na wszelkie możliwe sposoby (w tym przenosząc wojnę także na teren Białorusi; jest ku temu potencjał pod postacią białoruskich jednostek). I koniec końców aby nie dopuścić, żeby sojusznicy dogadali się z Kremlem, akceptując nowy podział Europy.

DRAMATYCZNY DYLEMAT | Podkreślmy, bo to konstatacja dla tej „gry" wojenno-politycznej kluczowa: można się spodziewać, iż ta ukraińska emigracja będzie chciała nadal walczyć, i to nie tylko politycznie, bez przemocy. Oraz że w tej walce, także zbrojnej, będzie oczekiwać wsparcia: tego, że kraje zachodnie, a zwłaszcza Europa Środkowa, staną się jej zapleczem operacyjno-logistycznym.

Determinacja Ukraińców, by kontynuować walkę, postawiłaby Zachód, a zwłaszcza kraje Europy, przed dramatycznym wyborem. Musiałyby zdecydować: albo będą ich wspierać (akceptując, iż wschodnie pogranicze NATO i UE stanie w ogniu), albo będą szukać ugody ze zwycięską Rosją. Nie byłoby tu wyboru bezbolesnego – każdy miałby jakieś konsekwencje.

Jeśli Rosja pobije Ukrainę, skutkiem będzie nie tylko nowe ukraińskie wychodźstwo i jeszcze większy apetyt Putina. Napięcia, jakie wtedy powstaną, mogą rozsadzić NATO i UE.

W pierwszym scenariuszu (Europa wspiera walkę Ukraińców) byłaby to groźba starcia z Rosją, w którym Putin odgrywałby przed światem rolę ofiary. Bo można wyobrazić sobie, iż po zwasalizowaniu Kijowa uczyniłby natychmiast to, co zrobił w lutym 2022 r., po uznaniu niepodległości dwóch „republik" w Donbasie: zawarł z nimi umowę o sojuszu. Dało mu to argument propagandowy, iż atakując Ukrainę, zapobiega „ukraińskiej agresji" na Donbas.

WYBÓR Z KONSEKWENCJAMI | Także teraz jedną z pierwszych umów między Kremlem a marionetkami w Kijowie byłaby zapewne ta gwarantująca neo-Ukrainie, iż agresja na nią będzie równoznaczna z agresją na Rosję. Przy czym, znowu, to w gestii Putina byłaby interpretacja, co jest tutaj agresją. A byłoby nią dla niego nie tylko wsparcie, ale samo już tylko tolerowanie przez kraje NATO ukraińskich aktywności prowadzonych z ich terenu. Można się wtedy spodziewać tego, co już znamy – gróźb użycia broni jądrowej.

Wygłaszane już wcześniej dla zastraszenia Zachodu, dotąd nie odnosiły efektu. Jak byłoby teraz? Czy Europa byłaby gotowa pójść taką drogą i podjąć – w imię solidarności z pragnącymi walczyć nadal Ukraińcami – ryzyko konfrontacji? Bo to nie byłaby już „zimna wojna bis" – to byłoby już bezpośrednie, aktywne zwarcie z Rosją. Nawet jeśli pod progiem wojny, to blisko pod progiem.

Jest jeszcze ten drugi scenariusz, bardziej ponury: NATO i UE idą na ugodę z Putinem. Uznają, że dalsze wspieranie ukraińskiej walki o wolność nie ma sensu, nie ma szans powodzenia, jest zbyt ryzykowne itd. (niepotrzebne skreślić).

Tyle że i taki wybór miałby swoje konsekwencje. Wśród nich: zaprzeczenie ideałom, na których zbudowano NATO i Unię Europejską (ktoś mógłby powiedzieć: zdrada ideałów). A także: konieczność aktywnego, może zbrojnego wystąpienia przeciw aspiracjom Ukraińców i przeciw nim samym. Bo jeśli nie byliby oni skłonni złożyć broni, konieczne byłoby najpierw rozbrojenie ich siłą, a potem zwalczanie (dosłownie) ukraińskiego podziemia funkcjonującego w krajach zachodnich. Jego pacyfikowanie.

CO Z ZACHODEM? | To nie koniec możliwych skutków. Prawdopodobne, że przy obu naszkicowanych wyżej scenariuszach Putin osiągnąłby to, co jest jego długofalowym celem – tj. destrukcję NATO i UE, osłabienie ich, może nawet ich rozpad. I to wszystko bez rozpoczynania otwartej klasycznej wojny z Sojuszem (wokół czego trwa dziś główna dyskusja w Polsce i Europie).

Skąd takie przekonanie? Z obserwacji tego, co dzieje się w ostatnich dwóch latach po stronie zachodniej. Nawet dziś, wobec krytycznej sytuacji Ukrainy, której brakuje broni i innych materiałów wojennych, kraje NATO i Unii nie są w stanie realizować wspólnej i zdecydowanej linii – i przekazywać jej tego, co potrzebuje, by zachować zdolność oporu i przetrwania. Ryba psuje się od głowy – od USA, które, szarpane wewnętrznym konfliktem, abdykują z roli lidera Zachodu.

Skoro tak jest dziś, tym bardziej wątpliwe, by kraje Europy i USA (zwłaszcza pod rządami Trumpa) ustaliły wspólną linię po ukraińskiej klęsce, w konfrontacji z jednej strony ze zwycięską Rosją, a z drugiej strony z ukraińskimi oczekiwaniami. Możliwe, iż państwa z zachodniej i południowej części kontynentu, w tym Francja, Włochy i Hiszpania (te, które dziś wydają najmniej na własną obronę i najsłabiej pomagają Ukrainie; jedno z drugim idzie tu w parze) – będą skłonne ugodzić się z Rosją i zaakceptować podbój Ukrainy.

STRATY NIEUNIKNIONE | Co zrobią wtedy Niemcy? Te wprawdzie zwiększają pomoc dla Kijowa, lecz wciąż w stopniu nieadekwatnym do ich potencjału. A także wciąż w sposób defensywny, chowając się za plecami USA (kanclerz Scholz

wiele razy powtarzał, iż jest gotów przekazać Ukrainie kolejne rodzaje broni, o ile najpierw uczynią to USA). Po klęsce Ukrainy w Niemczech zapewne nasilą się głosy za ugodą z Rosją. Rzecz jasna w imię pokoju, politycznego realizmu, uniknięcia eskalacji itd. Taka nowa wersja „*besser rot als tot*", lepiej być czerwonym niż martwym – hasła z demonstracji antynatowskich z lat 80. XX w.

A jak postąpią wtedy kraje „flankowe", w tym Polska, państwa bałtyckie i skandynawskie, Rumunia? W gruncie rzeczy – z punktu widzenia spójności i integralności Zachodu – jakkolwiek by one nie postąpiły, nie zapobiegnie to powstaniu tak potężnych różnic zdań, napięć i obciążeń, że Unia i NATO mogą tego nie wytrzymać.

I znowu: straty te byłyby nieuniknione niezależnie od tego, jaką drogę Europa by wybrała po ukraińskiej klęsce: czy „prometejską", czy „kunktatorską". Niezależnie, czy zachowałaby się jak Churchill z 1940 r. (ten, który „w godzinie mroku" obiecał rodakom „krew, pot i łzy"), czy jak Churchill z roku 1945, porzucający w Jałcie na łaskę Stalina polskich sojuszników, a wraz z nimi spory kawał Europy.

NIC NIE JEST PRZESĄDZONE | To wszystko nie musi się wydarzyć. Nie ma tu determinizmu. Wszystko zależy od tego, co kraje Zachodu zrobią albo nie zrobią. A naszkicowana wyżej „gra" wojenno-polityczna prowadzi do kilku konkluzji.

Pierwsza: dalsze pomaganie Ukrainie, wspieranie jej zdolności do oporu i przetrwania – to nie jałmużna ani dobroczynność. To inwestycja we własne bezpieczeństwo Europy i NATO. Także w przetrwanie Zachodu jako wspólnego i spójnego organizmu. Także w tym sensie, że lepiej, by rosyjskie czołgi były zatrzymywane pod Kupiańskiem, Kramatorskiem i Awdijiwką, niż gdyby stały na wysokości Lublina i Przemyśla (formalnie jako siły sojusznicze neo-Ukrainy).

Druga: koszty dalszej pomocy militarnej i finansowej dla walczącej Ukrainy, które pozwolą jej funkcjonować jako państwo i zachować zdolności obronne, będą niewspółmiernie niższe niż hipotetyczne koszty, które przyszłoby Europie płacić, jeśli Ukraina upadnie (płacić na wielu poziomach: finansowym, politycznym, militarnym, ideowym).

Trzecia: nawet gdyby Europa musiała wypełnić lukę po tym, jak skończy się pomoc z USA, a więc wziąć na siebie cały ciężar tej pomocy, byłoby to nadal mniej kosztowne niż spodziewane katastrofalne straty, jakimi skutkowałby upadek Ukrainy. Także w sferze kapitału moralnego Zachodu. Odtąd żylibyśmy w świecie, w którym reguły ustala Putin. Czyli w takim, gdzie nie ma reguł.

Czwarta: czas jest taki, że wymaga decyzji szybkich, niekonwencjonalnych i ryzykownych. Kierunek – a w każdym razie: kierunek dla krajów, które nie graniczą z Rosją i są dziś chronione np. przez Polskę – wskazała premier Danii. Podczas niedawnej konferencji na temat światowego bezpieczeństwa w Monachium Mette Frederiksen ujawniła, że Dania przekazała Ukrainie „wszystkie swoje zasoby artyleryjskie".

Jest późno. Ale wciąż nie za późno.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Korzystałem z książki: Krzysztof Pięciak, Piotr Sadowski „Brygady Górskie Strzelców", część 1 i 2 (wyd. 2020).

Upadek Awdijiwki

ANTONINA PALARCZYK

Już wiosną 2014 r. to miasto znalazło się na linii frontu wojny, rozpoczętej przez Rosję w Donbasie. Przez 10 lat opierało się atakom. Aż do teraz. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy przeżyli chaotyczny odwrót.

Cześć, żyjesz?

– Cześć, żyję. Ale to trochę nieładnie tak pytać.

– Przynajmniej szczerze. Rotowali was?

– Nie, a mieli?

– Słyszałam, że część oddziałów z waszej 110. Brygady wreszcie miała rotację. Że po dwóch latach na froncie, w Awdijiwce, zostaliście wreszcie wycofani na odpoczynek.

– My nie. Takie życie – mówi Bohdan. Teraz przynajmniej jest w stanie wydobyć z siebie głos, po przedłużającym się pobycie w szpitalu. Trafił tam z uszkodzonym gardłem po tym, jak na drodze do Awdijiwki jego samochód został ostrzelany. Na tym odcinku frontu Bohdan tkwi od niemal dwóch lat jako dowódca kompanii w 110. Brygadzie Zmechanizowanej.

ODWRÓT | Agonia Awdijiwki trwała kilka miesięcy. Ostatni jej etap – kilka dni.

To 30-tysięczne kiedyś miasto – ośrodek przemysłu chemicznego, sąsiadujący z Donieckiem, stolicą obwodu – już wiosną 2014 r. znalazło się na linii frontu rozpoczętej wtedy przez Rosję wojny w Donbasie. Przez kolejne prawie dziesięć lat skutecznie opierało się rosyjskim atakom. Nasiliły się od początku października 2023 r. Według szacunków ukraińskiego sztabu generalnego w ostatnich czterech miesiącach Rosja straciła w nich ponad 40 tys. żołnierzy, zabitych lub rannych. Wokół miasta powstały cmentarzyska rosyjskiego sprzętu.

„Siły rosyjskie wypchnęły nas z miasta tysiącami ton mięsa i bomb" – powiedział teraz oficer prasowy 110. Brygady (mówiąc „mięso", miał na myśli rzucanych co i rusz do natarcia Rosjan z kolejnych jednostek). A choć ukraiński odwrót nastąpił błyskawicznie – miasto nie było wydzierane z rąk obrońców po kawałeczku, tak jak zajęty wiosną 2023 r. Bachmut – to zdaniem analityków wojskowych wycofanie się i tak było spóźnione. Tak jakby nie wyciągnięto lekcji z wcześniejszych doświadczeń w Siewierodoniecku i Sołedarze, gdzie siły ukraińskie również uporczywie broniły beznadziejnych już pozycji, ponosząc duże straty.

17 lutego o drugiej w nocy gen. Ołeksandr Syrski, od niedawna głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy, ogłosił decyzję o wycofaniu się z miasta.

OLENA | Są takie treści, które z równą popularnością są udostępniane i w ukraińskiej, i w rosyjskiej przestrzeni internetowej. Jesienią 2023 r. na nagłówki Telegrama trafiła Olena Iwanenko, fioletowowłosa żołnierka z 47. Brygady Zmechanizowanej „Magura". Wyposażona w wozy pancerne Bradley i czołgi Leopard, latem 2023 r. „Magura" szła w szpicy kontrofensywy na Zaporożu. Teraz, od kilku już miesięcy, walczy pod Awdijiwką.

Na opublikowanym w sieci filmie Iwanenko ma zaschniętą na policzku krew. Cudzą. Płacze i krzyczy: „Nigdy nie myślałam, że będę nagrywać takie wideo, ale ja nienawidzę tej wojny! Nienawidzę tej wojny!". Krzyk przerywa kolejny niepowstrzymany wybuch płaczu. „W ciągu ostatnich kilku godzin ilu straciliśmy braci! Tylu braci, tylu nie straciłam w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Do diabła ze wszystkimi, którzy za to odpowiadają!".

Wideo, chętnie udostępniane przez Ukraińców, równą popularność zdobyło w internecie rosyjskim – tutaj jako treść, która powinna, jak dowodził rosyjski internauta, zainteresować „nie tylko bliskich Oleny, ale także ukraińskich dowódców, którzy przez różowe okulary przyglądają się temu, co dzieje się na froncie".

POZYCJA | 14 lutego, na trzy dni przed komunikatem gen. Syrskiego. Ukraińska pozycja o kryptonimie „Zenit", położona w samej głębi Awdijiwki, między zaciskającymi się szczękami rosyjskimi.

Wiktor Biliak, szeregowy żołnierz 110. Brygady, na przekór losowi przeżywa próbę wydostania się z niemal otoczonej pozycji. Jest ranny, ale żywy.

Dwa dni wcześniej pierwsza dziesiątka żołnierzy próbowała wydostać się z „Zenitu". Musieli zrezygnować. Na koniec tylko trzem udało się wrócić z powrotem na pozycję (wszyscy ranni), pozostali zginęli. Za drugim razem otrzymali obietnicę ewakuacji. Na wyrost.

„Główny plan to katastrofa albo katastrofa. Na ulicy zerowa widoczność, potem kilometr przez pole, jesteśmy jak banda ślepych kociaków, nawigowana dronem. Wroga artyleria. Droga do Awdijiwki usłana jest naszymi trupami" – pisze potem Biliak w poście.

Wpis opatrzony jest zdjęciem jego mokrych oczu i przyciskanego do ust opatrunku.

Biliak cytuje dialog z radia, którego był świadkiem, między dowódcą a jego podwładnymi, którzy zostali na otoczonej pozycji:

„Ranny: Co, ewakuacji nie będzie?

Dowódca: Nie, nie będzie, zostaw rannych i wszystko spal!".

Oficer nie wiedział, że rozmawia z samymi już rannymi. W „Zenicie" zostało ich co najmniej sześciu. Wszyscy zginęli.

NARCISO CONTRERAS / ANADOLU

Okolice Awdijiwki po ukraińskiej stronie linii frontu, trzy dni po upadku miasta. Mimo ciężkich walk w strefie frontowej przebywa wielu cywilów, którzy nie chcą lub nie mogą uciec. 20 lutego 2024 r.

DEMOTYWACJA | „Ukraińcu, dokonaj swojego wyboru!" – krzyczy nowy rosyjski spot skierowany do żołnierzy armii ukraińskiej. Spot pojawia się na fali popularności internetowego wpisu Wiktora Biliaka.

W spocie ranny żołnierz po omacku sięga przed siebie drżącymi rękami, czołga się przez okop, którym naprzeciw niego idzie kilku Rosjan w pełnym rynsztunku. Ukrainiec nieruchomieje. „To nie nasz!", woła rosyjski żołnierz, pochylając się, by odczytać litery z nieśmiertelnika rannego. „Już nasz! Ewakuacja!", krzyczy jego kompan.

Potem jest szpitalna biel, rytmiczne pikanie aparatury medycznej i pielęgniarka pytająca rannego aksamitnym głosem, jak się czuje. Żołnierz czuje się znacznie lepiej.

Przy wtórze fortepianu pracownik szpitala odciąga pielęgniarkę ze słowami: „Przyjechali! Chodź, idziemy głosować!" (to przyjechała mobilna komisja wyborcza, jedna z tych, które rannym żołnierzom mają umożliwić udział w „wyborach" prezydenckich w Rosji). Ukraiński jeniec chwyta laskę, chce podnieść się z łóżka.

Powstrzymuje go drugi jeniec: – A ty gdzie? To nie dla nas, u nas nie ma wyborów.

– Ja już dokonałem swojego wyboru – rzecze ten pierwszy z promiennym uśmiechem.

– Przecież nie masz rosyjskiego paszportu.

– Dadzą – jeniec uśmiecha się jeszcze szerzej. A olśniony jego słowami towarzysz drze i depcze swój ukraiński dokument tożsamości.

BOMBY | Odwodowa ukraińska 3. Brygada Szturmowa (służy w niej wielu żołnierzy z dawnego pułku „Azow") oficjalnie potwierdza 15 lutego, że w nagłym trybie została rzucona pod Awdijiwkę, by wesprzeć tam obronę. Następnego dnia brygada publikuje nagranie z piwnic Zakładu Koksochemicznego, kompleksu przemysłowego na obrzeżach miasta.

Żołnierze tłoczą się w ciasnych podziemnych korytarzach, wokół płomieni świec okopowych. Głos z offu: „Po 60 bomb lotniczych na dobę, w dzień i noc. Rosjanie używają pocisków fosforowych, które powodują zapłon w zakładowych zbiornikach. Trujący smog rozprzestrzenia się po całej fabryce. Od teraz to jest nowy dom 3. Brygady Szturmowej. Czy czegoś to nie przypomina?".

Te kierowane bomby lotnicze – to wielki atut Rosjan. W rejonie Awdijiwki udało im się uzyskać przewagę w powietrzu. Nie niepokojeni przez ukraińskich przeciwlotników, zrzucają ich po kilkadziesiąt dziennie na ukraińskie pozycje.

Rosyjski kanał Readovka na Telegramie nie przepuszcza takiej okazji. Nagranie z piwnic zaczyna śmigać również po rosyjskiej sieci. Opatrzone komentarzem: „Azowcy znowu wleźli do podziemia, tym razem awdijiwskiej koksowni, próbując zamienić ją w drugi Azowstal. Nasi bojownicy obiecują zrobić z tych katakumb masowy grób. Nikomu nie damy szans na ucieczkę".

„KIJÓW TO ROSJA" | Tego samego dnia w centrum miasta zjawia się jednostka tuwańskich „Czarnych Lampartów". Rosyjski internet triumfuje: „Lamparty" „powtarzają wyczyn swoich przodków", wciągając flagę „na pomnik żołnierzy sowieckich – wyzwolicieli". Pomnik stoi w parku naprzeciw dworca kolejowego.

Kilka godzin później los pomnika podzieli słynny znak przy wjeździe do miasta. Tutaj, przy napisie „Awdijiwka to Ukraina", obowiązkowo robił sobie zdjęcie każdy, kto trafiał do miasta, także odwiedzający żołnierzy prezydent Zełeński. Tutaj zatykano flagi ukraińskich brygad operujących na tym odcinku, a także flagę klubu piłkarskiego Szachtar Donieck.

Teraz flaga jest tylko jedna: czerwona, z sowiecką, jak się zdaje, emblematyką. Niewyraźne nagranie z kamery drona obiega internet, rosyjski i ukraiński.

„Rosjanie naprzód!" – nawołuje Readovka, relacjonując heavymetalowy koncert w moskiewskim klubie Gorod, podczas którego świętowane jest to zwycięstwo rosyjskiej armii. Wśród trzystuosobowej publiczności niemal sami młodzi mężczyźni, którzy najwyraźniej jakoś wymknęli się mobilizacji. Na scenie prawosławna grupa hardcorowa Ot Junisti Mojej (czyli „Od mojej młodości") i punki z Bandy Czterech. Wszyscy skandują: „Awdijiwka jest nasza!", „Kijów to rosyjskie miasto".

Readovka pisze, że uczestnicy koncertu złożyli hołd pamięci żołnierzy, którzy polegli „za wyzwolenie ziem rosyjskich".

BUTELKA | Pozostawieni na pozycji „Zenit" ranni nie zdążyli obejrzeć spotu „Ukraińcu, masz wybór!". Zostali rozstrzelani zaraz po tym, jak trafili do niewoli. Koledzy rozpoznali ich na umieszczonym przez Rosjan w internecie wideo z „Zenitu", na którym widać sześć ciał.

Pozycja została zajęta 15 lutego około godziny dwunastej. Cztery godziny później wideo po egzekucji trafiło do ↦

PIOTR SOBIK X3

Od góry: przed wojną Oczeretyne liczyło 4 tys. mieszkańców, dziś została garstka starszych ludzi, którzy żyją w piwnicach. Czasem jednak trzeba wyjść na powierzchnię. 17 lutego 2024 r. W środku: zniszczone Oczeretyne, kilka kilometrów na zachód od Awdijiwki. 17 lutego 2024 r. Poniżej: nowe linie obronne, formowane po utracie Awdijiwki, obsadza tu 59. Brygada. Borys jest jej żołnierzem. Ataku spodziewają się w każdej chwili. Oczeretyne, 18 lutego 2024 r.

↦ internetu. Wcześniej, jak podaje ukraiński telegramowy kanał Deep State, jeden z rannych zdążył napisać w komunikatorze Signal (szyfrowanym, stąd popularnym wśród żołnierzy): „Ni chleba, ni chuja, zostało tylko pół butelki wody". Na wideo jeden z zabitych wciąż trzymał w ręce tę butelkę.

JEŃCY | W poniedziałek 20 lutego „New York Times" podaje, powołując się na źródła w armii ukraińskiej, że podczas źle zaplanowanego odwrotu z Awdijiwki do niewoli trafiło kilkuset Ukraińców, może nawet tysiąc. Armia oficjalnie temu zaprzecza (wcześniej przyznawano, że niewielka liczba żołnierzy zaginęła, tj. mogła pójść do niewoli).

Publikacja amerykańskiego dziennika odbija się dużym echem na Ukrainie. Także strona rosyjska podchwytuje artykuł „NYT" i chętnie przytacza pochodzące z niego dane.

W komunikatorze Telegram jest wiele rosyjskich kanałów o nazwach typu „Martwi żołnierze ZSU". Teraz zalewają je materiały opisane jako pochodzące z zajętej Awdijiwki. Na zdjęciach i filmach: ukraińscy jeńcy, ciała leżące na ulicach. 19 lutego kanał Rybar twierdzi, że w koksowni wciąż są oddziały 3. Brygady (ale ten sam kanał twierdził wcześniej, że podczas kontrofensywy w 2023 r. Ukraińcy stracili 160 tys. zabitych i rannych).

KOMPANIA | Udaje mi się dodzwonić do Siergieja. Rok temu, w kwietniu 2023 r., spotkaliśmy się w Awdijiwce, był wtedy żołnierzem 110. Brygady. Od kilku miesięcy Siergiej służy w 3. Szturmowej (zanim pododdziały z tej brygady trafiły do Awdijiwki, przez wiele miesięcy brała ona udział w bitwie pod Bachmutem).

– Wieści takie sobie – powiada Siergiej.

– Jesteś w Awdijiwce?

– Nie, mojego plutonu tam nie rzucili. Ale nasi chłopcy, którzy tam trafili, wysłali wideo. Beznadzieja.

– A co z twoim dawnym oddziałem ze 110. Brygady? Chciałam do nich dzwonić, ale urwał nam się kontakt. Nie odbierają. Wszystko w porządku?

– Nie. Wszystko bardzo źle – mówi Siergiej. Po czym wysyła mi po kolei zdjęcia znajomych twarzy. Młodych, wyszczerzonych w uśmiechach. Oraz wideo z dwudziestolatkiem, który ogląda się za ramię i pyta, czy Siergiej kręci, po czym podskakuje w okopie i ciska z półobrotu odbezpieczonym granatem.

– Ci są nieżywi.

Kolejne zdjęcie, selfie w ziemiance.

– Jarik jest w niewoli.

– A Saszka? Saszka czarnobrody?

– Żywy.

– Boże, co się stało z całą kompanią?

– Nie ma jej. Kompania już nie istnieje. Zostało z niej czterech żywych chłopaków.

© ANTONINA PALARCZYK

Życie wokół cysterny

TEKST I ZDJĘCIA:
AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z POZOBLANCO (HISZPANIA)

Kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Andaluzji od dziesięciu miesięcy nie ma dostępu do wody pitnej. Choć trwa jeszcze zima, również inne regiony Hiszpanii mają już problem z suszą.

María, África i Miguel przed cysterną z wodą pitną. Pozoblanco, 10 lutego 2024 r.

Daj nam lepiej piwo niż wodę – śmieją się ludzie, którzy wchodzą do restauracji La Taberna. Jest sobota po południu, więc należący do Joségo lokal wypełnia się mieszkańcami.

Klientów restauracji nie opuszcza dobry humor. Zwłaszcza w weekend, kiedy po całym tygodniu pracy spotykają się z przyjaciółmi.

Reír para no llorar – śmiać się, żeby nie płakać: 33-letnia África Villén mówi mi, że to takie hiszpańskie powiedzenie, które dobrze się tutaj sprawdza.

Miasteczko Pozoblanco, liczące 17 tys. mieszkańców, leży 76 km na północ od Kordoby. W lutym spadło na tym obszarze kilkadziesiąt centymetrów deszczu. Tyle co nic.

Wiosną ubiegłego roku wysechł tu zbiornik Sierra Boyera, który zaopatrywał w wodę 80 tys. mieszkańców andaluzyjskich regionów los Pedroches i el Guadiato. Od tego momentu do ich domów zaczęła płynąć zanieczyszczona woda ze zbiornika La Colada, do którego wcześniej spuszczano również ścieki. Decyzją lokalnych władz od 17 kwietnia woda w tutejszych kranach przestała być zdatna do picia, bo nie spełnia parametrów bezpieczeństwa.

Nie dziwi więc, że w sobotę, tuż po obiedzie, kolejka mieszkańców ustawia się przed cysterną z wodą pitną wzdłuż ulicy Hollanda. Każdy ma ze sobą kilka pustych butelek i pojemników. Bez tej wody w niedzielę nie mogliby umyć zębów, ugotować obiadu czy nawet umyć jabłka.

Ta woda, którą mają w kranie, zgodnie z rekomendacją władz sanitarnych nadaje się wciąż tylko do mycia podłogi i ewentualnie kąpieli. Choć w przypadku dzieci nawet do kąpieli nie jest zalecana.

Rozmowy w kolejce

Kiedy tak czekamy, aby móc zaczerpnąć z cysterny, África Villén pokazuje mi nagranie wideo z pięciomiesięcznym dzieckiem z czerwonymi krostami na całym ciele.

– Wysłała mi to mama tego chłopca. Mówi, że on budzi się w nocy, bo go swędzi skóra. Jej zdaniem to wszystko przez wodę w kranie, choć oczywiście nie ma dowodów – mówi África.

Jej słowom przysłuchuje się María Reina, niebieskooka blondynka z kręconymi włosami. – Mieszkamy na wsi, w okolicy Pozoblanco – włącza się do rozmowy. – Dawaliśmy wodę z kranu naszym psom, bo według władz sanitarnych można ją podawać zwierzętom. Ale zauważyliśmy, że wolą pić brudną deszczówkę ze starej patelni, którą mieliśmy na podwórzu, niż tę, którą mamy w kranie.

Cysterny z wodą to teraz centralne punkty w miasteczku i miejsca spotkań mieszkańców. Wszyscy się tu znają, więc kiedy pojawia się nowa osoba w kolejce po wodę, od razu budzi zainteresowanie pozostałych.

Tak jest w przypadku kobiety pochodzącej z afrykańskiej Sahary, imigrantki, która cztery miesiące temu przeprowadziła się do Pozoblanco wraz z trójką małych dzieci i siostrą z niepełnosprawnościami. – Jak to, nie wiedziałaś, że nie mamy wody? – pytają ją z niedowierzaniem. W końcu przez brak wody pitnej w ostatnim czasie w Pozoblanco raczej ubywa, niż przybywa mieszkańców.

Kiedy kobieta z Sahary zwierza się czekającym w kolejce, że nie ma pracy i płaci za wynajem mieszkania 400 euro, ci wymieniają się z nią numerami telefonów i obiecują pomoc.

Przez cały ten czas kierowca cysterny nalewa wodę do butelek i pojemników. Żartuje przy tym, że gdyby płacono mu od każdej nalanej butelki, byłby już milionerem.

Skąd się wzięła susza

Cysterny zaopatrują w wodę pitną Pozoblanco i pozostałe prawie trzydzieści okolicznych wsi nieustająco od 17 kwietnia 2023 r., kiedy to władze Andaluzji ogłosiły, że ta w kranie nie nadaje się do spożycia.

Jednak regiony los Pedroches i el Guadiato to niejedyne części Hiszpanii, które już teraz, zimą, zmagają się z suszą.

W styczniu stan nadzwyczajny ze względu na suszę ogłosiła Katalonia. ↦

Butelki z wodą pitną w restauracji Joségo. „Dziennie potrzebujemy przynajmniej 12 litrów do gotowania i mycia pomidorów, sałaty czy ekspresu do kawy. Musieliśmy go zresztą dostosować, tak aby nie pobierał wody z kranu" – mówi José. Pozoblanco, 10 lutego 2024 r.

↦ Ograniczenia związane z użyciem wody nałożono na 6 milionów mieszkańców Barcelony i otaczających ją miasteczek. Nie mogą myć samochodów ani napełniać basenów. Wody nie ma też w fontannach miejskich i prysznicach na plaży, a maksymalny dzienny limit na mieszkańca to 200 litrów.

Stan nadzwyczajny wprowadzono w Katalonii, kiedy poziom wody w tutejszych zbiornikach spadł do zaledwie 16 proc. ich pojemności. To konsekwencja trzech wyjątkowo suchych lat, z niskimi opadami deszczu i wysokimi temperaturami.

Ponadto, zdaniem ekspertów, co roku w Katalonii jedną trzecią zasobów wody ze zbiorników zużywa rolnictwo. Choć dominują tam małe i średnie gospodarstwa rolne, to istnieje też prawie 900 tzw. makrofarm. Katalonia jest regionem z największą w całej Hiszpanii liczbą świń przypadających na kilometr kwadratowy.

Pozoblanco to także region rolniczy, słynący z licznych farm hodowlanych.

– Jeśli wody pitnej zabrakłoby w Madrycie albo w Sewilli, lokalne władze rozwiązałyby problem w ciągu kilku dni czy tygodni. Ale nasz region ich nie interesuje, nie mamy przecież turystyki, a większość ludzi żyje z rolnictwa i hodowli zwierząt. To Mordor. Brakuje stąd nawet połączenia do Madrytu – mówi mi África.

Naukowcy z Uniwersytetu w Kordobie zgadzają się, że nie tylko susza doprowadziła do tak trudnej sytuacji z wodą w Pozoblanco i sąsiednich miejscowościach. Wpływ na to mógł mieć także rozwój ekonomiczny regionu. Z hodowli zwierząt żyje co siódmy mieszkaniec regionów los Pedroches i el Guadiato, a taki model gospodarczy prowadzi do zwiększonego zużycia wody.

Marzenie: pić znowu z fontanny

– Cały czas musimy regulować opłaty za wodę, której nie mamy. To nie ma sensu – mówi María Cabrera, krawcowa z Pozoblanco.

Rozmawiamy w restauracji. María wspomina, że do niedawna władze planowały podnieść opłaty za wodę mieszkańcom całej prowincji, w tym także w Pozoblanco. Ostatecznie po protestach opłaty podniesiono z wyłączeniem regionów los Pedroches i el Guadiato – do czasu, aż nie powróci tam woda zdatna do picia.

Mieszkańcy Pozoblanco mobilizują się na wiele sposobów. W kilku szkołach w regionie Kordoby przed ostatnim Bożym Narodzeniem uczniowie z pomocą nauczycieli nakręcili film, w którym czytają swoje listy do Trzech Króli (w Hiszpanii zgodnie z tradycją to oni przynoszą prezenty).

Dzięki mediom społecznościowym film szybko stał się popularny. „Drodzy Trzej Królowie, w tym roku nie chcę skutera ani nowego telefonu, chciałbym jedynie odkręcić kran i mieć czystą wodę" – mówi na nagraniu jedno z dzieci. Kolejne dodaje: „Chcę wziąć prysznic tak, żeby skóra mnie nie swędziała". Grupa dzieci mówi: „Chcemy pić wodę z fontanny w naszej szkole".

Film najwyraźniej nie spodobał się lokalnym władzom. Wkrótce po tym, jak został opublikowany w internecie, w tych szkołach, które brały udział w jego powstaniu, przeprowadzono kontrole. W Pozoblanco mówią, że to „próba cenzury".

Codzienne życie mieszkańców Pozoblanco w mediach społecznościowych pokazała też África. Widać na nim dom dziewczyny wypełniony butelkami z wodą przyniesioną z cysterny. África pokazuje na nagraniu, jak przygotowuje codziennie herbatę i obiad, jak myje zęby. Bez dostępu do bieżącej wody wszystko to staje się wyzwaniem.

W ciągu pięciu pierwszych dni jej wideo obejrzało ponad 130 tys. osób.

Zapomniany region

Historie tych 80 tys. mieszkańców Andaluzji rzadko jednak przebijają się do mediów ogólnokrajowych. – Jesteśmy na północy Kordoby. Zauważ, że jest autostrada na południu, na wschodzie i na zachodzie Kordoby, ale nie u nas. Mała populacja na tak rozległym terenie oznacza dla polityków mało głosów, a więc i brak zainteresowania z ich strony – uważa África.

Gdy spaceruje się po Pozoblanco, widać fioletowe flagi w oknach i na balonach niektórych mieszkań i domów. *Agua ya* (Woda natychmiast) – głosi napis na nich.

Flagi przygotowała obywatelska organizacja Unidos por el Agua, działająca od lata ubiegłego roku. Przewodniczy jej Miguel Aparicio. Wspólnie z partnerką Marią Reiną zajmują się agroturystyką. Albo raczej – zajmowali.

Zwykle odwiedzały ich rodziny z dziećmi. – Kto teraz do nas przyjedzie, skoro nie mamy wody pitnej, a ta, którą mamy w kranie, jest zanieczyszczona? Ludzie chcą odpocząć na łonie natury, a nie martwić się o wodę. Chciałam być uczciwa wobec turystów i stworzyłam długą listę z restrykcjami związanymi z wodą. Teraz już prawie nikt nas nie odwiedza – mówi mi María.

Także hotele w Pozoblanco świecą pustkami. Jeśli ktoś decyduje się już przyjechać, od razu w recepcji zostaje ostrzeżony, żeby nie pił z kranu. Otrzymuje też butelkę z wodą do mycia zębów czy twarzy.

– Byłam niedawno na weekend w Madrycie – opowiada mi Eufania, mama dwójki nastolatków. – Nie mogłam nacieszyć się jakością wody w kranie. Wzięłam wtedy nawet dodatkowy prysznic. Jakbym mogła, umyłabym włosy na zapas. Nasza zanieczyszczona woda bardzo wysusza skórę i włosy.

Eufania wspomina, że w szkole nauczyciele proszą rodziców, aby dawali dzieciom codziennie, obok drugiego śniadania, także butelki z wodą.

– Już jakiś czas przed tym, jak oficjalnie zabronili nam pić wody z kranu, wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Woda zaczęła mieć nie tylko dziwny kolor, ale też zapach – twierdzi Eufania.

Tylko się nie zapomnij

Po Pozoblanco oprowadza mnie Elena, dawniej lokalna dziennikarka, obecnie farmaceutka. Kiedy wchodzimy do restauracji Joségo, ten obsługuje klientów jako kelner. Mężczyzna prowadzi swoją La Taberna przy głównej alei w Pozoblanco. Jego lokal powstał zaledwie półtora roku temu, a już po sześciu miesiącach przestali mieć wodę pitną w kranie.

To oznacza, że José pracuje teraz już nie tylko jako właściciel, kucharz i kelner w jednej osobie, ale też jako dostarczyciel wody. – Dziennie potrzebujemy przynajmniej 12 litrów do gotowania i mycia pomidorów, sałaty czy ekspresu do kawy. Musieliśmy go zresztą dostosować, tak aby nie pobierał wody z kranu – mówi José.

Trochę lepiej jest w miejscowym szpitalu. Pielęgniarka Charo Blanco mówi, że jej szpital ma zmagazynowane zapasy wody, więc nie zależy od dostaw z cystern.

Charo podkreśla, że brak wodny pitnej może być szczególnie niebezpieczny dla niektórych: – Mówimy osobom starszym oraz z Alzheimerem, aby nie piły wody z kranu, ale często i tak o tym zapominają. Jeśli zdarzy się to raz czy dwa, to nic się nie stanie. Ale w dłuższej perspektywie mogą mieć problemy.

Walka o oczyszczalnie

Lokalne władze twierdzą, że problem dostępu do wody pitnej uda się rozwiązać w marcu. Kończą się prace nad stacją uzdatniającą w zbiorniku Sierra Boyera, a także prace nad połączeniem go ze zbiornikiem Puente Nuevo. Ma to łącznie kosztować 15 mln euro.

W organizacji Unidos por el Agua sceptycznie podchodzi się do tych obietnic. Można usłyszeć, że projekt władz prowadzi jedynie do zmieszania czystej i zanieczyszczonej wody i transportowania jej brudnymi rurami. – To tylko tymczasowe rozwiązanie. Nasz zbiornik wysechł, to prawda, ale są regiony Hiszpanii, które bardziej odczuwają skutki suszy. W naszym regionie mamy zasoby wody na trzy lata, ale są zanieczyszczone. Potrzebujemy więc inwestycji w oczyszczalnie ścieków – przekonuje Elena, członkini Unidos por el Agua.

Organizacja przedstawiła tę propozycję władzom, lecz te twierdzą, że jest zbyt droga.

– Mieszanie czystej i brudnej wody, czy to ma być rozwiązanie? – pyta África.

I dodaje: – Jako obywatelka czuję się pozostawiona sama sobie. To trochę tak, jakby oni chcieli, żebyśmy się stąd wynieśli.

Nie tylko ona obawia się, że gdy prace przy zbiornikach się zakończą, cysterny znikną z ulic Pozoblanco i okolicznych miejscowości. A jeśli wtedy jakość wody w kranach znacząco się nie poprawi, będą zmuszeni kupować ją w sklepach.

Upór

W przeszłości ludzie z Pozoblanco nie raz już demonstrowali swój sprzeciw wobec różnych decyzji władz. Tak było w 2000 r., kiedy pojawiły się plany wybudowania w okolicy miasteczka magazynu na radioaktywne śmieci. Wtedy wyszli na ulice i plan władz udało się zatrzymać.

Teraz też liczą, że ich upór w końcu przyniesie rezultaty. Organizacja Unidos por el Agua regularnie organizuje demonstracje i marsze do wyschniętego zbiornika Sierra Boyera i zamierza kontynuować je aż do rozwiązania problemu.

Elena: – Ludzie, którzy nie żyją tutaj, nie zrozumieją, jak to jest przez prawie rok brać prysznic w wodzie, która mieszana jest ze ściekami, kąpać w niej dzieci, dawać tę wodę psom do picia. My chcemy mieć wreszcie wodę dobrej jakości.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

KRAKÓW, czwartek 29 lutego, godz. 18.00, pokaz filmu dokumentalnego „REIWA” i spotkanie z jego producentami: Edwinem Radzikowskim i Katarzyną Kozak oraz prof. Marcinem Urbaniakiem, cykl Eko Czwartki, Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5)

ZIELONA GÓRA, wtorek 5 marca, godz. 18.00, spotkanie z dr hab. Barbarą Niedźwiedzką, „Niewidzialne stworzenie – zwierzęta w chrześcijańskiej ekologii integralnej i moralności”, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

TRÓJMIASTO, wtorek 5 marca, godz. 18.00, „Jak czytamy »Tygodnik Powszechny«”, cykl Klubowa Kawiarenka, Klasztor Dominikanów (ul. Świętojańska 72, Gdańsk)

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

HISTORIA

JEŚLI ŻYJESZ, PRZYJDŹ

Był to jedyny chyba taki wyrok w powojennej Polsce: sąd orzekł, że funkcjonariusze MO i UB nie musieli zabijać. Zofia wywalczyła go dla swojego Józefa. Oto ich historia.

CEZARY BROŻEK

Stało się to na dzień przed tym, jak w podmoskiewskiej daczy umarł Józef Stalin. Choć dla Józefa Gargasza – 39-letniego weterana AK i WiN, ukrywającego się we wsi Sułkowice, powiat Miechów, a od dwóch miesięcy szczęśliwego ojca – nie miało to znaczenia.

Tego dnia, 4 marca 1953 r., Józef wychodzi z domu rodziców Zofii, swojej żony, by odwiedzić znajomych w pobliskiej wsi Stoki. Powód: chce oddać naprawione radio.

Czy ktoś o tym donosi? Zapewne tak, bo wkrótce po przekroczeniu przez Józefa progu znajomego domu posterunek MO w pobliskiej Skale dostaje informację o poszukiwanym.

Komendant posterunku, jego podwładny, a także funkcjonariusz UB z Olkusza ruszają szybko furmanką do Stoków. Dołączają do nich dwaj funkcjonariusze ORMO (rezerwy MO). Ci ostatni obstawiają dom, pierwsza trójka wdziera się do środka. Rewidują zaskoczonego Gargasza. Nazywają go „bandytą z AK".

Dochodzi do szarpaniny. Jeden z milicjantów oddaje dwa strzały. Trafiony w głowę Józef umiera. Zabójcy zawijają zwłoki w prześcieradło, ładują na wóz, odjeżdżają.

O tym, co się stało, Zofia słyszy od brata. Na posterunku MO w pobliskich Iwanowicach dowiaduje się, że „mąż miał śmiertelny wypadek". Na pytanie, gdzie, słyszy: „w Polsce Ludowej".

Kilka lat później zacznie sądową walkę. Zakończy ją wyrok, który w PRL w zasadzie nie miał prawa zapaść.

Punkt we młynie

Poznają się w roku 1942. On: 28-letni konspirator, dowódca lokalnej placówki Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. Ona: 18-letnia siostra jego podkomendnych. Ich znajomość szybko zamienia się we wzajemną fascynację i miłość.

Józef na tym terenie jest przybyszem, rzuciła go tu wojna. Pochodzący spod Brodów (dziś Ukraina), na początku lat 30., zaraz po maturze, wybiera drogę zawodowego wojskowego. Z chwilą wybuchu II wojny światowej jako podporucznik dowodzi kompanią w 44. Pułku Piechoty (Armia „Prusy"). Boje wrześniowe toczy w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego, unika niewoli.

Przypadek sprawia, że wraz ze znajomym z wojska przybywa „przecho-

ZBIORY JANA MISZTALA

Zofia Misztal i Józef Gargasz, ok. 1945-1950 r.

wać się" w Miechowskie. Z początkiem 1940 r. angażuje się w podziemie, zostaje dowódcą placówki w Słomnikach. Pod pseudonimem „Grot" i z fałszywymi dokumentami na nazwiska Stanisław Kowalski i Józef Nowak przemierza okolicę; przy okazji pracuje w różnych miejscowościach i oddaje się pasji fotografa.

Tak trafia na punkt kontaktowy do Sułkowic, gdzie młyn prowadzi Jan Misztal. Jego synowie Michał, ps. „Ryś", i Jan, ps. „Biały", są w ZWZ-AK, a zakład młyński to miejsce na pracę konspiracyjną idealne: cały czas kręci się tu sporo ludzi, ktoś nieznany nikogo nie dziwi.

No i jest Zosia. W 1939 r. piętnastolatka, wkrótce dołączy do starszych braci: zostaje członkinią grupy sanitarnej, przyjmuje pseudonim „Kalina". Czasami pracuje też jako łączniczka i pomaga w chałupniczej produkcji granatów.

„Grot" i „Kalina"

Jesienią 1943 r. Józef zostaje szefem dywersji w obwodzie AK Miechów. To oznacza, że niemal wszystkie akcje bojowe w terenie dzieją się na jego rozkaz lub za jego akceptacją. Osobiście bierze udział w niektórych, nadzoruje działalność kilku oddziałów zbrojnych (dywersyjnych).

We młynie w Sułkowicach „Grot" bywa początkowo na spotkaniach ze swoimi żołnierzami. Potem pod pretekstem tych spotkań. Wreszcie już bez pretekstu – dla spotkań z Zosią. Na zachowanych zdjęciach widać, jak niesie ją na rękach. Mimo wojny są uśmiechnięci i szczęśliwi.

Ona po latach będzie go wspominać: „Był bardzo łagodny, prawie dobrotliwy, patrzyłam na niego już z uwielbieniem. Nigdy bym nie pomyślała, że w tych czasach potrafił z zimną krwią czy to sam wykonać wyrok śmierci na konfidencie (...), czy też, jak piszą inni o nim, przygotowywał akcje dla swoich ludzi tak drobiazgowo, że strat prawie że nie było".

Więc nie widzi go w akcji, ani strzelającego, ani dowodzącego. Nie zna jego funkcji. Domyśla się jedynie, że pewnie jest kimś ważnym.

Natomiast jest świadkiem następującego zdarzenia: wiosna 1944, wieczór; są razem z Józefem w domu jej rodziców, on stroi mandolinę. Nagle wchodzi dwóch ludzi. Trzymają pod bronią jej ojca. Żądają pieniędzy. Młynarz twierdzi, że nie ma gotówki. Wyznaczają termin, kiedy przyjdą kolejny raz, aby ją odebrać, a jak jej nie będzie, „to krew się poleje".

Józef, bezbronny, siedzi cicho i z lekko opuszczoną głową. Nic nie mówi. Po odejściu bandytów wpada w furię, chce ich dorwać, natychmiast. Po wielu latach Zofia napisze w swojej relacji: „Był to zresztą jedyny wypadek w naszym wspólnym życiu, że nie panował nad sobą".

Wojenny ślub

24 lipca 1944 r. komendant okręgu AK Kraków wydaje rozkaz o rozpoczęciu Akcji „Burza" na podległym sobie terenie. Cel to mobilizacja oddziałów, ataki na cofających się Niemców i występowanie przed Sowietami w roli prawowitej polskiej władzy.

Na obszarze inspektoratu Miechów formuje się 106. Dywizja Piechoty AK, a w jej składzie Batalion Szturmowy „Suszarnia". Gargasz, już porucznik, zostaje w nim dowódcą kompanii. Rzadziej odwiedza Zofię – ma dużo pracy, organizuje jednostkę, szkoli żołnierzy. Batalion stacjonuje daleko, w lasach sancygniowskich, na pograniczu powiatów Miechów i Pińczów.

15 sierpnia ginie Janek, brat Zosi, zamordowany przez Niemców podczas pacyfikacji jednej z okolicznych wiosek. Łączność w podziemiu nie zawsze działa sprawnie i Józef dostaje wieść, że Janek oraz Zosia zostali zabici. Niepewny tego, co się stało, przez łącznika przesyła do młyna krótką wiadomość: „Jeśli żyjesz, przyjdź". Podaje miejsce i czas. ↦

Zosię na podany punkt kontaktowy zabierają dwaj znajomi żołnierze AK. Na miejscu słyszy: „Porucznik czeka". Razem dojeżdżają gdzieś w okolice Racławic (tych kościuszkowskich). Wprawdzie narzeczonymi są już od pewnego czasu, ale dotąd małżeństwo planowali dopiero po wojnie. Teraz on proponuje ślub. Przekonuje, że jest wojna, że jej brat zginął, że nie wiadomo, co będzie. Zosia się zgadza.

Zgodnie z przedwojennym rozporządzeniem dotyczącym wojskowych Józef występuje do zwierzchników o zgodę na małżeństwo. Zachował się rozkaz dowódcy 106. Dywizji z adnotacją: „Por. ucznikowi] sł.[użby] stał.[ej] Grotowi – z Suszarni zezwalam na zawarcie związku małżeńskiego z Panną Kaliną. Ob. polską wyzn. rzym.-kat. Ur. 22.X.1924 z Placówki Słowik".

Ślub biorą wieczorem 9 października w Minodze koło Skały. Rzecz ma charakter tajny i partyzancki. 18 października Józef jest już z powrotem w oddziale. Wkrótce na kilkanaście dni do leśnego obozu przybywa Zosia.

Tymczasem w listopadzie „Suszarnia" zostaje rozformowana, Józef jedzie do żony. Do końca niemieckiej okupacji będą mieszkać we młynie.

W drodze

W połowie stycznia 1945 r. w Miechowskie wkraczają Sowieci. Mniej więcej w tym czasie „Grot", awansowany na kapitana, zostaje ponownie zaprzysiężony – tym razem w tajnej antykomunistycznej organizacji „NIE", powstałej na bazie AK. Organizuje sieć wywiadu w terenie, często jeździ do Krakowa. Na melinach w rejonie Słomnik trzyma oddział – kilkunastu chłopaków. Wykonują niewiele akcji; raczej czekają, co nastąpi. W czerwcu atakują posterunek MO w Iwanowicach, ginie milicjant.

Robi się coraz niebezpieczniej. Część żołnierzy AK jedzie na ziemie poniemieckie, tam łatwiej o anonimowość. Podobnie czynią Józef i Zofia, którzy docierają aż do Kamienia Pomorskiego; on zostaje tam podinspektorem osadnictwa wojskowego. Jesienią 1945 r., po aresztowaniu przez UB ojca Zosi, jedzie na krótko do Krakowa. Działa wówczas w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Cały czas chroni żonę, odcinając ją – podobnie jak w czasie wojny – od niemal wszelkich spraw konspiracyjnych.

ZBIORY JANA MISZTALA

W maju 1946 r. są znowu w drodze – tym razem na Śląsk.

Wygląda na to, że jesienią 1947 r., gdy masowe podziemie prawie już nie istnieje, również Józef postanawia dostosować się do rzeczywistości pojałtańskiej Polski. Robi to najwyraźniej w sposób przemyślany: podejmuje pracę na kierowniczym stanowisku w Zjednoczeniu Przemysłu Nieorganicznego w Gliwicach, z czasem wstępuje nawet do komunistycznej PZPR, zgłasza się do Wojskowej Komendy Rejonowej, zostaje też ławnikiem Sądu Okręgowego.

Przesłuchanie

Gdyby szukać przyczyn, dla których ludzie wojennej konspiracji kontynuują ją po roku 1944/45, historycy podają trzy główne motywy. Jedni chcą więc pozostać wierni przysiędze (tej, że będą walczyć o wolny kraj). Inni robią to dla przyjaciół; więzi powstałe w sytuacjach skrajnych są silne. Jeszcze inni, bo nowy system, represjonujący za samą przynależność do AK podczas wojny, nie zostawia im innego wyjścia.

Na przełomie roku 1949/50 Urząd Bezpieczeństwa aresztuje większość osób ze szczebli dowódczych inspektoratu AK Miechów. Józef pozostaje na wolności tylko dlatego, że krakowska bezpieka zupełnie nie wie, gdzie go szukać. Przesłuchiwani koledzy nie znają jego prawdziwego nazwiska; ponadto twierdzą, że wyjechał z kraju.

Jednak pętla się zaciska – od innej strony. Na 9 marca 1950 r. Komitet Miejski PZPR w Gliwicach wzywa go na przesłuchanie. Józef się stawia. Musi podać, po raz kolejny, swój życiorys.

Gdy pada pytanie o wojenną konspirację, prosi o możliwość skorzystania z łazienki. W ten sposób opuszcza budynek. Na chwilę zachodzi jeszcze do mieszkania, aby zostawić kartkę: „Zosiu, klucz jest u Gerszynowicza".

Znów w ukryciu

Zanim zniknie, pisze list do sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR: „popełniłem pewien wyłom w dyscyplinie partyjnej, bo wyszedłem z Komitetu nie ukończywszy zeznań – załamałem się, kiedy zauważyłem, że karta moja nosi tytuł obwinionego". I dalej: „spodziewałem się, że mnie zamkną i torturami będą chcieli wydobyć przyznanie się do win niepopełnionych". Kończy: „jeśli bym po dwóch tygodniach nie dawał odpowiedzi ani nie nadeszły moje dokumenty, to możecie mnie wykreślić z grona żywych".

Czy list ten, a zwłaszcza zakończenie, to rodzaj zasłony dymnej? Wiadomo, że Józef jedzie najpierw do Strzelec Opolskich i że wkrótce dołącza tam do niego Zofia.

Tu zaczyna się najbardziej tajemniczy okres w ich życiu. Ukrywają się nieustannie. Bywa, że Józef nagle wpada do któregoś z mieszkań, chwilowej ich przystani, i rzuca „Uciekamy". Akta UB z tego czasu, dziś w IPN, pełne są prób namierzania Gargasza.

Jednak najpóźniej w 1952 r. jadą do jej rodziców. Zosia oczekuje dziecka, potrzebuje stabilizacji. Józef pomaga w gospodarstwie. I buduje system tajnych

ZBIORY CEZAREGO BROŻKA X2

wyjść na wypadek, gdyby nagle zjawiło się UB.

26 grudnia 1952 r. przychodzi na świat ich syn Wojtek. Mijają kolejne dwa miesiące, aż nadchodzi 4 marca 1953 r.

Walka Zofii

Ma 28 lat i jest wdową. Nie potrafi odebrać ciała Józefa, robią to za nią najbliżsi. W prokuraturze krzyczy: „Wyście mi męża zabili. Jak ja będę żyć!". Kilkanaście dni po pogrzebie władze nakładają na nią grzywnę za brak meldunku. Tymczasem od ludzi słyszy, że mąż rzucił się na milicjantów z nożem; inni twierdzą, że zginął podczas próby ucieczki. Na razie dramat jest dla niej cięższy od woli poznania, jak było.

Trzy lata później spotyka przedwojennego znajomego męża, teraz adwokata. Józef Szmigielski namawia ją, by wystąpiła na drogę sądową. Zofia zaczyna swoją walkę.

Wieloletni proces cywilny toczy się do 1962 r. Na koniec Sąd Najwyższy PRL stwierdza, że „w okolicznościach sprawy nie można przyjąć, aby dla ujęcia względnie obezwładnienia Gargasza (...) zachodziła konieczność użycia broni". Sąd odrzuca tezę, jakoby to Józef rzucił się z nożem na milicjantów.

Dopiero teraz Zofia zaczyna ostrożnie poznawać twarze oraz imiona kolegów męża z konspiracji. Pyta ich, jaki był.

Pod koniec lat 60. przyjaciel Józefa z podziemia stawia na jego grobie metalowy, dziwnie rozstrzępiony krzyż. Mówi, że to symbol – właśnie taki, bo przecież jego dowódca życie miał rozdarte.

Józef Gargasz, ok. 1935-1939 r.

Powyżej:
Zofia Misztal na rękach Józefa Gargasza, Sułkowice, ok. 1943-1944 r.

Po lewej:
Zofia Misztal w rodzinnym domu w Sułkowicach; pod zdjęciem zapisana ręką Józefa Gargasza data wykonania fotografii, 27 kwietnia 1943 r.

Zofia umiera w 2010 r. Wcześniej, już w wolnej Polsce, ponownie podejmuje sprawę śmierci męża. Śledztwo IPN, mające charakter historyczny (sprawcy już nie żyją), liczy sześć tomów akt. Ustala, że śmierć Józefa nosi wszelkie cechy zabójstwa, a nóż, o którym tyle mówiono, nie istniał.

Z miłości

Po latach Wojciech Gargasz znajdzie w papierach matki list. Do niej adresowany, napisany przez ojca, a datowany na 28 stycznia 1953 r.

Zdziwiony czyta i nic nie rozumie: „Zosiu, jesteśmy ludźmi na tyle dorosłymi i doświadczonymi, że nie mamy powodu dalej żyć złudzeniami. Ostatnie lata naszej rozłąki pozwoliły mi żyć lepiej (...). Tyś też potrafiła urządzić się i postarać się o upragnione dzieci – dziś nas już nic nie wiąże – idź swoją drogą, idź z tym, który dał Ci szczęście – ja pójdę swoją drogą. Możesz starać się o rozwód, daję Ci na to pełną aprobatę".

Pyta Zofię, o co chodzi. Słyszy, że ojciec napisał list, aby ich chronić: gdyby UB chciało ją aresztować, miała go pokazać, żeby udowodnić, iż się rozstali, a dziecko nie jest jego. Napisał z miłości.

Na oryginale listu Zofia dopisze postscriptum, wyjaśniając okoliczności jego powstania. Na wszelki wypadek.

© CEZARY BROŻEK

Korzystałem z relacji ustnych i pisemnych Zofii Gargasz, zbiorów rodzinnych Wojciecha Gargasza, archiwum IPN i archiwum Wojskowego Biura Historycznego.

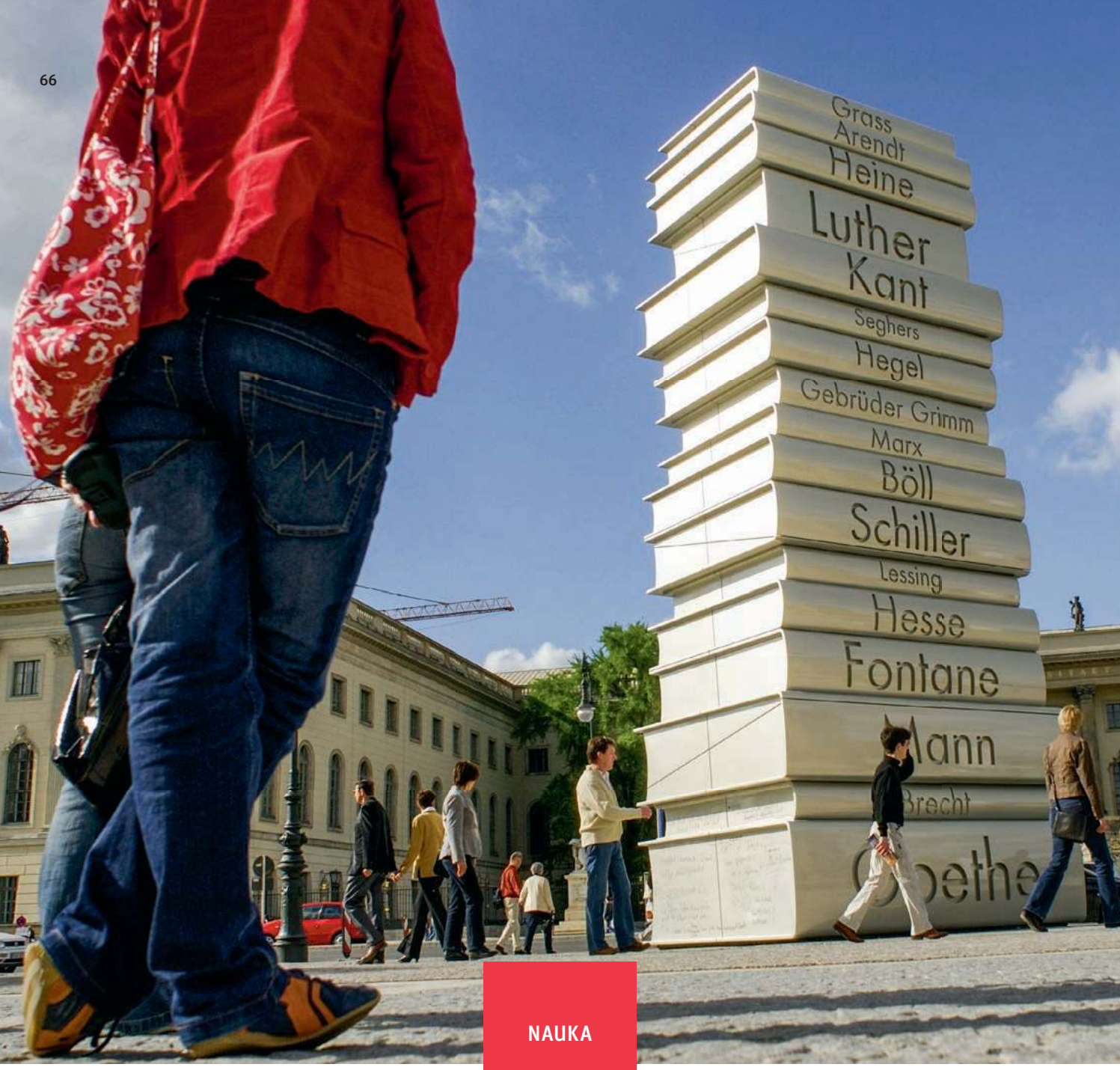

NAUKA

JAK NAPRAWIĆ NAUKĘ?

W ciągu ostatnich lat spadło społeczne zaufanie do nauki. Przynajmniej po części winę ponosić za to może system, w jakim działają naukowcy – ważniejsze są w nim nie odkrycia, tylko publikacje.

JAREK GRYZ

MARIO WEIGT / ANZENBERGER / FORUM

Dwunastometrowa rzeźba książek na Drodze Idei niedaleko Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie, 2006 r.

14 LISTOPADA UBIEGŁEGO ROKU Pew Research Center opublikował raport na temat zaufania do nauki w społeczeństwie amerykańskim. Tylko 57 proc. populacji uważa, że nauka ma w większości pozytywny wpływ na społeczeństwo, a sam trend jest bardzo niepokojący – bo to spadek aż o 16 punktów procentowych od 2019 r. Podobnie spadło wśród Amerykanów przekonanie (z 87 proc. do 73 proc.), że sami naukowcy działają w interesie społecznym. W efekcie aż jedna piąta Amerykanów twierdzi, iż nie warto w naukę inwestować. W wielu innych krajach da się zauważyć podobny trend.

Są niestety powody, dla których zaufanie do nauki spada. Z pozoru nauka rozwija się szybciej niż kiedykolwiek: odkryliśmy bozon Higgsa, opracowaliśmy rewolucyjną metodę edycji genomu ludzkiego CRISPR-Cas, zbudowaliśmy niewiele ustępujący człowiekowi system sztucznej inteligencji. Ale wielu naukowców, może nawet większość z nich, nie zajmuje się nauką jako taką, tylko tym, czego wymagają zatrudniające ich instytucje, a więc publikowaniem: byle czego, byle jak, byle szybciej. Ich zachowanie jest racjonalne, bo istniejący od ponad dwustu lat system organizacji nauki w pełni to sankcjonuje. I to ten właśnie system wymaga zmiany.

Uniwersytet na eksport

Dziś wydaje nam się oczywiste, że właściwym miejscem dla uprawiania nauki jest uniwersytet. Ale nie zawsze tak było. XVIII-wieczne uniwersytety amerykańskie służyły młodym dżentelmenom głównie do nawiązywania kontaktów towarzyskich, a uczelnie niemieckie kształciły nauczycieli szkół średnich. Naukowcy i filozofowie przeprowadzali eksperymenty i pisali swe traktaty poza uczelniami. Ramy instytucjonalne dla pracy badawczej próbowano stworzyć, organizując tzw. akademie. Kiedy w 1666 r. Ludwik XIV zakładał Francuską Akademię Nauk, to właśnie po to, by inspirować i otaczać opieką pracujących tam naukowców. Zmiana nastąpiła za sprawą Wilhelma von Humboldta, który na zlecenie króla rozpoczął w 1809 r. reformę pruskiego systemu edukacji.

Jednym z elementów tej reformy było założenie uniwersytetu w Berlinie działającego na nowych zasadach. Humboldt był człowiekiem wyrafinowanym i postępowym, dla którego prawdziwym celem życia było „kultywowanie w pełnym zakresie talentów, którymi jest się obdarzonym". To przekonanie stało się dewizą projektowanego systemu edukacji, gdzie dążenie do doskonałości w nauce było celem nadrzędnym. Z drugiej strony pokonany przez Napoleona król Fryderyk Wilhelm III zapowiadał, że „państwo musi zastąpić straty materialne potęgą intelektualną". Tak oto nauka, i to ta uprawiana przez najlepszych, znalazła swoje miejsce na finansowanym przez państwo uniwersytecie.

Nie jest oczywiste, że niemiecki model uniwersytetu przyjąłby się tak powszechnie na świecie, gdyby nie Amerykanie. Do końca XIX w. prawie dziesięć tysięcy młodych ludzi z USA wyjechało na studia do Niemiec. Tamtejsze uniwersytety zrobiły na nich takie wrażenie, że chcieli ich system przeszczepić na grunt amerykański. Udało im się to znakomicie, głównie dlatego, że w samym tylko Lipsku i Getyndze studiowało 45 przyszłych rektorów amerykańskich uczelni. Kiedy w 1875 r. Daniel Coit Gilman został rektorem pierwszego badawczego uniwersytetu w USA, Johns Hopkins University, nazywano tę uczelnię Getyngą w Baltimore. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu lat amerykańskie uniwersytety doprowadziły niemiecki model do perfekcji, a za nimi zaadoptowała go reszta świata.

Zły chirurg

Aż do połowy XX wieku liczba studentów, a tym samym i pracowników naukowych, była niewielka i stanowili oni absolutną elitę intelektualną. Sytuacja zmieniła się diametralnie wraz z umasowieniem wyższych studiów po drugiej wojnie światowej. Nie można już było polegać na autorytecie zatrudnianych profesorów czy nieformalnych opiniach na ich temat. Wraz z gwałtownym wzrostem liczby pracowników naukowych pojawiła się potrzeba formalnej oceny ich pracy naukowej, a od tego zależał potem przydział środków na badania, awanse czy wręcz wynagrodzenie. Już w początkach XX w. postulowano, że liczba cytowań, jakie pismo naukowe dostaje od innych tytułów, świadczy o randze tego pisma i powinno być wskazówką dla bibliotekarzy, aby dodali je do zbiorów uniwersyteckich. Idea ta zaczęła z czasem (między 1975 a 1990 rokiem) być stosowana także do oceny wartości dorobku naukowego poszczególnych naukowców.

System ten funkcjonowałby dobrze, gdyby humboldtowski ideał doskonałości w nauce nadal leżał na sercu naukowcom. Ale tak nie jest. Dla wielu z nich celem stały się publikacje, a nie nauka sama w sobie. A w takim systemie zaczyna stosować się prawo Goodharta: gdy dowolny wskaźnik zaczyna być traktowany jako cel, przestaje być dobrym wskaźnikiem. Patologie, do jakich prowadzi pęd za publikacjami, są już w nauce wszechobecne, a skutki społeczne często zatrważające. ↦

↦ Literatura naukowa pełna jest dziś niewiarygodnych, nierzetelnych i trudnych do zweryfikowania opracowań, które przynoszą więcej szkody niż pożytku. Oto dwa spektakularne przykłady z ostatnich dekad.

W 2008 r. włoski chirurg Paolo Macchiarini opublikował w prestiżowym piśmie „The Lancet" artykuł opisujący nowatorską metodę przeszczepu tchawicy. Nowa technika była na tyle rewolucyjna, że przyniosła Włochowi natychmiastową sławę, a w dwa lata później etat w renomowanym Karolinska Institute w Szwecji. W 2011 r. Macchiarini przeprowadził pierwszy zabieg transplantacji, co Karolinska Hospital ogłosił jako „pierwszy w historii przeszczep syntetycznej tchawicy".

W tym samym roku chirurg przeprowadził kolejną operację, a w następnym jeszcze trzy, z czego dwie w Rosji. Każdej takiej operacji towarzyszył nowy artykuł w prestiżowym piśmie przedstawiający ją jako fenomenalny sukces. Pierwszy pacjent zmarł po trzech latach, ale jeszcze przed publikacją artykułu opisującego tę operację jako pełny sukces. Drugi pacjent zmarł już po trzech miesiącach. Trzeci dożył do 2017 r. po kilku dodatkowych operacjach. Jedna z rosyjskich pacjentek, Julia Tuulik, przeszła takich operacji aż trzydzieści i zmarła dwa lata po przeszczepie. Lekarze zajmujący się pacjentami po operacjach wiedzieli, że stan ich zdrowia nijak się nie miał do tego, co opisywał Macchiarini w swoich publikacjach. Kiedy zaalarmowali administrację Karolinska Institute, trafili jednak na opór i próby zastraszania: lepiej było tolerować szarlatana, niż przyznać się do błędu. Dopiero niezależne śledztwo przeprowadzone w 2016 r. doprowadziło do zdymisjonowania Macchiariniego i wszystkich odpowiedzialnych za przymykanie oczu na jego matactwa. Widzowie Netfliksa mogli zapoznać się z tą historią w dokumencie „Zły chirurg" z ubiegłego roku.

Jeszcze gorszy lekarz

Drugi wart przywołania przykład to dobrze znany skandal z 1998 r. Andrew Wakefield, lekarz jednego z londyńskich szpitali, na podstawie obserwacji dwanaściorga dzieci postawił hipotezę, że szczepionka MMR (jednoczesne szczepienie na świnkę, odrę i różyczkę) wywołuje u dzieci autyzm. Wakefield opublikował swoje „odkrycie" na łamach „The Lancet" i rozpoczął trwający kilka lat cyrk medialny, w którym sam autor aktywnie uczestniczył. Inne badania nie potwierdziły tez Wakefielda, a analiza danych klinicznych, na które się powoływał, wykazała, że były one przez niego fałszowane. Autorowi udowodniono także konflikt interesów. Jednak jego rewelacje

Hodowla szczurzych ogonów

DYSKUSJA nad służącą poprawie jakości nauki zmianą systemu ewaluacji pracy naukowców toczy się obecnie również w Polsce. Przykładowo znany także z tych łamów Marcin Miłkowski, profesor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, przekonywał niedawno w „Forum Akademickim", że sam proces ewaluacji nauki, oparty na liczbie publikacji ukazujących się w wysoko punktowanych przez nasze ministerstwo czasopismach i wydawnictwach, nie ma sensu, ponieważ jest zbyt drogi i nie służy poprawie jakości badań naukowych, tylko poprawie wskaźników, na podstawie których uznajemy, że jakieś badania są wartościowe. Uczelnie i naukowcy łatwo uczą się, jak ten system hakować. Dzięki temu cała procedura przypomina sytuację, w której zamiast zabrać się za naprawianie dziurawych dróg, uczylibyśmy się retuszować zdjęcia prezentujące dziury na drogach.

MIŁKOWSKI posługuje się też innym barwnym porównaniem: gdy w 1902 r. w Hanoi wybuchła epidemia dżumy, władze poprosiły mieszkańców o pomoc i wyznaczyły nagrodę za każdego zabitego szczura, o których wiedziano, że roznoszą epidemię. Dowodem na zabicie gryzonia miał być przyniesiony szczurzy ogon. Już wkrótce w mieście zaczęło roić się od szczurów z obciętymi ogonami, które swobodnie się rozmnażały, co tylko prowadziło do wzrostu zysków zbieraczy ogonów. Naukowcy zachowują się podobnie, gdy swoją pracę dostosowują do panującego systemu – szukają łatwych ścieżek publikacji, przynoszących im jak najwięcej punktów, z których są rozliczani. Rozwój kariery uczonych czy dobro instytucji często wymaga działań, które wcale nie służą postępowi naukowemu.

ZWŁASZCZA, że współcześnie możliwe jest np. kupowanie cytowań. W preprincie udostępnionym niedawno w serwisie arxiv.org Hazem Ibrahim i współpracownicy wytropili przeszło tysiąc naukowców, którzy w ciągu ostatniego roku 10-krotnie zwiększyli liczbę cytowań swoich publikacji. Potem sami stworzyli fikcyjną postać badacza, wygenerowali ponad 50 artykułów przy pomocy ChatGPT i umieścili je na ogólnodostępnych serwisach. W końcu za 300 dolarów kupili cytowania. Baza Google Scholar częściowo dała się nabrać na tę manipulację i przypisała fikcyjnemu uczonemu „obiektywne" wskaźniki dorobku.

W ŚRODOWISKU NAUKOWYM pojawiają się również głosy, iż poważnych zmian wymaga system przyznawania grantów. Jak argumentowała niedawno Stephanie Meirmans w „Science and Engineering Ethics", prowadzi on do „projektyfikacji nauki", jest podatny na mody i faworyzuje prowadzenie badań niskiego ryzyka i krótkowzrocznych, których wyniki da się przewidzieć. Bardziej ryzykowne, ale i innowacyjne badania, które długofalowo mogą zmienić podstawy jakiejś dyscypliny, mają mniejsze szanse na uzyskanie dotacji.

©℗ ŁK

ADOBE STOCK

spowodowały panikę wśród rodziców, która doprowadziła do znacznego spadku zaszczepień (w samym tylko UK spadł on z 95 proc. do 80 proc. populacji). Według WHO w 2018 r. z powodu świnki zmarło na świecie 140 000 osób. Część tych zgonów to niewątpliwie zasługa Wakefielda.

Można dyskutować, jaką winę w przypadku oszustw naukowych ponoszą redakcje czasopism publikujące wadliwe artykuły – nie zawsze fałszerstwa da się od razu wykryć. Artykuły Wikefielda i Macchiariniego po latach zostały formalnie wycofane z „The Lancet", choć byłoby oczywiście lepiej, gdyby się tam nigdy nie ukazały. Istotne jest jednak to, że obecny system funkcjonowania nauki sprzyja powstawaniu takich patologii, bo wszystkim jego uczestnikom – tak naukowcom, jak i redakcjom i wydawcom czasopism – zależy na publikowaniu kontrowersyjnych, nieoczekiwanych czy prowokacyjnych wyników. Bo to one mają szanse się wyróżnić. A to właśnie takie przełomowe i kontrowersyjne wyniki najczęściej nie znajdują potwierdzenia w kolejnych badaniach.

Gdyby Macchiarini przysłał do „The Lancet" tekst pokazujący bezcelowość przeszczepów syntetycznej tchawicy, redakcja na pewno odrzuciłaby ten tekst bez recenzji. Tymczasem taki negatywny wynik ma ogromną wartość nie tylko naukową, ale i społeczną, bo pokazuje, że nie warto poświęcać środków (w medycynie potencjalnie bardzo znacznych) na prowadzenie badań w tej dziedzinie.

Kilka lat temu grupa naukowców francuskich postanowiła sprawdzić, jakie odkrycia medyczne przebijają się do mediów. Interesowały ich w szczególności te publikacje, których wnioski zakwestionowane zostały potem w kolejnych badaniach. Policzono, że o odkryciach napisano w analizowanym okresie 234 artykuły prasowe, ale o zakwestionowaniu któregokolwiek z nich wspomniano tylko cztery razy! Trudno się dziwić, że wielu ludzi, których swego czasu przekonał Wakefield, nadal nic nie wie o finale tej całej sprawy. Jak zgrabnie ujął to Jonathan Swift, „prawda kuśtyka za pędzącym fałszem".

Pomyłki i spółdzielnie

Trudno ocenić, jak powszechne są oszustwa w nauce. Kiedy wprost zapytano o to naukowców, do matactw przyznało

> Naukowcom, redakcjom i wydawcom czasopism zależy na publikowaniu kontrowersyjnych, nieoczekiwanych czy prowokacyjnych wyników. **Ale to właśnie takie wyniki najczęściej nie znajdują potwierdzenia w kolejnych badaniach.**

się niecałe 2 proc. z nich, ale już ponad 14 proc. twierdziło, że robią to ich koledzy. Są to dane deprymujące, bo bałamutne wyniki w nauce pojawiają się przecież nie tylko w wyniku złej woli, ale także niekompetencji, niedbalstwa czy zwykłych błędów; można się spodziewać, że takich jest dużo więcej niż ordynarnych fałszerstw. Od kilku lat mamy już do dyspozycji algorytmy, które automatycznie skanują artykuły naukowe i wychwytują błędy w zamieszczonych tam danych statystycznych i rachunkowych (niestety tylko takie błędy). Prawie połowa tekstów zbadanych w ten sposób zawierała co najmniej jedną nieścisłość tego rodzaju. Zapewne większość z nich to błędy niewinne, ale tam, gdzie błędy są poważne, takie też mogą być ich konsekwencje społeczne.

W 2010 r. dwójka harvardzkich ekonomistów Kenneth Rogoff i Carmen Reinhart opublikowała historyczne studium, z którego wynikało, że dochód narodowy kraju zaczyna spadać, kiedy jego dług publiczny przekroczy 90 proc. PKB. Prestiż autorów i sugestywność argumentów sprawiły, że rządy USA i Wielkiej Brytanii wzięły pod uwagę wnioski artykułu przy uchwalaniu budżetu na kolejny rok. Niepotrzebnie. Okazało się, że w swoich kalkulacjach autorzy pominęli – zupełnie przypadkowo – dane z kilku krajów. Po ich włączeniu do analizy z oryginalnego wyniku nic nie zostało.

Nauką zajmuje się na świecie coraz więcej ludzi. Od kiedy do globalnego systemu wymiany naukowej dołączyły Chiny, ten trend bardzo przyspieszył. W 2013 r. opublikowano 2,4 mln artykułów naukowych i ta liczba wzrasta co roku o 8 proc. Z pozoru to dobra wiadomość, bo wydaje się, że im więcej naukowców, tym większej liczby odkryć i wynalazków możemy oczekiwać. Niestety, nie ma tu bezpośredniej zależności, bo praca badawcza zawsze była działalnością elitarną. Toteż znaczna część współczesnej produkcji naukowej jest niewiele warta i nikt jej nie cytuje. Jest tak w przypadku 12 proc. artykułów w dziedzinie medycyny, 27 proc. w naukach ścisłych, 32 proc. w naukach społecznych i aż 82 proc. w humanistyce.

Abstrakt od AI

Żeby zaradzić tej jałowości, w produkcji naukowej wprowadzono różnego rodzaju wskaźniki, takie jak *impact factor* (dla oceny pism) czy *h-index* (dla oceny naukowców), które biorą pod uwagę właśnie liczbę cytowań. Ale i tym razem hydra Goodharta podnosi głowę. Żeby zwiększyć liczbę cytowań swoich artykułów, wystarczy je samemu zacytować w kolejnych publikacjach. Redaktorzy pism naukowych potrafią cynicznie sugerować uzupełnienie bibliografii recenzowanych artykułów o swoje własne publikacje. I wreszcie grupy naukowców umawiają się na wzajemne cytowanie swoich tekstów, gdy nie ma to żadnego uzasadnienia merytorycznego. Członkowie takich „spółdzielni" osiągają dzięki temu fenomenalnie wysokie poziomy indeksu *h*, choć żaden z nich nie jest znany poza murami macierzystej uczelni.

To, jak bardzo podupadła jakość publikacji naukowych, pokazało kilka eksperymentów dokonanych ostatnio z użyciem ChatGPT. Autorzy tych badań, Catherine A. Gao i współpracownicy oraz Michael Dowling i Brian Lucey, zwrócili się do doświadczonych recenzentów o wskazanie, które fragmenty przedstawionych im tekstów z, odpowiednio, medycyny oraz finansów pochodziły z autentycznych pism naukowych, a które były wygenerowane przez ChatGPT. Recenzenci zidentyfikowali co prawda większość fragmentów autorstwa ChatGPT, ale sklasyfikowali też jako „sztuczne" wiele autentycznych artykułów. Zadanie recenzentów było zresztą ułatwione, bo wiedzieli oni, że część czytanych przez nich tekstów była mistyfikacją i nie jest wcale oczywiste, że rozpoznaliby którykolwiek z nich, gdyby dostali go do oceny tradycyjną drogą. Wszyscy bodaj komentatorzy wspomnianych eksperymentów wyrażają podziw dla możliwości ↦

↦ ChatGPT, nie zauważając, że dorównanie standardom przeciętnego artykułu naukowego może wcale nie być wielkim osiągnięciem.

W ostatnich tygodniach algorytmy sztucznej inteligencji znalazły się w sercu kolejnej burzy, jaka przetoczyła się w środowisku naukowym. W czasopiśmie „Frontiers in Cell and Developmental Biology" ukazał się, a potem został szybko wycofany, tekst dotyczący mechanizmów biochemicznych występujących w komórkach macierzystych i rozrodczych u szczurów, którego autorzy przygotowali diagramy przy użyciu generatora obrazków Midjourney. W efekcie strony czasopisma zdobiła ilustracja ze szczurem o genitaliach większych od jego własnego ciała czy bardzo kolorowe i pełne nonsensów schematy szlaków sygnalizacyjnych rzekomo występujących w komórkach.

Brytyjski naukowiec Stuart Ritchie w znakomitej książce „Science Fictions" (z której pochodzi kilka z podanych wyżej przykładów) opisuje zbudowany kilka lat temu model komputerowy symulujący system uprawiania nauki z jego obecnymi zachętami i efektami. Okazało się, że optymalną strategią ambitnego naukowca jest w tym modelu prowadzenie wielu mniejszych projektów dla zmaksymalizowania liczby publikacji, nawet jeśli połowa zawartych w nich wyników jest mało wiarygodna. Dla Darwina czy Einsteina mogłoby w takim systemie zabraknąć miejsca. Peter Higgs, od którego nazwiska nazwano odkrytą potem cząstkę, mówił kilka lat temu: „Trudno sobie wyobrazić, żebym w dzisiejszych czasach miał czas i spokój, żeby zrobić to, co zrobiłem w 1964 r. Dziś nie dostałbym etatu akademickiego. Nie uznano by mnie za wystarczająco produktywnego". Mamy dziś za to na uczelniach takich naukowców jak profesor Y.X. Gao z uniwersytetu Heilongjiang, który w latach 2004-2009 opublikował 279 artykułów na temat jednego tylko odkrycia w piśmie „Acta Clystallographica Section E". Jak odnotowują Wei Quan i współpracownicy w swojej analizie wpływu systemu nagród stosowanych w Chinach na rozwój nauki, profesor Gao otrzymał połowę premii pieniężnych, jakie jego uczelnia wypłaciła swoim pracownikom w tych latach za ich działalność publikacyjną.

Nauka dla mas

Jak zatem naprawić naukę? Ritchie proponuje kilka rozwiązań: publiczną rejestrację rozpoczynanych projektów (dla zapobiegania fałszerstwom – to tzw. prerejestracja, na szczęście coraz powszechniejsza), publikacje internetowe bez recenzji (dla zapewnienia powszechnego dostępu do artykułów) czy wprowadzenie loterii w aplikacjach o granty (dla odciążenia naukowców). Każdy z tych pomysłów wart jest sprawdzenia, ale – jak przyznaje sam Ritchie – to leczenie symptomów, a nie źródeł problemu. Wydaje się bowiem, że sam system uprawiania nauki, który stworzony został 200 lat temu, nie sprawdza się w dzisiejszych czasach. Podstawowy problem to kwestia jego skalowalności. Kiedy Humboldt przeniósł naukę na uniwersytety, zajmowało się nią kilka tysięcy ludzi na świecie. Dziś jest to kilka milionów (w samej tylko Polsce jest ponad 80 tysięcy pracowników naukowych i prawie 40 tysięcy doktorantów), a w miarę wzrostu zamożności Chin i Indii ta liczba znacznie wzrośnie. Jest rzeczą chwalebną, że tak wielu ludzi chce się zajmować nauką, ale nauka zawsze była działalnością elitarną, gdzie ilość nie przekłada się na jakość.

Zaryzykuję wręcz tezę, że gdyby z dnia na dzień połowa najmniej produktywnych naukowców zaprzestała jakiejkolwiek działalności naukowej, nie miałoby to żadnego wpływu na jej rozwój. Może czas zgodzić się, że nie każda wyższa uczelnia musi być uniwersytetem badawczym – i nie każdy wykładowca akademicki naukowcem (zresztą w Polsce akurat ta zmiana już się dokonała – po reformie przeprowadzonej przez ministra Gowina powstała ścieżka kariery czysto dydaktycznej).

Cena, jaką płacimy za brak reform w nauce, to nie tylko trwonienie pieniędzy na niepotrzebne nikomu paranaukowe teksty, ale także dalszy spadek zaufania społecznego do nauki. Wspomniane na początku dane o znaczącym jego spadku w USA budzą niepokój, choć nie są zaskakujące. Ile razy lekarze sugerują nam leki lub terapie, które kilka lat potem okazują się bezużyteczne? Ile razy zmieniamy dietę tylko po to, by przekonać się po kilku miesiącach, że przynosi ona więcej szkody niż pożytku? Ile razy politycy, powołując się na ekspertów naukowych, wprowadzają pozbawione sensu przepisy? Im dłużej tolerować będziemy w nauce bylejakość, tym więcej będziemy mieli w społeczeństwie antyszczepionkowców i płaskoziemców.

© JAREK GRYZ

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

KLIMAT W ROLI GŁÓWNEJ

Dopóki trzymamy się nieodległej przeszłości, odpowiednia dbałość o detal może albo zachwycić, albo pogrążyć produkcję. A ponieważ „Rojst" jest serialem nastroju, precyzja ma znaczenie.

OLGA DRENDA

Jest takie zdjęcie Krzysztofa Zielińskiego z cyklu „Hometown", przedstawiające widok na jedną z centralnych ulic niewielkiego miasteczka w szczycie najbardziej przygnębiającej polskiej pogody: z pozostałościami brudnego śniegu, warstwą wodnistego błotka rozsmarowanego po polbruku, fasadami kamienic, o których mówi się czasem obrazowo „liszajowate". Całość nurza się w widocznym powietrzu – z fotografii niemal czuć zasiarczony muł węglowy i palone odpadki. W tej scenerii złożonej z licznych odcieni kolorów butwienia, rozkładu i mokrego brudu widzimy jedną spieszącą się kobietę i drugą, która przystanęła na chwilę pod tablicą z zupełnie innej bajki: oto ułożony z lampek, kolorowy napis „WITAMY ROK 2000".

Zieliński wykonał to zdjęcie w Wąbrzeźnie, ale równie dobrze mogłaby to być inna miejscowość w Polsce tamtego czasu, położona na ziemiach zachodnich i północnych: Żagań, Choszczno, Kluczbork, Szczecinek. Albo fikcyjne miasteczko z serialu Netfliksa „Rojst", którego trzeci i – zgodnie z zapowiedziami – ostatni sezon rozgrywa się właśnie na przełomie tysiącleci. „W tym wietrze syfu z listopada", by pożyczyć sobie wers z piosenki Kultu z 1998 r.

– To powrót do nastroju z pierwszego sezonu: wilgoć, beton, mgła, rozpad. Przedmilenijna wizja rozpadającego się świata, w którym coś się kończy, choć nie wiadomo, czy na zawsze – mówi reżyser serialu, Jan Holoubek.

W hotelowym piekiełku

Seriale kryminalne z regionalnym kolorytem to ostatnio polska specjalność: w „Odwilży" wręcz równoprawnym bohaterem można nazwać Szczecin, „Klangor" odmalowuje nastrój Pomorza Zachodniego, a „Kruk" czerpie ze skojarzeń z Podlasiem. Jednak to „Rojst" chyba najbardziej spośród nich jest produkcją opartą na nastroju budowanego świata. Nie chodzi jedynie o lokalizację, a ducha „tamtych Polsk".

ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX X2

Powyżej i obok: Filip Pławiak w filmie „Rojst. Millenium"

Mówią o nich architektura, faktury lamperii, barwy i światło wnętrz, samochody na czarnych tablicach (z rejestracjami zaczynającymi się od litery T, choć takich nie było ani w Tarnowie, ani w Tarnobrzegu). Zgadywanie położenia budynków czy wyłapywanie detali (ewentualnie znajdowanie wtop scenograficznych – ta dziedzina również ma swoich zapaleńców) to element frajdy wliczony w całe filmowe doświadczenie. Podobnie jak zreinterpretowane, zdefragmentowane („zrojstowane") wersje przebojów z epoki w wykonaniu Moniki Brodki. Po przebojach takich jak „Wszystko, czego dziś chcę" Izabeli Trojanowskiej i „Ostatni" Edyty Bartosiewicz w milenijnej części padło na „List" zespołu Hey z 1999 r. (w duecie z Yannem).

Ale też „Rojst" to specyficzny serial klimatów epoki, bo każdy z jego sezonów przypada na ciężki, gęsty moment w historii. Taki, w którym spiętrzenie problemów rozkłada i przygważdża. Taki, w którym wydaje się, że nie ma z tych problemów wyjścia – jak z bagiennej metafory, która od początku ustawia klimat produkcji.

Akcja pierwszego sezonu, zrealizowanego jeszcze dla platformy Showmax, rozgrywała się w połowie lat 80., a intryga mogła przywodzić na myśl zapomnianą historię z „Ekspresu Reporterów". Nie mogę być wobec niego w pełni obiektywna z powodu zaangażowania na bardzo wczesnym etapie pracy, ale także dlatego, że nad mrocznym wiaduktem i w krytym azbestem bloku spędziłam kilka wczesnodziecięcych lat. Tamten sezon rozgrywał co prawda znane i lubiane skojarzenia ze schyłkowym PRL, czyli szarość blokowisk w kontraście z dewizowym luksusem hotelowego „piekiełka", ale uzupełniał je o specyficzny, przyklapnięty koloryt drugoligowego miasta wojewódzkiego.

Akcję kontynuacji, „Rojst 97" (zrealizowanej już dla platformy Netflix), osadzono, owszem, w lecie, ale element dezintegracji skutecznie wniosły niedawne ślady powodzi. Mocniej wybrzmiało też miejsce jako bohater: choć fikcyjne, bezimienne miasto ewidentnie przynależy do tej zaniedbanej, opuszczonej Polski, tej przeklętej przez swoją poniemiecką prowizoryczność. Góra dawno spisała ją na straty, więc władzę nad przestrzenią dzierży oddolny rozkład, a nad społecznością – pozaprawne układy, wzajemne kwity na siebie, dawne lojalności i szantaże.

Obserwujemy więc przygraniczny, przedunijny świat szemranych biznesmenów, subkulturowych dzieciaków, bazarowego handlu i entuzjastów amfetaminy, rezydujących w opuszczonych ośrodkach wypoczynkowych i efektownych, choć podupadłych wnętrzach dawnych kamienic, a obok nich – wnętrza rodem z amerykańskiego filmu familijnego – w końcu świeżo wykluta polska klasa średnia też chciała pić na śniadanie sok pomarańczowy.

Kawiarenka w supermarkecie

„Rojst. Millenium" kontynuuje i podbija te wątki. Serialowa rzeczywistość to dziwny stan przejściowy – nie tylko dlatego, że wszyscy nerwowo czekają na efekty pluskwy milenijnej, czyli zapowiadanej globalnej awarii systemów komputerowych po zmianie daty. Polska, świeżo przecież zaproszona do NATO, tkwi pod wieloma względami w poczekalni.

– Zdałem sobie w którymś momencie sprawę, że chociaż rok 1999 przyszedł zaledwie dziesięć lat po zmianie ustroju, to mieliśmy wrażenie, jakby wydarzył się bardzo dawno temu. Jakbyśmy byli już bardzo zachodni – wspomina scenarzysta serialu, Kasper Bajon. – Tymczasem wszystko docierało do nas przez filtr i przyswajaliśmy to po swojemu. Kiedy byłem młodszy, nie mogłem zrozumieć, dlaczego znajomi z Włoch nie znosili Berlusconiego, skoro dla mnie to był gość, który dał mi kreskówki na Polonii 1. Ten nasz kontakt z Zachodem był bardzo wybiórczy.

W serialu atrakcją miasta nie jest już bazar, lecz supermarket. W przestrzeniach po zamkniętych zakładach przemysłowych rozgaszczają się nowe biznesy, kawiarenki internetowe. To trochę świat z surowców wtórnych, świat ↦

ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Tomasz Schuchardt i Michalina Łabacz w filmie „Rojst. Millenium"

↦ z demobilu. Kluczowy dla jednego z wątków opowieści jest motyw baru ze stojącym przed nim samolotem. Na przełomie tysiącleci widywano takie atrakcje przy drogach krajowych.

– To typowo polska pomysłowość. Postawić stary samolot i zrobić w nim restaurację – śmieje się Holoubek.

Tyle że teraz drogi krajowe tracą na znaczeniu, a wraz z nimi motele i knajpy, w których w swoim czasie zapewne dobito niejednego nielegalnego interesu. W końcu legendarnie dziurawe drogi, o których melodię powtarzano przez całe lata 90., przegrywają dzisiaj z autostradami.

Strzelanina w Parolach

Ale w serialu zmiana warty następuje przede wszystkim w świecie zbrodni. Na miejsce starej gwardii przychodzą nowe twarze biznesu specjalizujące się w wymuszeniach i szantażach, bez PRL-owskich pretensji do elegancji i prestiżu, a przede wszystkim bez skrupułów (niespodzianką w obsadzie jest fakt, że jednemu z takich bohaterów wyrazistego oblicza dostarcza raper i gospodarz internetowego *talk show*, Wini).

Z każdym sezonem zresztą „Rojst" staje się drastyczniejszy; tu bezpardonowość, ale też wszechobecność przemocy każe znów zastanowić się nad pracą pamięci. O ile u progu millenium rok 1989 wydawał się nierealnie odległy, o tyle podobnie może być teraz z uświadomieniem sobie, jak zwyczajnym składnikiem życia na przełomie wieków była brutalność.

– Miałem wtedy szesnaście, siedemnaście lat, zaczynała się epoka hip-hopu, a kiedy człowiek jest w swoim „primie", to wszystko wydaje się fajne – mówi Kasper Bajon. – Ale był to jednocześnie brutalny, niebezpieczny czas. Krojenie czy dziesiona [rozbój – przyp. OD] to były zjawiska na porządku dziennym. Mnie też zdarzało się wracać bez butów z placu Bankowego, bo ktoś mi je po prostu zabrał. Ówcześni gangsterzy nie przypominali tych z „Ojca chrzestnego". Mój syn i jego koledzy słuchają dzisiaj Molesty i bardzo są tym składem zafascynowani, ale zupełnie nic nie rozumieją – dodaje.

Jan Holoubek, który kończył wówczas studia i próbował stawiać pierwsze zawodowe kroki w pogrążonej w sporym kryzysie polskiej kinematografii, kojarzy ten okres z nieustannym uczuciem niepewności i rozchwiania.

– Zakładaliśmy, że chcemy opowiedzieć o szczytowym momencie zbrutalizowania się polskiego społeczeństwa. O kulminacji dzikiego kapitalizmu. Ten sezon faktycznie jest bardziej drastyczny od reszty, ale nie ma tam nic, co nie mogłoby wydarzyć się w rzeczywistości. Prawdą były wojny gangów, Pruszków, Wołomin, „Ośmiornica", „Obcinacze palców", prawdą był handel kobietami – mówi reżyser.

Pojawia się zatem w serialu gang sutenerów porywających kobiety pod pretekstem ogłoszeń o pracę, powracający refren ówczesnych kronik kryminalnych – podobnie jak wewnętrzne wojny w przestępczości zorganizowanej. Niektóre sceny, choć mogą wydawać się zbyt filmowe i spektakularne jak na polskie realia, mają faktyczne precedensy w wydarzeniach z przełomu tysiącleci: strzelanina w Parolach czy słynna akcja policyjna w Magdalence, szturm na zabarykadowany i zaminowany przez przestępców dom.

– Myślę, że wielu ludzi tę wiedzę wyparło, o tym po prostu się nie pamięta. A 1999 rok to przecież premiera „Długu" Krzysztofa Krauzego – wspomina Bajon.

W milenijnym sezonie nie tylko w świecie przestępczym nadchodzi nowe. Pojawia się ono również po stronie prawa. Nowy rozdział symbolizuje prokurator – deklarujący patriotyczną misję „biało-czerwonego millenium" i realizujący własny wariant tego, co później nazwano polityką historyczną. Prokurator zastępuje bohatera poprzednich dwóch sezonów, który jedną nogą stał jeszcze mocno w minionym systemie.

Kino Ognisko w Legnicy

Jednym z kluczy dotychczasowych sukcesów serialu był z pewnością dobór miejsc niosących odpowiedni ładunek skojarzeń z przeszłością, a jednocześnie nieopatrzonych za sprawą innych fil-

mów. W pierwszym sezonie udało się to dzięki pokazaniu azbestowych bloków (Katowice Zadole), przed którymi parkuje charakterystyczna zastava redaktora Wanycza, albo dworca w Raciborzu. Dawny Dom Partii w Częstochowie, efektowny, choć nieco ponury gmach, zmienił się z kolei w komendę policji.

Z sezonu na sezon przed poszukiwaczami lokacji staje jednak coraz trudniejsze zadanie, bo nasze otoczenie ekspresowo się przeobraża. Wszyscy pragną nowego, a przeszłości najłatwiej szukać na starych nagraniach VHS. W Polsce kostki betonowej, sklepów franczyzowych, blachodachówki i ogrodzeń panelowych (tak wszechobecnych, że wkradły się nawet do „Rojsta '97", co wypatrzy czujne oko), skażone powietrze nie opada już aż tak gęsto na termomodernizowane fasady, a błoto pochodzi nie z podwórek-klepisk, lecz spod kół SUV-ów. Wąbrzeźno Krzysztofa Zielińskiego również zmieniło odcień – z burego na morelowy. Żyjemy w coraz bardziej schludnym i aseptycznym krajobrazie, który unowocześnia się, jak może. Jak w takiej sytuacji realizować film o czasach transformacji?

Otóż na potrzeby „Rojst. Millenium" ekipa podróżowała od Świdnicy po Częstochowę, niespodziewany skarbiec ówczesnej architektury.

– Brałem udział w poszukiwaniu lokacji – opowiada Holoubek. – Trudno skompletować obiekty do opowieści z epoki, bo nawet w mniejszych ośrodkach przeszliśmy sporą przemianę. W „Heweliuszu", nad którym obecnie pracujemy, ślad dawnego warszawskiego Ursynowa znaleźliśmy dopiero w Zgorzelcu. To szpagat, ale dzięki podróżom po Częstochowie, Raciborzu, Zabrzu czy Świdnicy poznaję Polskę poza Saską Kępą.

– Łatwiej dzisiaj znaleźć lata 80. niż 90. – przypuszcza Kasper Bajon. – Wielką płytę już oswoiliśmy, a obiektów z lat 90. wciąż chętnie się pozbywamy, traktujemy po macoszemu. One oczywiście były „specyficzne", ale dobrze byłoby tak całkowicie o nich nie zapominać – przyznaje.

Swoją trudną, lecz fascynującą urodę ma okazję zaprezentować w serialu Legnica, z legendarnym kinem Ognisko na czele. Równolegle bowiem z wydarzeniami roku 1999 płynie tu retrospektywna narracja o latach 60., dopowiadająca wydarzenia z przeszłości bohaterów.

Polska jest fotogeniczna na wiele sposobów, czasem trudną urodą, ale nie zawsze chcemy patrzeć na pocztówkowe scenerie. Umiejętnie sfilmowana szarość odludzia, monotonia osiedli, fronty kamienic potrafią zaabsorbować bardziej. Oto serialowe klimaty.

▪ KLANGOR – ŚWINOUJŚCIE
Kryminalna produkcja Canal+ z socjologicznym rysem, osadzona w przygaszonej scenerii wysp Uznam i Wolin poza sezonem. Może najbardziej „skandynawski" serial po tej stronie Bałtyku.

▪ #BRINGBACKALICE – TRÓJMIASTO
Młodzieżowy serial HBO Max to fabularnie „amerykańska Polska", jednak w tle widzimy widoki Trójmiasta. Prestiżowe liceum, w którym uczą się bohaterowie, grają imponujące wnętrza Politechniki Gdańskiej.

▪ OJCIEC MATEUSZ – SANDOMIERZ
Żadne miasto nie zyskało na pojawieniu się w telewizji tak bardzo jak Sandomierz, który na rowerze przemierza serialowy ojciec Mateusz (choć filmowa plebania znajduje się w Warszawie). Obok „Rancza", które doczekało się własnej trasy wycieczkowej po okolicach Mrozów, to nasz najbardziej znany przykład „city placement".

▪ 1983 – ARCHITEKTURA
Dystopijny serial Agnieszki Holland dla Netfliksa odebrano z umiarkowanym entuzjazmem, ale trudno nie docenić doboru budynków, które grają tu PRL przyszłości. To m.in. wrocławskie osiedle Manhattan („sedesowce" projektu Jadwigi Grabowskiej-Hawrylak) czy lubelskie Centrum Spotkania Kultur (skończony po wielu latach „teatr w budowie").

Filmowanie tej najbardziej fotogenicznej z dekad musi być czystą frajdą, co widać na ekranie.

– Mogliśmy pobawić się konwencją, bo to czasy już tak odległe, że więcej wiemy o nich z kina i popkultury niż bezpośredniego doświadczenia. Margines umowności staje się większy. A z deficytem wiedzy wzrasta poczucie wolności – mówi Bajon.

Przystanek Woodstock

Dopóki jednak trzymamy się nieodległej przeszłości, odpowiednia dbałość o detal może albo zachwycić, albo pogrążyć produkcję. A ponieważ „Rojst" jest serialem nastroju, precyzja ma znaczenie. Nie chodzi jedynie o przestrzenie i przedmioty, ale i muzykę, bo zarzucano już realizatorom produkcji nadmierną obecność muzyki lat 80., która w nowej Polsce uchodziła po prostu za obciach.

Dobrym przykładem jest tu postać nastolatki Wandy, którą celnie uczyniono fanką rocka. Obok techno to właśnie rock zagospodarowywał emocje młodzieży z zachodnich województw, stając się niebawem domem Przystanku Woodstock. Nowym wyzwaniem stał się wreszcie internet i telefonia komórkowa, których pionierski etap w Polsce trzeba było odtworzyć.

– Na szczęście nasz rekwizytor ma hopla na tym punkcie! Przywozi nam sprzęt i oprogramowanie, jakiego wtedy używano. Nad tą stroną pracujemy zespołowo, gadżetami zajmuje się cały sztab ludzi, ale każdy z ekipy dorzuca swoje pomysły i kiedy komuś coś się przypomni, staramy się to pokazać na ekranie – wyjaśnia Holoubek.

Bajon dodaje, że osobiście zależało mu, by napomknąć o grach RPG, które faktycznie zdobywały wówczas sporą popularność:

– Nie mogliśmy oczywiście dosłownie użyć nazwy najpopularniejszej wówczas gry Warhammer, ale będzie coś o Magii i Mieczu – śmieje się.

Nastrój to sprawa ulotna, subiektywna, ale próba odtworzenia go wymaga godzin pracy, dziesiątek rąk i kilometrów jazdy. To wspólna praca nad kluczowym i wszechobecnym bohaterem opowieści.

– Klimat jest dla mnie w tym serialu chyba ważniejszy od fabuły – wyznaje Holoubek, a Bajon dodaje: – Dla mnie był zawsze jednym z głównych bohaterów „Rojsta". © OLGA DRENDA

Wibracje i nie tylko

JAN BŁASZCZAK

Ktoś wyczuwał w niej potężną joginkę, ktoś inny uznawał, że jest jedynie anteną wykorzystywaną przez istoty z innego wymiaru. Zdobyła wielkie uznanie jako wróżka. To tylko kilka z jej wcieleń.

Przez długie lata afroamerykańska proza miała u nas pod górkę. Teraz zmienia się to m.in. za sprawą Teresy Tyszowieckiej bLasK!, która znalazła sposób, by naginać polszczyznę do obcych jej melodii. Jej najnowszy przekład, „Alfons" Iceberga Slima, właśnie trafił do księgarni.

MACIEK JERZMANOWSKI / ARCHIWUM PRYWATNE TERESY TYSZOWIECKIEJ BLASK!

Teresa Tyszowiecka bLasK!

Bez formatowania

– Jadąc autostopem przez Oregon, trafiłam kiedyś do chatki, gdzie zaproszono mnie do gry – wspomina Tyszowiecka. – Na dywanie leżały czarno-białe karty z obrazkami, symbolami i fotografiami. Joint leciał w koło, a potem każdy dokładał, jak mu się podobało. Nie było celu, wyścigu, nie mówiąc już o wygranej, tylko poruszanie się po siatce oczywistej dla prawej półkuli – tej pomijanej w oficjalnej debacie.

Ta opowieść stanowi niezły punkt wyjścia do kreślenia sylwetki naszej bohaterki. Biografii pełnej niespodziewanych przeskoków między kontynentami i światami, ale też białych plam. Okresów, kiedy Tyszowiecka dawała się ponieść jakiejś zewnętrznej sile, jak wówczas, gdy porwał ją poetycki *freestyle*; ale też lat, które szczelnie wypełniła jej rodzina i życie prywatne.

– 19 marca będę miała 70 lat – mówi bLasK! – Mam i nie mam tych lat. Może dlatego, że z racji dość prywatnego życia udało mi się uniknąć formatowania przez społeczne konotacje?

Nawet bez tych lat biografia Tyszowieckiej jest zakręcona jak meandry przełożonego przez nią „Mambo Dżambo" Ishmaela Reeda czy afrofuturystyczne peregrynacje Anthony'ego Josepha, autora „Afrykańskich korzeni UFO", za przekład których otrzymała Nagrodę im. Boya-Żeleńskiego. Słuchając jej opowieści, odnosiłem chwilami wrażenie, że los od najmłodszych lat popychał ją w kierunku takiej właśnie literatury: swobodnej formalnie, wielogłosowej, pełnej szalonej muzyki i bożków już wycofanych z obiegu.

Wieloma językami i wspak

Urodzona w rodzinie o ziemiańskim rodowodzie i naukowych tradycjach bLasK! od dziecka była zafascynowana mową i językami. Do jej domu przychodził pan od angielskiego, w wieku dziesięciu lat rozpoczęła kurs francuskiego, a rosyjskiego uczyła się, odwiedzając starszą Sybiraczkę. W jej rodzinie przywiązywało się dużą wagę do języków. Nawet jej babcia, która jeszcze przed I wojną światową pracowała przez jakiś czas jako sekretarka, posługiwała się płynnie językiem angielskim. Władał nim również jej ojciec – Jan Kanty Tyszowiecki, wykładowca Politechniki Krakowskiej, którego studentami byli Marek Grechuta i Jan Kanty Pawluśkiewicz. Przydomek przed nazwiskiem tego drugiego artysty nie znalazł się zresztą przez przypadek.

– Pamiętam, że przed wejściem do Katedry Konstrukcji wywieszona była wizytówka jej kierownika: „Jan Kanty Tyszowiecki", która w sensie estetycznym, brzmieniowym zrobiła na mnie bardzo duże wrażenie. Inna sprawa, że pan profesor zadawał szyku na wydziale: brytyjskie marynarki, włoskie buty, zimą widywano go, jak szusował na nartach z Kasprowego Wierchu, a jesienią – na Zaduszkach Jazzowych. Niewiele osób w moim życiu tak bardzo na mnie wpłynęło – wspomina kompozytor, który zainspirowany wykładowcą również oddał miejsce patronowi w swoim podpisie.

Choć takie wspomnienia budują barwny obraz rodziny Tyszowieckich, to kompletny wydaje mi się on dopiero po dodaniu fantastycznego, lekko psychodelicznego elementu. Takiego jak ten, że językową sprawność w domu przyszłej tłumaczki zdobywano nie tylko w sali lekcyjnej.

– Jednym z takich miłych zwyczajów w mojej rodzinie było mówienie do siebie na wspak – wspomina. – I ja dalej umiem mówić od prawej do lewej, prawie się przy tym nie potykając.W 1966 r. ojciec tłumaczki dostał pracę na uniwersytecie w Chartumie. Choć na południu Sudanu toczyła się w tym czasie wojna domowa, moja rozmówczyni bardzo ciepło wspomina czas spędzony w Afryce: – W Sudanie trafiłam na inny rodzaj człowieka. Na przyjęciach, kiedy do pokoju wchodziła biała dziewczynka, wszyscy automatycznie przerzucali się z arabskiego na angielski. A jestem pewna, że przechodziliby na polski, gdyby tylko go znali. Czarni Afrykańczycy byli niesamowicie mili. Mieli *vibe*, który w tak straumatyzowanym kraju jak Polska w ogóle nie występował. Oni po prostu życzyli dobrze: mnie, sobie, światu.

Wróżka z Pałacu

Z wykształcenia Tyszowiecka nie jest filolożką, lecz absolwentką socjologii. Po pobycie w Sudanie język angielski szlifowała w Stanach Zjednoczonych, dokąd wyjechała w 1977 r. Nie planowała jednak kariery tłumaczki – w środowisku uchodzi raczej za outsiderkę. Prawdziwie zatrudniona była raz, bynajmniej nie przez wydawnictwo.

– Przez rok byłam wróżką w Pałacu Kultury. To była filia hinduskiej firmy. Z dziewiętnastego piętra wróżyłam przez telefon całej Polsce. Kiedy miałam nocny dyżur, wydzwaniały do mnie sprzątaczki z gabinetów dyrektorów. Nabijając ekstremalnie licznik godzinami, dumały nad swoim życiem, a ja podawałam im zwierciadło synchroniczności. Tej samej, która jest ważnym narzędziem tłumacza, pozwalającym rozwiązywać koany przekładu dzięki zawierzeniu się chwili.

Usługę promowało hasło: „Helena Pellegrini poleca" i wielu klientów brało Tyszowiecką za nestorkę warszawskiej sceny, Józefinę Pellegrini. Rozmowy zaczynały się więc często od komplementów pod adresem kreacji scenicznych, a w dalszej części zwracano się po rady z respektem i wdzięcznością. I słusznie, bo konsultantka po drugiej stronie kabla nie była w tym zakresie debiutantką. Zainteresowanie Tyszowieckiej ezoteryką sięga późnych lat 60.

– Jako nastolatka na kursie językowym poznałam dwóch starszych panów – wspomina. – Okazało się, że pod płaszczykiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej prowadzili tajne towarzystwo parapsychologiczne. Wyszłam od nich z „Autobiografią jogina", a oni powtarzali, że mam dziwną, niezwykłą aurę. Później, kiedy miałam już szersze kontakty w tych kręgach za sprawą Europejskiego Towarzystwa Transpersonalnego, często słyszałam podobne opinie.

Tyszowiecka przywołuje wiele spotkań z szamanami i uzdrowicielami. Ktoś wyczuwał w niej potężną joginkę, ktoś inny uznawał, że jest jedynie anteną wykorzystywaną przez istoty z innego wymiaru. W środowisku panowała natomiast zgodność co do jej zdolności mediumicznych. Ta reputacja sprawiała, że przez parę lat odwiedzali ją różni bogaci ludzie gotowi zapłacić duże pieniądze za rozwikłanie tajemnic przyszłości. Tyszowiecka twierdzi, że do dziś telepatia czy synchroniczność stanowią dużą część jej metody działania, także w pracy nad przekładem.

Łapanie vibe'u

Z pewnością wiedza i pewna ezoteryczna wrażliwość pomogły Tyszowieckiej w tłumaczeniu literatury, jak ją określa, psychoduchowej. Wszystko zaczęło się od audycji „Zgryz", prowadzonej w drugiej połowie lat 70. przez Macieja Zembatego. Tyszowiecka została do niej zaproszona, by przeczytać jedno z kilku napisanych przez siebie opowiadań. Przy okazji zaprezentowała też na antenie fragment tłumaczenia pewnej okultystycznej książki.

Tak się złożyło, że akurat tego dnia w studiu swój program nagrywał Jacek Santorski. Psycholog zaproponował jej przetłumaczenie poradnika „Magical Child" Josepha Chiltona Pearce'a. Tyszowiecka przyjęła zlecenie i choć się z niego wywiązała, jej pierwszy przekład nigdy się nie ukazał. Po ogłoszeniu stanu wojennego maszynopis utknął na dobre w zamkniętej siedzibie Polskiego Radia. Kiedy po półtora roku budynek został otwarty, książki już w nim nie było. Po latach Santorski znów zaprosił tłumaczkę do współpracy, której rezultatem był przekład książki „Każdy krok niesie pokój" wietnamskiego mnicha Thich Nhat Hanha: – Ludzie prosili mnie o autografy, bo ta literatura miała ogromne znaczenie dla wielu Polaków. A jako tłumaczka byłam dla nich częścią tej fali wypełniającej wielką lukę w narodowej myśli.

Od tego czasu Tyszowiecka tłumaczyła dzieła wielu uznanych amerykańskich pisarzy: Charlesa Bukowskiego, Philipa K. Dicka, Henry'ego Millera. Pod pseudonimem przekładała też romanse dla wydawnictwa Harlequin, które nie dość, że świetnie płaciło, to jeszcze wymagało skracania oryginałów.

Kiedy rozmawiamy o przekładzie „Afrykańskich korzeni UFO", Tyszowiecka wyjaśnia, że „połknęła ten *vibe*", mieszkając w Stanach. W Kalifornii pojawiała się na wydarzeniach takich jak przyjęcie z okazji rocznicy urodzin żony słynnego okultysty Aleistera Crowleya, a w Nowym Jorku mieszkała u dwóch łysych „friczek", gdzie na ścianie łazienki widniał wielki napis: „Samuel Delany". Okazało się, że ten czarny pisarz, jeden ze sztandarowych twórców afrofuturyzmu, zaszczycił jej gospodynie po jakimś konwencie *science-fiction* i uwiecznił się na całą szerokość ściany. Może więc ta literatura była jej pisana?

Rzeczywiście, Tyszowiecka lubi podkreślać nadnaturalne, a przynajmniej trudne do wytłumaczenia, zetknięcie się z twórczością Anthony'ego Josepha.

– W jednym ze swoich stanów, nazwijmy je, wizyjnych, Teresa wyobraziła sobie współczesnego, miejskiego griota, wpisała tę frazę w wyszukiwarkę i wyskoczył jej Anthony Joseph, podobno od tego się zaczęło – mówi Miłosz ↦

↦ Biedrzycki, poeta i redaktor „Afrykańskich korzeni UFO”.

Jakkolwiek doszło do tego spotkania pomiędzy autorem a tłumaczką, niewątpliwie trafił swój na swego. Przy czym nie chodzi tu tylko o duchowe poszukiwania i muzyczne fascynacje – o których za chwilę – ale także o pewne nieskrępowanie, które zawsze wyróżniało Tyszowiecką na tle jej rówieśniczek. – Poznałyśmy się w 1978 roku w Nowym Jorku i pamiętam do dziś, jakie wrażenie zrobił na mnie jej luz, ta swoboda, z jaką odnajdywała się w różnych amerykańskich środowiskach – wspomina dziennikarka Ewa Zadrzyńska-Głowacka. – Odnosiło się wrażenie, że Teresa się tam urodziła, że to jest jej świat.

ARCHIWUM PRYWATNE

Chartum, 1969 r.

Freestyle, czyli Blaga

A przecież nie zawsze tak było. Tyszowiecka wspomina połowę lat 70., kiedy przez parę lat była związana z krakowskim Teatrem STU, występując w „Senniku” i „Exodusie” Krzysztofa Jasińskiego. Przy tej okazji przywołuje wizyty zagranicznych stażystów, których swoboda dawała jej wiele do myślenia.

– Taki Amerykanin łapał instrument, który mu się nawinął, i zaczynał na nim grać, choć wcale nie był muzykiem, do tego jeszcze śpiewać. A my się wszyscy skręcaliśmy, tak bardzo wstydziliśmy się publicznie śpiewać. To były jakieś spustoszenia po – no właśnie nie wiem – niewoli niemieckiej, niewoli sowieckiej? Straszliwy toksyczny wstyd, którym wszyscy byliśmy przesiąknięci. Ja też.

Ten wstyd jednak ustępował. Tyszowiecka enigmatycznie napomyka, że była przy początkach polskiego reggae. Z bliska obserwowała początki Maanamu i rosnącą popularność rodzimego punk-rocka. Swoje pierwsze muzyczne doświadczenia wiąże jednak z przełomem tysiącleci, kiedy zaczęła sama grać na saksofonie i uprawiać poetycki *freestyle* pod pseudonimem Blaga Vizyir : – Okazało się, że potrafię tak lecieć i jestem wtedy lepsza od samej siebie. Jednak jest to możliwe tylko przy pełnej improwizacji, kiedy wszystkie moce umysłu skupiają się w antenie, która pobiera teksty z pola morfogenetycznego, z ominięciem funkcji pamięci.

Debiutowała scenicznie na squacie poznańskich anarchistów, potem występowała w warszawskich klubach, na konwencie tatuażystów i na dyskotece rzuconej gdzieś pośrodku pól. Następnie przeniosła swoją uwagę na eklektyczny, wielkoskalowy fenomen, jakim były dla niej stołeczne nabrzeża Wisły. Przełożyło się to na cykl multimedialnych wydarzeń wykorzystujących rezonans mostów i ich wartość scenograficzną.

Zdaniem Marcelego Szpaka, tłumacza i redaktora, takie muzyczne doświadczenia mogły być pomocne przy tłumaczeniu prozy tak melodyjnej i rytmicznej, jak chociażby „Mambo Dżambo” Reeda: – Pani Teresa zrobiła to bezbłędnie, naginając polszczyznę do zupełnie obcych naszej mowie melodii, tak by brzmiała, jakby od zawsze w niej były. Czy spojrzymy w Johnsona, czy w Reeda, czy w najnowszego Slima, wszystkie te teksty mają bardzo muzyczną strukturę, więc przetłumaczyć dobrze mógł je tylko ktoś, kto myśli o tekstach w kategoriach muzycznych. Można powiedzieć, że to trzecia strategia translatorska – po przekładach wiernych lub pięknych – Tyszowiecka bLasK! jest w tym momencie jej najlepszą przedstawicielką w polszczyźnie.

Rozróba

W tłumaczeniach Tyszowieckiej nie chodzi jednak tylko o złapanie rytmu, uchwycenie wiodącej melodii w słowotwórczym chaosie. Są tu też momenty improwizacji, kiedy przekładająca, by oddać koloryt tekstu, musi zdradzić się ze swoją osobowością. Nie powinno dziwić, że tak było w przypadku książek Reeda i Josepha, którzy są nie tylko pisarzami, ale także muzykami.

Miłosz Biedrzycki tak wspomina pracę przy „Afrykańskich korzeniach UFO”: – Są tam momenty transkreacji, ale to należy do rzemiosła przekładowego – szukanie adekwatności. Momenty tego rozpędzenia u autora, które on wzbudzał w sobie i które były związane z jego osobowością, zostały oddane przez tłumaczkę poprzez momenty wzbudzenia związane z jej osobowością, historią, sposobem odbierania świata. Niezwykłość i ekstrawagancja Anthony'ego Josepha z jego historią trynidadzką i brytyjską została przełożona na ekscentryczność naszą, polską. Jest to niewątpliwie tekst, który trafił na swoją tłumaczkę.

Choć ten przekład został doceniony, a fragmenty takie jak sławetne: „Pognałem więc nabrzeżem, gdzie fetor flądrzych flaków fundował z furią fangę, frunąłem na balangę wkleić się w falangę (...)” fruwały po mediach społecznościowych krytyków literackich, to niewątpliwie dwie pierwsze książki przetłumaczone przez Tyszowiecką dla Ha!artu miały dość niszowy charakter. Co innego wydany właśnie „Alfons” Iceberga Slima. Wciągająca, choć przecież brutalna, mizoginistyczna autobiografia, która ukazała się w 1967 r., by sprzedać się w nakładzie niemal dwóch milionów egzemplarzy. W tym wypadku nie chodzi jednak tylko o popularność. Za sprawą tej głośnej książki Slim wprowadził do czarnej popkultury figurę alfonsa: twardziela-lansiarza, ale też kombinatora-mędrca, który od tego czasu nawiedzał filmy z gatunku Blaxploitation, płyty raperów i twórców funku, stand-upy czarnych komików.

Obawiam się, że drastyczna treść tej powieści wzbudzi dziś raczej grozę niż zachwyt. Tym bardziej że język jej przekładu jest tak sugestywny, że strach się od niej oderwać, bo jeszcze bohaterowie opuszczą jej karty, by spuścić nam łomot. Kwadratowa metafora? No właśnie. Zapewniam, że brakuje takich w tłumaczeniach Tyszowieckiej, która slang czarnej ulicy czuje jak nikt inny.

© JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Christian Friedel jako Rudolf Höss w filmie „Strefa interesów”

Taka sobie rodzina

CHRISTIAN FRIEDEL, AKTOR:

Nie myślał o najbardziej brutalnej, ale najbardziej efektywnej metodzie eksterminacji. Zupełnie jakby zarządzał farmą. I to jest właściwie niepojęte. Czy słyszysz, jak to brzmi?

MATEUSZ DEMSKI: Grasz główną rolę w nominowanym w pięciu kategoriach do Oscara filmie „Strefa interesów”. Jak to jest wejść do głowy Rudolfa Hössa?

CHRISTIAN FRIEDEL: Było ciemno, było... naprawdę ciemno. Myślę, że dusza tego człowieka była cała pogrążona w mroku. Wejście do tego świata przeżyłem wyjątkowo intensywnie. Nie mogę przestać myśleć o obrazach, które, jak drzazga, siedziały mi w głowie, kiedy pracowaliśmy nad filmem. Nadal zdarza mi się je widzieć.

Mieszkał z rodziną w willi stojącej w odległości zaledwie stu metrów od komina krematorium, z którego bił swąd palonych ciał. Jednak w filmie nie ma ani jednej sceny zbrodni.

Nadajemy Hössowi tak zwaną ludzką twarz. Mamy szansę zajrzeć w odsłonięte okna do jego domu, podejrzeć, co się dzieje. Patrzymy z dystansu i bez sentymentu. Są tam ludzie tacy jak my. Żadnych demonów i dziwów. Para ludzi, rodzina. Kochali naturę, ptaki i konie. Co niedziela całą rodziną objeżdżali okoliczne pola, obchodzili stajnie. Pod mundurem ze znakiem trupiej główki kryje się zwykły facet.

Stanisław Dubiel, który był u Hössa ogrodnikiem, zeznał po wojnie: „Zastanawiające było, że Höss, który potrafił bez skrupułów dawać rozkazy i być naocznym świadkiem masowego zniszczenia tylu ludzi, był przykładnym ojcem rodziny i dobrym mężem”.

Impuls do stworzenia takiego portretu dał reżyserowi Jonathanowi Glazerowi wywiad, który podczas procesu w Norymberdze przeprowadził z Hössem jeden z amerykańskich dziennikarzy. Pisał o nim jako o zwyczajnym, przeciętnym mężczyźnie, w typie nauczyciela. Dlatego w filmie widzimy go w sytuacjach, kiedy jest trochę znudzony sprawami zawodowymi; kiedy odzywa się w nim łagodność.

Czyta dzieciom bajki na dobranoc. Albo wyprawia synowi przyjęcie urodzinowe w ogrodzie. Tym samym, gdzie sadzono truskawki w ziemi nawiezionej ludzkim popiołem.

↦

CHRISTIAN FRIEDEL jest niemieckim aktorem filmowym, telewizyjnym i teatralnym. Na dużym ekranie zadebiutował w „Białej wstążce" (2009) Michaela Hanekego. W 2015 r. otrzymał nominację do Europejskiej Nagrody Filmowej dla najlepszego aktora za rolę Georga Elsera, zamachowca, który próbował zabić Hitlera, w filmie „13 minut" (2015) Olivera Hirschbiegla.

Na zdjęciu: podczas 76. festiwalu filmowego w Cannes. Francja, 20 maja 2023 r.

↦ Martin Amis w literackim pierwowzorze filmu dużo pisał o iluzji normalności – na zewnątrz śpiewają ptaki, jest piękny, błogi dzień, w ogrodzie rzędy tulipanów. A obok tego horror Auschwitz. To jest esencja pisania Amisa, którą rozpoznał Jonathan.

Hössowie mieli się za normalną rodzinę?

A przynajmniej próbowali tak siebie postrzegać. Byli normalną rodziną w tym sensie, że mieli normalne potrzeby i marzenia: on miał dobrą pracę i odnosił sukcesy, ona miała dom z ogrodem, gdzie stały altana, basen ze zjeżdżalnią, szklarnia, ule. Lubiła nazywać siebie jego królową. Wśród kwiatów czuła się jak w raju. Ale Hössowie, jako para, żyli według dziwnego układu, który zawarli między sobą. Nazwałbym to „zawodowym małżeństwem". Kiedyś może łączyła ich miłość – trudno jednoznacznie wywnioskować.

A potem już nie łączyła?

Po przybyciu do Auschwitz to małżeństwo stało się mechaniczne, wręcz zbiurokratyzowane, niezdolne do budowania prawdziwych relacji. Zadawaliśmy sobie zresztą z Sandrą pytania, czy w takim miejscu może istnieć miłość? Czy jest w nim miejsce na czułość, na gwar, na śmiech? Kwestią najważniejszą jest to, że mogli usłyszeć i poczuć węchem to, co dzieje się obok, a mimo to po prostu ignorowali rzeczywistość. To nie jest normalne.

Byłem w prawdziwej willi Hössów. Wszedłem schodami na górę, do pokoju dzieci. Przez duże okno widać stamtąd komorę gazową nr 1. Widać komin. W takiej sytuacji nie możesz powiedzieć: „nie wiem, co się dzieje po drugiej stronie tego muru". Patrzysz przecież na to każdego dnia.

W pewnym sensie ten film ogląda się jak dokument, relację na żywo.

Na potrzeby tego filmu opracowano system wielu kamer. Plan był nimi dosłownie naszpikowany. Towarzyszyło nam dziesięć, pracujących na okrągło. Niekiedy nie wiedzieliśmy nawet, gdzie są ustawione. Nikogo z nami, aktorami, nie było. Byliśmy w tym domu zupełnie sami. Technicy schodzili do piwnicy. Jonathan siedział w przyczepie z dziesięcioma monitorami i podglądał nas na dystans. A my po prostu byliśmy – improwizowaliśmy, snuliśmy się znudzeni po domu, próbowaliśmy dziergać codzienność tych ludzi. Bez inscenizacji, ustawiania.

Aby uświadomić sobie, co działo się za drzwiami tego domu, warto sięgnąć do autobiografii Hössa, powstałej na bazie zapisków, które sporządził w trakcie procesu. Czytałeś ją w trakcie przygotowań?

Nie czytałem całości, czytałem te wspomnienia we fragmentach. Nie chcieliśmy tworzyć filmu, który będzie trzeba rozczytywać dosłownie; który odnosi się ściśle do jego biografii. Ale zdarzało mi się słuchać jego głosu. Na YouTubie można znaleźć nagrania procesów norymberskich i zobaczyć na nich Hössa, z tą tylko różnicą, że jest tam już innym człowiekiem: nie słyszy się głosu komendanta obozu, ale głos więźnia. Niezwykle ciekawe są te wszystkie materiały, to, co tam mówi, co przez to rozumie, ale my szukaliśmy czegoś, co kryje się pomiędzy słowami. Na jedną ważną rzecz zwrócił mi uwagę Jonathan: żebym nie mówił za dużo do kamery i zachował w sobie lekki chłód, dystans. Powiedział też: „Jeśli mówisz prawdę, kłam swoimi oczami. A jeśli twoje oczy mówią prawdę, to kłam ustami".

Szczególnie dużo miejsca we wspomnieniach poświęca Höss kwestii budowy i rozbudowy obozu. Pisze o tym na przykład

tak: „Wieczorem miałem uczucie zadowolenia nie tylko dlatego, że znowu minął jeden dzień, ale i z tego powodu, że wykonałem sporo pracy. Nie widziałem już nic poza nią. Najcięższą karą byłoby odebranie mi pracy”.

W przytoczonych przez ciebie miejscach, w pierwszym zdaniu widać, że jest nastawiony na własną efektywność, to stale zaprząta mu myśli. Od momentu pojawienia się w Oświęcimiu jego zadaniem jest „usprawnianie” działania obozu. Ciągle chce być w tym najlepszy. Ciągle mu się wydaje, że musi coś sobie i komuś udowadniać. W tracie składania zeznań przed trybunałem w Norymberdze mówił, że obóz był jego dziełem, że musiał i chciał wykonać to zadanie najlepiej jak potrafił. Hössowi wydawało się, że to jego szansa. Ten system dał mu do ręki władzę, obwołał go królem, namaścił na władcę Auschwitz. W innym systemie byłby, w swoim mniemaniu, nikim – zwyczajnym, nudnym urzędnikiem za biurkiem, jakich wielu.

„Siedem godzin. Od czterystu do pięciuset sztuk. Potem należy usunąć popiół i wsadzić nowy ładunek” – tak brzmi meldunek Hössa o „wydajności” krematoriów i komór gazowych. W filmie posługujesz się tym korporacyjnym bełkotem.

Ludzkie podejście do więźniów było w jego przypadku zakłócane przez podejście służbowe – traktował ich jak rzeczy. Jednocześnie upierał się, że wprowadza humanitarno-postępowy system wykonywania wyroków na więźniach. By w najbardziej „godziwy” sposób zabić tych ludzi. Nie myślał o najbardziej brutalnej, ale najbardziej efektywnej metodzie eksterminacji. Zupełnie jakby zarządzał farmą. I to jest właściwie niepojęte. Czy słyszysz, jak to brzmi? Nie ma czegoś takiego jak humanitarne pozbawienie życia. Albo humanitarna masowa zagłada. Te rzeczy wzajemnie się wykluczają. Nie da się usprawiedliwiać zbrodni, które żadnego usprawiedliwienia nie mają.

W filmie pojawia się sugestia, że Höss mógł tego nerwowo nie wytrzymać. Pod koniec widzimy, jak coś w nim pęka. Dopadają go nudności, wymiotuje.

Ja się strasznie bałem tego wzbudzania wymiotów, nie umiałem tego pokonać, ale bardzo szybko dotarło do mnie znaczenie tej sceny, czym była ona motywowana. To było jak zwracanie mieszanki wydarzeń, obrazów, potwornych zbrodni, które składają się na codzienność tego człowieka. Bezpośrednią inspiracją był dokument „Scena zbrodni” Joshuy Oppenheimera o ludobójstwie w Indonezji. Jeden ze zbrodniarzy, który własnymi rękami zabił kilkaset osób, opowiada o tym nie bez dumy, aż w końcu, pod koniec filmu, coś w nim pęka. Ciało rozpoczyna walkę z umysłem. Ciało chce wyrzucić z siebie prawdę. Wytwarza się napięcie, które świadczy o tym, że w środku toczy się konflikt. Coś podobnego dzieje się u nas. Być może w Hössie dokonał się jakiś proces: może gonią go wyrzuty sumienia, może zobaczył swoją przyszłość i dotarło do niego, co zostawi po sobie światu. A widz pozostaje bezradny – jest poruszony, ale i skołowany. Bo to, że coś pęka, nie znaczy, że coś się kończy. Höss brnie dalej w ciemność, wraca do pracy, znowu do Auschwitz. Ten horror się powtarza.

To bardzo ważna scena z tego względu, że pojawiają się tu refleksy i przebitki ze współczesności, przez chwilę patrzymy na to, jak obóz wygląda dzisiaj. Pochodzę z Oświęcimia, doświadczyłem bezpośredniej bliskości obozu.

Kiedy zwiedzałem Muzeum, zapytałem moją przewodniczkę, która, podobnie jak ty, urodziła się w Oświęcimiu, jak to jest żyć w tym mieście ze świadomością, że coś takiego się tutaj wydarzyło? Dla mnie, jako turysty, to przeżycie okazało się wstrząsające. Czasem miałem to niesamowite, wywołujące ciarki uczucie, że otaczają i patrzą na nas duchy. U mnie to wrażenie było niezwykle silne, kiedy zaczęliśmy zdjęcia w sąsiedztwie obozu. To nie był dom Hössa, bo nie mogliśmy w nim kręcić. Budynek jest stary, wciąż zamieszkany przez pewną starszą panią. Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, jaka ciąży nad tym miejscem klątwa, jakże odległa w czasie i jakże żywa dla mieszkańców. Z drugiej zaś strony, kiedy wychodziłem na kawę w okolice rynku, łatwo było zapomnieć, gdzie jestem. Pomóż mi, nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywało się to miejsce...

Możesz mówić o Cafe Bergson. To kawałeczek od rynku, bliżej zamku. Kawiarnia powstała w niewielkim domu na tyłach oświęcimskiej synagogi, gdzie przez całe życie mieszkał Szymon Kluger – ostatni Żyd z Oświęcimia.

Każdego dnia przychodziłem tam na kawę! Nie jestem pewnie oryginalny, ale kocham ich cappuccino. Cafe Bergson było częstym miejscem spotkań naszej ekipy, zdarzyło nam się urządzić tam małe przyjęcie w środku zdjęć. Trochę czułem się z tym nieswojo. Dziwne uczucie, skrajna dysproporcja. To rozdwojenie wydało mi się dość symboliczne – tuż obok, naprawdę obok miejsca, gdzie doszło do straszliwej zbrodni, ludzie chcą przecież prowadzić normalne życie. A jednak nie mogłem pozbyć się wrażenia, że każdego dnia czuję pewnego rodzaju wyrzuty sumienia, a nawet odpowiedzialność za ofiary – jako aktor, który wciela się w kata, ale również jako Niemiec z pochodzenia.

Obrazy zostawały w głowie?

A czasami przychodziły w snach. Jednej nocy, w przeddzień kręcenia sceny na rzece, na spływie kajakowym, przyśnił mi się koszmar, że straciłem dzieci. Zlany potem, obudziłem się, i pomyślałem, że wszedłem w rolę tak głęboko, że odezwały się we mnie ojcowskie uczucia. Innym razem siedziałem w kawiarni w Krakowie. Byłem sam, miałem wolny dzień. Dostałem ataku paniki. Moje ciało, jak podczas zdjęć, podpowiadało mi: „Jest w tobie dużo mroku, to nie jest zdrowe...”. Szczerze mówiąc, te ataki zostały ze mną. Ciągle staram się z tego otrząsnąć i jakoś to przepracować. Dwa lata nosiłem tego człowieka w sobie. Pamiętam ostatni dzień zdjęciowy, kręciliśmy w stajni. Po kilku godzinach usłyszałem w głośniku głos Jonathana: „Wszystko ok, to była ostatnia scena” i zacząłem płakać.

© Rozmawiał MATEUSZ DEMSKI

RADIO 357

Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika” w prasówce Radia 357 – środy o 8:30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

STEPHANE CARDINALE / CORBIS / GETTY IMAGES

Big Brother u nazisty

ANITA PIOTROWSKA

W cieniu krematoryjnych kominów toczy się życie rodziny komendanta Auschwitz--Birkenau, które do złudzenia przypomina zwykłą krzątaninę: on wychodzi rankiem do pracy, a ona buszuje w nowej dostawie fatałaszków z „Kanady".

Ten film powstał niejako na przekór kinu, które próbuje opowiedzieć nam Zagładę. I w pewnym sensie przeciw empatii wywołanej przez udramatyzowane wydarzenia, w czym ćwiczyły nas przez lata obrazy typu „Lista Schindlera" Stevena Spielberga, „Pianista" Romana Polańskiego czy ekstremalna wcieleniówka, jaką był „Syn Szawła" László Nemesa.

Inspirując się bardzo luźno powieścią Martina Amisa, filmowa „Strefa interesów" odwraca perspektywę, ale tylko pozornie. Pochodzący z żydowskiej rodziny Jonathan Glazer nadaje z prywatnego domu Rudolfa Hössa, komendanta Auschwitz-Birkenau, by skonfrontować nas z podskórnym i poniekąd retorycznym pytaniem „jak to było możliwe?".

Poprzedzony gruntowną kwerendą i zrealizowany w ścisłej współpracy z oświęcimskim muzeum film „Strefa interesów" nie wkracza (z jednym dokumentalnym wyjątkiem) na teren obozu ani go nie odtwarza. W pobliskim domu i ogrodzie rekonstruuje za to przytulne gniazdko, w którym Höss (Christian Friedel), jego żona Hedwig (Sandra Hüller) oraz piątka dzieci spędzają najlepszy ponoć okres swego życia. W cieniu krematoryjnych kominów.

Największe wrażenie robi nie tyle wspomniane odwrócenie spojrzenia, ile maksymalna redukcja: codzienna krzątanina po schludnym domostwie (ach, to śnieżnobiałe pranie!) lub w niewidzialnej „strefie interesów" do złudzenia przypomina życie w tradycyjnej rodzinie, gdzie on wychodzi rankiem do pracy w korpo i czasem – zwłaszcza kiedy trzeba wdrożyć nowy projekt – jest zmuszony przynieść robotę do domu.

Podczas gdy w męskim gronie pan domu rozprawia o ulepszonej logistyce, strategiach optymalizacji i wzroście produkcji, ona buszuje w nowej dostawie fatałaszków z „Kanady". Pewnego dnia wyszukuje tam futro z rozprutą podszewką i czyjąś szminką w kieszeni. Innym razem „królowa Auschwitz" opowiada z rozbawieniem o diamencie znalezionym w paście do zębów – „czegóż to oni nie wymyślą!". Lecz kiedy ponadprzeciętne zaangażowanie Rudolfa zostaje nagrodzone awansem i nową misją w Oranienburgu, nad dom Hössów nadciągają ciemne chmury. Trzeba będzie opuścić raj.

Widz patrzy na tę bukolikę niczym przez szybę, a jest nią przede wszystkim warstwa dźwięków, która żyje tu osobnym życiem, dyskretnie przypominając, gdzie się znajdujemy. Jej twórca, wybitny dźwiękowiec Johnnie Burn, zgromadził wcześniej specjalną bibliotekę audialną i z niej utworzył kakofonię stłumionych odgłosów zza muru. Powoduje to czasem mrożącą krew konfuzję.

Słyszymy na przykład dziecięcy pisk i okazuje się, że to dzieciaki Hössa właśnie pluskają się w basenie. Wyprowadziwszy grozę poza kadr, „Strefa interesów" buduje z obozowych dźwięków swoistą tapetę, do której rodzina Hössów najwyraźniej zdążyła już dawno temu przywyknąć. A żeby wytrącić widza z podobnego stanu, raz po raz wkracza ze swym zgrzytliwym minimalizmem kompozytorka Mica Levi. Wszelkie dudnienia i wokalizy są jednak na tyle intensywne i zarazem na tyle oszczędnie dawkowane, że najgłośniej pozwalają wybrzmieć temu, co niesłyszalne. Zresztą cisza i wszelako rozumiane milczenie stanowią wiodące tematy i środki wyrazu tego filmu. Tło historyczne czy pokątne życie Rudolfa i Hedwig musimy sobie sami dopowiedzieć, jako że Glazer to prawdziwy mistrz ekonomiki filmowej.

Twórca „Pod skórą" znalazł ekranowy język, by stworzyć istne laboratorium „banalności zła" w jego najbardziej poczciwym, znormalizowanym wydaniu. Osobny tekst należałoby poświęcić temu, jak kręcono „Strefę interesów". Jak operator Łukasz Żal musiał zapomnieć o wysmakowanych kadrach „Idy" czy „Zimnej wojny". Zamiast tego wykorzystano system dziesięciu ukrytych kamer cyfrowych, tworząc coś na kształt „Big Brothera w domu nazisty".

Na planie nie było ekipy, toteż aktorzy, uwolnieni od reżyserskich ingerencji, mogli zanurzyć się w uniwersum swoich postaci i w dużej mierze improwizować. Ów czysto behawioralny, zdystansowany podgląd, z naturalnym oświetleniem wnętrz i wyblakłym kolorem, przynosi efekt klaustrofobiczny, a równocze-

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

STREFA INTERESÓW
(„The Zone of Interest") – reż. Jonathan Glazer. Prod. Wielka Brytania/ /Polska/USA 2023. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 8 marca.

Jonathan Glazer, brytyjski reżyser i scenarzysta, zaczynał od wideoklipów dla Massive Attack czy Radiohead. Zadebiutował filmem „Sexy Beast" (2000) ze świetną rolą Bena Kingsleya. Potem były amerykańskie „Narodziny" (2004) z gwiazdorską obsadą i „Pod skórą" (2013) wg Michaela Fabera. „Strefa interesów" otrzymała m.in. Grand Prix w Cannes i 3 nominacje do Oscara.

Kadr z filmu „Strefa interesów".

śnie uniemożliwia emocjonalną identyfikację i utrudnia psychologizowanie. Nie wiemy, o czym myślą Hedwig i Rudi, widzimy ich wyłącznie w zadaniach. Ot, zajęci obowiązkami zwykli ludzie – z grubsza tacy jak my.

Glazer próbuje osiągnąć w ten sposób efekt „filmu bez reżysera" czy historii bez narratora – dla porównania, książka Amisa miała ich aż trzech, w tym samego komendanta. Może dlatego budzą wątpliwości momenty wyraźnie kreacyjne, jak kręcone kamerą termowizyjną nocne zdjęcia polskiej dziewczynki (skądinąd autentycznej postaci) podrzucającej więźniom jabłka.

Nakładając na to otchłanne pomruki czy słowa bajeczki czytanej przez Hössa swoim dzieciom na dobranoc, film kilkakrotnie wyłamuje się ze swej mrocznej, statycznej bryły, jakby zaznaczał, że wcale nie chodzi mu o dokumentalne odtworzenie realiów życia w domu z widokiem na „ogród koncentracyjny".

Chwilami – kiedy z ekranu wylewa się „straszliwa zieleń" bądź obsceniczna czerwień rozkwitłych na ludzkich prochach kwiatów – „Strefa interesów" przypomina kino konceptualne. Nasze emocje są tutaj efektem wtórnym, wymuszonym zarówno przez intelektualny dystans, jak i niespodziewany estetyczny naddatek. Oraz przez pozakadrową grozę, na którą, oprócz dźwiękowego pejzażu, pracuje głównie wyobraźnia. Względnie pamięć wytwarzana przez historyczne czy artystyczne przekazy.

Poza wszystkim oglądamy film o ludziach żyjących w głębokim wyparciu i o cichym powrocie wypartego – w reakcjach organicznych, zakazanych zabawach dzieci, w znajdowanych przypadkiem ludzkich szczątkach. Albo w nagłym zniknięciu teściowej Rudolfa, która wpadła do nich z wizytą i, rozkoszując się społecznym awansem, jednocześnie zastanawiała się na zimno, czy tam, po drugiej stronie, przebywa jej żydowska chlebodawczyni.

Bo głównym bohaterem jest właśnie ów solidny i bezpieczny mur, obrosły bluszczem, z wieżyczką strażniczą wyrastającą tuż obok placu zabaw i zadbanego warzywnika. Przypomina o „normalnym życiu" w cieniu innych murów, o plażowaniu w sąsiedztwie wyrzucanych przez morze trupów, o piaskownicach obmurowanych macewami, o obsesyjnym grodzeniu się, by za dużo nie widzieć i nie wiedzieć. Taka była zresztą intencja reżysera, dlatego nikt nie powinien się dziwić, że również kontekst Gazy wyprowadza jego film z komór gazowych i, chcąc nie chcąc, zadaje niewygodne pytania o nasze ogródki. ©

Lektor:
Obok siebie

▪ *Czesław Brzoza*
NA KAZIMIERZU I... ŻYDZI KRAKOWA MIĘDZYWOJENNEGO. KALENDARIUM
Wydawnictwo Austeria, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2023, ss. 1406

I ZNÓW OGROMNE TOMISZCZE – OGROMNE, ALE prawdziwie fascynujące. Krakowski Kazimierz, jego synagogi i cmentarz Remuh są dziś oczywistym przystankiem na turystycznym szlaku, podobnie jak Fabryka Schindlera przy Lipowej. Kalendarium prof. Brzozy pozwala nam na więcej: wejść w świat, który został zamordowany, wyobrazić sobie życie, które do wybuchu wojny wypełniało ulice i budynki Kazimierza i Stradomia, a także Podgórza i innych dzielnic.

„W międzywojennym Krakowie judaizm był religią co czwartego mieszkańca miasta" – przypomina autor, a społeczność żydowska liczyła od około 45 tysięcy osób w roku 1921 do ponad 64 tysięcy na rok przed wojną. Była przy tym mocno podzielona: mieszkali tu zarówno skrajni ortodoksi, jak i obojętni religijnie liberałowie oraz komuniści, a jidyszyści spierali się z syjonistami opowiadającymi się za hebrajskim jako językiem narodowym i osadnictwem w Palestynie. W Krakowie działały wszystkie liczące się żydowskie partie i stronnictwa, od 9 lipca 1918 r. ukazywał się „Nowy Dziennik" – „pierwsza na świecie codzienna gazeta wydawana przez Żydów dla Żydów w języku kraju zamieszkania". Rozwijała się żydowska oświata, powstawały dziesiątki towarzystw – religijnych, kulturalnych, ekonomicznych. „Wpływ tej części krakowian na życie miasta był większy, niż wynikałoby to z jej liczebności" – a równocześnie społeczności polska i żydowska żyły nie tyle razem, ile obok siebie, choć często na tych samych ulicach.

Kalendarium pokazuje, jak gęste i intensywne było życie krakowskich Żydów: imponująca sieć instytucji samorządowych i dobroczynnych, spektakle teatralne, koncerty i akcje odczytowe, celebrowanie świąt religijnych i wydarzeń oficjalnych, jak odwiedziny prezydenta Mościckiego w Starej Synagodze. Pokazuje też konflikty wewnątrz tej społeczności – i oczywiście narastające przejawy antysemityzmu, w życiu codziennym, w polskiej prasie, na uniwersytecie i innych uczelniach, gdzie zamieszki wywoływane przez młodzież endecką przybierały charakter bardzo brutalny. A katecheta w Szkole Handlowej przy Straszewskiego przekonywał uczniów o prawdziwości kierowanych wobec Żydów zarzutów o używanie w celach rytualnych krwi chrześcijańskiej... ©℗

OLGA

Drenda:
Nuda nieskończonych możliwości

W czasach podstawówki pewien kolega kolegi miał pasję – pisał powieści sensacyjne w tempie jeszcze bardziej ekspresowym niż nasi najwięksi hurtownicy bestsellerów. Każda zajmowała jakieś cztery strony bloku rysunkowego. Do dzisiaj pamiętam wymowny tytuł jednej z nich: „NIEWIŃI LUDZIE" (właśnie przez ń). Problem polegał na tym, że jedynym entuzjastą tych powieści, jak i prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który mógł w ogóle je zrozumieć, był ten jeden jedyny kolega, bo zawierały zupełnie przypadkowo połączone ze sobą spektakularne sceny, po których szybko następowało słowo KONIEC. Na pewno w głowie kolegi galopowała niesamowita, wciągająca fabuła, niestety mimo starań nie był w stanie podzielić się nią z resztą. Bardzo chciał, lecz nie umiał. Niesamowitość musiała pozostać na zawsze w jego głowie, dlatego nikt nie docenił należycie bogactwa tych pomysłów.

Ten przykład szkolnej kreatywności przypomniał mi się, kiedy spotkałam się ze spekulacjami dotyczącymi możliwości, które narzędzia oparte na sztucznej inteligencji mogą osiągnąć w dziedzinie filmu. Natknęłam się na spekulacje, że w przyszłości każdy we własnym domu będzie w stanie wygenerować sobie od ręki film w dowolnym stylu i o takiej fabule, jakiej dusza zapragnie, a potem już tylko cieszyć się rezultatami własnej pomysłowości. „Niekończące się śnienie na jawie, czy wyobrażacie sobie bardziej uzależniające doświadczenie?", zastanawiali się internetowi futuryści.

To miejsce może wydawać się wyśnione, ale jest prawdziwe.

OLGA DRENDA

Ja wyobraziłam sobie od razu tysiące potencjalnych, i przeznaczonych tylko dla jednego widza, jednorazowych jak chusteczka do nosa ekranizacji „Niewińich ludzi". Dlaczego jednorazowych? Jestem przekonana, że dokładnie jak w przypadku literackiego dorobku kolegi frajda z takiego dzieła musiałaby pozostać na zawsze udziałem tylko jednej osoby. Nikogo innego autor nie zdołałby zainteresować.

Prawdopodobnie taki film skrojony pod osobiste preferencje faktycznie przypominałby sen. A słuchanie relacji z cudzych snów, niestety, jest na ogół nudne. To smutny paradoks, bo marzenia senne, te przeżywane, bywają oczywiście porywającą przygodą (moje może niekoniecznie, bo zwykle śni mi się to samo, co robię w ciągu dnia), nie da się jednak tego doświadczyć z drugiej ręki. A jednak ludzie rwą się, by je opowiadać i choć trochę podzielić się multimedialną niesamowitością, w której przed chwilą mieli przyjemność uczestniczyć, choć jest to przedsięwzięcie skazane na porażkę. Dlatego jako porażkę wyobrażam sobie również filmy generowane na życzenie, trudno bowiem sobie wyobrazić, że dumny twórca nie chciałby się pochwalić swoim dziełem. I prawdopodobnie reakcje znajomych byłyby równie obojętne jak na „Niewińich ludzi". Film bowiem jest wspólną pracą, która czerpie z tysięcy innych wspólnych przedsięwzięć, i koniec końców odbiór również cieszy bardziej, gdy można z kimś pogadać. We śnie istnieje wyłącznie nasze doświadczenie. Swego czasu snuto futurystyczne scenariusze o możliwości nagrywania snów. Wątpię, czy chciałabym drugi raz odtworzyć nawet któryś z własnych.

Oczywiście, zdarza się, że na podstawie snów powstają rzeczy fascynujące. Film „Sny", nakręcony przez Akirę Kurosawę pod koniec życia, bywa wstrząsający w swojej kameralności i cichej poezji. Ale choć sny reżysera są tu punktem wyjścia, zupełnie nie chodzi o niego, lecz o wspomnienia powracające echem u wszystkich, których dotknął strach przed bombą atomową. Ciekawa praca Charlotte Beradt, „Trzecia Rzesza Snów", pokazywała, że w realiach totalitaryzmu ludziom zdarza się śnić zaskakująco podobnie. Przedsięwzięcie to kontynuował po latach polski psycholog Bartosz Samitowski, próbując prześledzić, czy w pandemii śniliśmy wspólnie. To jednak zupełnie inny aspekt: wyciąganie z bardzo osobistego doświadczenia tego, co ze sobą dzielimy i co daje nam punkt wyjścia, by porozmawiać.

Zaskakująca przypadkowa kolektywność snów objawiła swoje oblicze niedawno i w moim życiu. Okazało się, że zarówno moja siostra, jak i ja zupełnie niezależnie od siebie komponujemy we śnie piosenki disco polo. Jestem, niestety, przekonana, że gdybyśmy spróbowały je nagrać, nie doceniliby nas w Polo TV. Byliby to chyba „Niewińi ludzie" muzyki biesiadnej. ©

PAWEŁ

Bravo:
Na smyczy FOMO

Nie macie mnie już dosyć na ten tydzień? Powymądrzałem się w Temacie Tygodnika niczym profesor *food studies* na katedrze, zamiast pilnować laminowanego taboretu, a na nim pilnie skrobać ziemniaki. Weszliśmy już przecież w tę fazę, że trzeba to robić czujnie, coraz więcej z nich ma plamy, skazy, psują się biedaczki, a te, co nadal zdrowe, już kombinują, jakby tu na wiosnę sobie zakiełkować. Trudno mieć do nich o to żal, przyroda na całej połaci śpiewa pieśń o rozmnażaniu, dzięcioł jak perkusista wali w latarnię, żeby hałasem zapewnić o swej zdatności do wykarmienia młodych, a wiewiórki gonią się lubieżnie, przyjmując od nas orzechy tylko przez uprzejmość. Miałem jedynie iść po zakupy, tymczasem zagapiłem się filozoficznie w sklepowy koszyk i dostrzegłem w nim czeluście historii i meandry genetyki, mało nie napomniałem kasjerki: ostrożnie, ten banan ginie! Oparłem się o blat, jakbym stał za mównicą, i uderzyłem w perorę, zamiast pochylić się nad deską i przy okazji, z umysłem oczyszczonym ze spraw tego świata przez mantrę powtarzalnego ciachania, szukać w wyobraźni jakiegoś sosu, który by ożywił nudę ciągle tych samych warzyw.

A może poczułem się tymczasowo zwolniony od tych poszukiwań, bo sos takowy niedawno wymyśliłem i czuję się na jakiś czas spełniony? Są chwile, gdy się osiąga krótkotrwałą równowagę smaku i apetytu, gdy wreszcie zlizujemy z łyżki dokładnie to, co odpowiada dyspozycji naszych cielesnych zmysłów i mentalnych oczekiwań. W dzień taki już dalej niczego nie gotujemy, niczym Francesca i Paolo z drugiego kręgu piekła, którzy już dalej nic nie czytali, gdy miłosny splot zakończył ich wspólną lekturę. Ze skutkiem wielce przykrym w perspektywie zbawienia lub raczej jego braku.

Ale umysłu dyskursywnego nie nasycą żadne głodne kawałki, choćby autor postawił idealnie okrągłą kropkę, skasował brudnopis i pozamykał zakładki ze źródłami. W głowie, niczym te wiosenne wiewiórki, ganiały mi rozważania, jaka przyszłość czeka jedzenie nie w skali społeczeństw, gospodarek i ustaw, ale w tej zupełnie lokalnej, bo kiedy myślimy „jedzenie na mieście", to zwykle sięgamy najdalej do sąsiedniej dzielnicy, niepomni, że i przez knajpy przelatują wiatry historii. Niezależne od pompatycznych słów szefów kuchni, trendy i długotrwałe przemiany obyczaju warunkują nasze intymne przeżycia gastronomiczne. Niejeden próbuje udawać, że jest zdolny nie tylko przewidzieć, ale i wpłynąć na te przemiany, ale jedno, czego mnie długa obserwacja nauczyła, to to, że chodzi raczej o coraz bardziej wymęczone modelowanie gęstniejącej ciastowatej nudy.

Nasze małe kolacyjne, towarzyskie i „gourmeciarskie" przyjemności kręcą się na karuzeli parunastu stylów, krajów, nurtów, nie widać, z jakiego boku miałby doskoczyć zupełnie nowy gracz. Samozwańczy dyktatorzy mód testują na nas tylko kombinacje i nagłe powroty z zapomnienia, wszystko już było, można tylko bardziej udziwnić. Jedyna nowość o mocno wywrotowym posmaku, jakiej bym przyklasnął, to lokale całkowicie ignorujące media społecznościowe. Bez żadnych kont na Instagramie, strategii postowania, brandingu, brand booka i innych benchmarków. Niewdzięczące się do influencerek i jutuberów z zasięgami. Znane tylko z polecenia. Media trzymają nas na smyczy FOMO – to skrót od angielskiego „lęku przed wypadnięciem z obiegu", „lęku przed byciem nie na czasie". Knajpy bez insta – to oznacza, że wielu z nich nie poznam, nawet będąc w tym samym mieście. Genialną małą pizzerię przy placu Szembeka 8 odkryłem tylko dzięki przypadkowej rozmowie ze znajomymi z Grochowa. Ile razy przypadek nie będzie dla mnie tak łaskawy? Ale minie może ta przeklęta fomo-zadyszka. ©℗

THODONAL88 / SHUTTERSTOCK

Zakochałem się w paście z orzechów laskowych. Takiej uczciwej, bez żadnych dodatków. Nie mam nic przeciw nutelli czy podobnym słodzonym grzechom przeciw wątrobie, zostawmy ją wewnętrznemu dziecku. Na urodziny (a wewnętrzne dziecko urodziny ma co najmniej raz na kwartał) zmieszajmy ją z mascarpone oraz – kluczowe! – szczyptą soli i posmarujmy podpieczonego lekko banana, najlepiej na stostowanej chałce. Gwarantuję wam, dziecko nie tknie tortu, możecie mi go od razu odesłać z wdzięcznością. Otóż taka pasta laskowa przypomina konsystencją i pewnymi niuansami smaku tahini i w tym mniej więcej duchu zacząłem ją stosować do sałatek z pieczonych warzyw, zwłaszcza korzeniowych. Wariant najprostszy – zmieszać ją z dobrym octem balsamicznym i odrobiną neutralnego oleju, jeśli wyda wam się za gęsta, zaostrzyć lekko. Można też uzyskać bardziej aksamitny, gładki i apetyczny niby-humus, nazwijcie go, jeśli chcecie, humus bravus: miksujemy puszkę białej fasoli, po czym dodajemy stopniowo pastę z orzechów laskowych, aż uzyskamy balans smaków. Wtedy warto to dokwasić, dla mnie dalej najlepiej radę daje ocet balsamiczny, ale sok z cytryny warto też wypróbować. Wtedy nie zmarnujcie skórki, tylko zetrzyjcie ją na gotową już sałatkę. Najlepiej mi to zagrało na mieszance w równych proporcjach kalafiora (małe różyczki) upieczonego tylko z oliwą i solą, fenkuła pokrojonego w dość cienkie paski i ziemniaka. Ale np. dodatek marchwi lub selera też by nie zaszkodził.

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

HONOR I GRA W ŁAPKI

MICHAŁ ZABŁOCKI, POETA I SZABLISTA:

Mój 90-letni ojciec na niespełna rok przed śmiercią zadał mi podchwytliwe pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć: „Wiesz, co jest najważniejsze życiu? – spytał. – Refleks". I miał rację.

ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Wrócić do szermierki po trzydziestopięcioletniej przerwie?

MICHAŁ ZABŁOCKI: Zaczynałem pod koniec lat 70. i zakończyłem karierę, będąc jeszcze juniorem. A teraz startuję jako weteran. Ten sezon rozpocząłem w kategorii 60+ i z tej okazji postanowiłem powalczyć trochę za granicą. Pojechałem na trzy turnieje Pucharu Europy i zdobyłem od razu dwa złota: w Madrycie i Londynie. Kto wie, czy ważniejsza nie była jednak pierwsza wycieczka i srebro, które wywiozłem z EVF Circuit z Budapesztu, bo Budapeszt to stolica europejskiej szabli. Przede mną już niebawem udział w Mistrzostwach Polski i w Drużynowych Mistrzostwach Europy, a na jesieni mistrzostwa świata w Dubaju.

Intensywnie.

Nie było tak od razu. Wróciłem do szermierki w wieku 55 lat, ale w Krakowie nie było klubu i na treningi musiałem jeździć do Sosnowca. Chodziło mi po głowie utworzenie Centrum Szabli, ale nie miałem miejsca i byłem sam. A potem zdarzyło się nagle, że przygarnęła mnie Hala Stulecia Cracovii i niemal jednocześnie pojawił się w mieście znakomity trener Janusz Taranczewski, który co prawda po dwóch latach musiał wyjechać, ale rozruch się odbył i teraz już właśnie czwarty rok działa przy klubie Cracovia 1906 sekcja szabli dla dzieci i dla dorosłych. Najfajniejsze w sumie jest to, że razem z dziećmi garną się do nas ich rodzice.

A w Tobie co się zmieniło?

Dopiero niedawno nauczyłem się przegrywać. Nieumiejętność przegrywania doskwierała mi już jako dziecku. Może dlatego, że zbyt łatwo mi poszło na początku. Rozpocząłem od zwycięstwa w ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży, a potem przez niemal 10 lat nie schodziłem z pudła i to nie tylko w Polsce, ale często i na świecie. A jednak, chociaż w sporcie chodzi generalnie o zdobycie mistrzostwa olimpijskiego, to przecież ambicje kosztują, a każda porażka wiąże się z rozgoryczeniem. Właściwie każdy zawodnik przegrywa 90 procent zawodów. Bo już drugie miejsce to przegrana. Więc sztuki przegrywania uczyć się trzeba od dziecka.

Nie uczył Cię tego Twój ojciec – Wojciech Zabłocki, czterokrotny medalista olimpijski w szabli?

Tata nie był moim trenerem. Jako dziecku pokazał mi tylko podstawy. Sam wszystkie swoje przegrane ogromnie przeżywał i w ogóle był nerwowy. Miał jedną bardzo dobrą cechę: robił wiele rzeczy naraz. Z szermierki przeskakiwał do architektury, z architektury do malowania, z malowania do pisania książek. Swoją psychikę stabilizował dzięki temu, że nie siedział w jednym problemie. Po porażce mógł przeskoczyć w rejon, który gwarantuje sukces. Ale taki mechanizm obronny ma też swoje wady.

Jakie?

Nie celebruje się zwycięstw. Powstaje nawyk szybkiego przerzucania się do innego świata i do innych zadań bez względu na to, czy się wygrywa, czy przegrywa. Taty olimpijskie puchary i medale miały miejsce w domu, ale nie były wyeksponowane. Jako dziecko lubiłem je oglądać. Wszystkie trafiły do Muzeum Sportu. W rodzinnym domu zostały tylko moje puchary z lat 80., kiedy jeździłem na zawody szermiercze. I te moje puchary były bardziej efektowne niż puchary ojca z lat 50. i 60. Wiąże się z tym anegdota. Opowiedzieć?

Ba!

Cztery lata temu, po śmierci taty, porządkowałem dom rodziców. Moje puchary wrzuciłem do kontenera na śmierci stojącego przed bramą wejściową – były już tak rozklekotane, że żałość brała. Za godzinę dostałem telefon od mojej siostry mieszkającej w Stanach: „Michał, ty wyrzucasz pamiątki po rodzicach?". Musiałem się gęsto tłumaczyć, że to po mnie. Ktoś, kto pracował naprzeciwko, doniósł inwestorce, którą była koleżanka siostry, i to ona właśnie dała sygnał, co się dzieje. Zaiste, globalna wioska.

Unikasz celebry.

Nie lubię pucharów, medali i złotych płyt. Niczego nie kolekcjonuję. Ruszam zawsze po nowe doświadczenia. Z tym przegrywaniem jest tak: jeśli wyznaczysz sobie zbyt wysokie cele, to z pewnością cię przerosną. Trenowałem tę samą dyscyplinę, co ojciec. Cały czas byłem porównywany. Sam się porównywałem i za wszelką cenę chciałem go prześcignąć. Szło dobrze, ale nie aż tak dobrze. Nie byłem najlepszy na świecie. Teraz widzę, że brakowało mi cierpliwości. Srebrny medal to też sukces. Nie zawsze musi być złoto. Nawet doświadczeni trenerzy często nie za bardzo wiedzą, jak to z zawodnikiem przepracowywać. Ja się szamotałem. Oboje rodzice dostali ode mnie zakaz przychodzenia na zawody, nie chciałem stresować się ich obecnością.

Inne wspomnienia z tamtego czasu?

W liceum miałem absencję na poziomie 50 procent i gwarantowane odpytywanie ze wszystkiego, jak tylko się pojawiłem – przez te treningi i zawody. Tworzyliśmy najlepszą drużynę w Polsce i jedną z najlepszych na świecie, na początku w Marymoncie Warszawa, potem przenieśliśmy się do Legii. Zobaczyłem kawał świata, co za PRL-u uchodziło za luksus. I wiadomo, jak w tamtych czasach jeździło się za granicę: najpierw się kupowało, potem się sprzedawało. Interesy robiłem głównie na kawiorze.

Tylko dobre wspomnienia?

Złą stroną sportu było to, że za komuny środowisko generalnie było mocno zalkoholizowane. Jak zresztą większość środowisk. Ale trenować przestałem z zupełnie innego powodu: choroby Scheuermanna. Odwapnieniu ulegają kości kręgosłupa, powiększają się przestrzenie międzykręgowe i wysuwają się dyski. Ja mam wielopoziomową, masywną dyskopatię. W pewnym momencie wylądowałem nawet w szpitalu bez czucia w lewej nodze. Sporo czasu minęło, zanim doszedłem do siebie. No ale wtedy, w wieku 21 lat, skończyłem karierę. Fizjoterapia była na dość niskim poziomie, dziś pewnie dostałbym odpowiednie ćwiczenia i mógłbym nadal trenować.

Nie przerywałbyś kariery?

↦

Szermierkę można uprawiać wyczynowo nawet do czterdziestki. Co ciekawe, potem pojawiają się inne problemy zdrowotne niż te, które zwykle eliminują z wyczynu za młodu i te sprzed lat nie wydają się już aż tak straszne. Może bym nie przerwał. I może byłby to błąd. Bo jednak po zakończeniu kariery mogłem spokojnie udać się na obszary innych moich zainteresowań, w których nie byłem porównywany z żadnym z rodziców. Zresztą w dużej mierze z obawy przed porównaniami nie zostałem także aktorem.

Szermierką rządzi ewangeliczna zasada: **najpierw postaraj się pozbyć własnych błędów,** a dopiero potem zajmij się wyszukiwaniem błędów przeciwnika.

By nie być porównywany ze swoją mamą – Aliną Janowską, znaną m.in. z roli w kultowej „Wojnie domowej"?

Mama była wielką gwiazdą. Każde porównanie byłoby dla mnie miażdżące. Zresztą ani aktorstwo, ani tym bardziej gwiazdorstwo nigdy nie budziły we mnie pożądania. Choć to właśnie mama uważała, że powinienem zostać aktorem.

Szermierka ma chyba sporo wspólnego z aktorstwem.

Aktorstwem można wiele nadrobić, ale się nim nie wygrywa. Bardziej liczy się wyczucie tempa i rytmu. One są podstawą szermierki. I refleks. Szczególnie jest to istotne w szabli, czyli broni szybkiej, w której nie ma czasu na to, by mozolnie przygotowywać akcje. Wszystko dzieje się w ułamkach sekund. Trzeba być bardzo dobrze przygotowanym fizycznie i reakcja na ruch przeciwnika powinna odbywać się błyskawicznie.

Jak to osiągnąć?

Zakładam plan i go realizuję. Tyle że wygrać to nie jest żaden plan, tylko efekt. Więc w moim przypadku kluczowe jest założenie: do czego dążę w tej walce? Co chcę zmienić i co poprawić w swoich akcjach? I z tego właśnie sam się rozliczam, a nie z wygranej czy przegranej. Otrzymane trafienia są tylko sygnałami, że coś nie działa. To jest właśnie najważniejsza praca: zrozumieć siebie i sytuację, w której aktualnie się znajduję.

Walczyłeś z ojcem?

Tak. Przez wiele lat. Początkowo trudno mi było go trafić, potem role się odwróciły. Nie pamiętam, kiedy dokładnie. Trudno mu było zmienić nawyki, on już nie ewoluował, a szermierka stale się zmienia. Jeśli nie nadążasz – odpadasz. Coraz trudniej było mu walczyć, a jednak całymi latami przychodził na treningi. Nie przejmował się porażkami. Walczył bardziej z narastającymi słabościami niż z przeciwnikami. Należał do pokolenia o bardzo silnym etosie sportowca. To byli ludzie zahartowani w bojach z przeciwnościami losu i zaangażowani bez reszty w to, co robią. Zaznali Polski międzywojennej, przeżyli traumę okupacji i nie dawali się tak łatwo stłamsić komunie. Taki był on, taka była mama.

A Twoje pokolenie?

My, wychowani w niezmiennej szarości niedoboru, to już zupełnie inni ludzie. Do poczucia wolności musieliśmy mozolnie dochodzić i wciąż dochodzimy. I wciąż wiele nam brakuje. Kilka dni temu na kursie sędziowskim, w którym obecnie uczestniczę, jeden z kolegów przeczytał fragment szermierczego regulaminu i tam jest napisane, że szermierze mają kierować się honorem. Złapaliśmy się za głowy. Kiedy to było pisane? Czy teraz ktokolwiek myśli podobnie? Ale sala szermiercza i szermierczy świat to jednak wciąż inna rzeczywistość. Tutaj liczy się skuteczność, ale liczą się też ideały. A sędzia może dać żółtą, czerwoną lub nawet czarną kartkę i wyrzucić z zawodów za niesportowe zachowanie.

Czyli jakie?

No właśnie, to jest pytanie. W regulaminie nie zostało to doprecyzowane. Więc w środowisku szermierczym zakładamy, że wiemy, w czym rzecz. Jeśli zawodnik nie przywita się lub nie pożegna z roztargnienia, nic mu nie grozi. Ale jeżeli zrobi to złośliwie...

Uczysz tego swoje dzieci?

Moje dzieci zaczęły bardzo wcześnie, z chwilą gdy otworzyłem Centrum Szabli. Alina miała ponad cztery lata, Ignacy – ponad pięć. Minęły trzy lata i nadal chcą chodzić na treningi. Uważam to za sukces, choć okres buntu w ich życiu jeszcze nie nadszedł – wszystko przed nami. Oczywiście zdarzają się protesty i marudzenia, to jest nieuniknione. W pracy z dziećmi ważne jest, by nie doprowadzić do przesytu, by sport nie kojarzył się im z nudą i katorgą. Ja sam zacząłem trenować jako 11-latek. Dziś nabór zaczyna się zazwyczaj w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Ale i wcześniej można kształcić dziecko w tym kierunku.

Od kiedy?

Od 3. do 6. roku życia mamy niepowtarzalną możliwość poprawienia neuroprzekaźnictwa u dzieci. Jeśli nauczymy ich szybkich reakcji, refleks się trwale poprawi. Nie stracą go w przyszłości. A już dzieci powyżej 8. roku życia nie mają tej zdolności. Wystarczą prościutkie ćwiczenia: np. gra w łapki, chwytanie rzucanej rękawicy, spadających przedmiotów, ringo, sprinty i wszelkie tak zwane „refleksy", nawet te *stricte* szablowe, jak parada-riposta, czyli zasłona-odpowiedź.

Mój 90-letni ojciec na niespełna rok przed śmiercią zadał mi podchwytliwe pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć: „Wiesz, co jest najważniejsze życiu? – spytał. – Refleks". I miał rację.

Jak się ma do tego psychika?

Są zawodnicy, którzy technicznie są gorsi, za to mają odporność psychiczną i dla nich nie ma problemu, że przegrywają 3-9. Taki gość zawsze będzie dalej walczył i wygra 10-9. Ale są i tacy, którzy przy stanie 3-5 się poddadzą. Ważna jest

MICHAŁ ZABŁOCKI
jest poetą, performerem i autorem tekstów piosenek. Studiował polonistykę w Warszawie i reżyserię w Łodzi. Od końca lat 80. współpracował z Piwnicą pod Baranami. Jest autorem tekstów piosenek Grzegorza Turnaua, Czesława Mozila i innych. W latach 1979-1987 zdobywał wielokrotnie tytuły indywidualnego i drużynowego mistrza Polski. W 2020 r. w Krakowie założył Centrum Szabli.

umiejętność skupienia na samym sobie, a nie na sytuacji czy przeciwniku. Każdy z łatwością wychwyci błędy u innych, ale u siebie ich nie dostrzega. Szermierką rządzi ewangeliczna zasada: najpierw postaraj się pozbyć własnych błędów, a dopiero potem zajmij się wyszukiwaniem błędów przeciwnika. Zresztą wtedy o wiele łatwiej je dostrzec.

Twoje treningi?

W tygodniu dwa *stricte* szermiercze po półtorej godziny. A do tego codziennie wykonuję własne ćwiczenia, które mają spowodować, że będę w stanie zrobić trening specjalistyczny. Trzeba pamiętać, że najważniejszy nie jest ani czas trwania treningu, ani intensywność, lecz powtarzalność. Jak w każdej dziedzinie życia. I dobrze jest wiedzieć, że istnieją różnice pomiędzy ćwiczeniami rozgrzewającymi, siłowo-szybkościowymi i rozciągającymi. W zasadzie może sobie ułożyć cały dzień pod ten typ ćwiczeń.

Co radzisz?

Rano dobrze jest wykonywać ćwiczenia jak na początku treningu – rozgrzewające: powolnie uruchamiać kolejno wszystkie stawy przez obroty, a mięśnie przez zaciskanie albo rolowanie. Koło południa dobrze by było wykonywać ćwiczenia siłowo-szybkościowe – to mogą być pompki, skoki, sprinty. Wieczorem ćwiczenia wyłącznie dotleniające i rozciągające, jak spokojny marszobieg. W ten sposób można zrobić skuteczny, efektywny trening złożony z trzech kilkunastominutowych bloków. Ale podkreślam raz jeszcze: ważna jest systematyczność i konsekwencja, bo trening specjalistyczny jest eksploatujący, także ze względu na to, że jesteśmy ubrani w wiele ciężkich warstw. Biały strój szermierczy wygląda niewinnie, ale jak się go pozapina, pozamyka, założy maskę, zacznie się ruszać w przyspieszonym tempie, to po kilkunastu minutach człowiek ma dość. Do tego trzeba być przygotowanym.

Jak przez te trzydzieści pięć lat zmieniła się szermierka?

Przede wszystkim zmieniły się przepisy i technologia. W mojej młodości młodości flesz – dynamiczna akcja wykonana w dobrym tempie – był podstawą szermierczych akcji. Ale go nadużywano, powodował mnóstwo biegów po planszy i szabla stała się nie do zniesienia. Więc pod koniec lat 80. został zabroniony. Została też wprowadzona szabla elektryczna. Jej plusem jest to, że pojawia się mniej nieścisłości w sędziowaniu, minusem, że sprzęt stał się trzy razy droższy.

Trzeba się doszkalać?

Najlepiej samemu stając na planszy, by zmienić przyzwyczajenia. Poza satysfakcją i próbą utrzymania sprawności fizycznej – to jest trzeci ważny powód, dla którego walczę jako weteran – by stale weryfikować na sobie stare i nowe akcje, koncepcje i sposoby walki. Wydaje mi się to konieczne przy kształceniu następnych pokoleń szablistek i szablistów.

A psychiczna odporność dzieci?

Trzeba nad nią pracować i spokojnie tłumaczyć, co jest ważne, a co nie. Generalnie dzieci uwielbiają rywalizować, ale dzieje się tak do czasu, kiedy się zorientują, że wygrana przychodzi rzadko. Ten krótki czas dobrze jest wykorzystać na naukę tego, co istotne. Problemem w pracy z dziećmi jest to, że są rozkojarzone. Zwłaszcza chłopcy. Na pierwszym zgrupowaniu prowadziłem z młodymi zawodnikami spotkania według podręcznika Eline Snel „Uważność i spokój żabki". Ćwiczenia oddechowe prowadzące do wyciszenia i eliminacji myśli niepotrzebnych. Taki *mindfullness*.

Działa?

Tak, ale to nie jest cel sam w sobie. Nie będziemy cały dzień siedzieli i oddychali. Mamy inne zadania w życiu. Sport, w którym pojawiają się nagrody, medale, rywalizacja, porównywanie się i tak dalej, był, jest i będzie stresogenny. Tak jak cała reszta świata. Od tego nie da się uciec. Chodzi tylko o to, by szermierka była poligonem do nauki tego, co najważniejsze tu i teraz – życiowego refleksu.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Garść smutków

Oczywiście życie w Krainie Uśmiechu tylko pozornie jest wyłącznie radosne. Ktoś pochodzący z innego kraju, bądź z innej planety lub galaktyki, mógłby powierzchownie mniemać, że nikt tu, w zlewni Wisły, nigdy się nie smuci. A to nieprawda.

Rzecz jasna, największą we wszechświecie zmyłkę w utwardzaniu stereotypu Polski jako krainy wiecznie roześmianej robi prezydent A. Duda. Onże, popatrzmy, a widzi to każdy – od niemowlęcia po starca, od analfabety po pisarza, od lewaka do prawaka, od rolnika po nierolnika – ma cechę generalnie niespotykaną. Zwłaszcza wśród głów państw. Otóż jak pan prezydent nie żartuje, to żartuje, i na odwrót. Każdy przyzna, że jest to cecha, a może zdolność zupełnie niesamowita, nawet gdy ujmuje się jej opis jak powyżej, tzn. bardzo lapidarnie i najoszczędniej, jak można. Ale broń Boże, nie chcemy dziś mówić o p. prezydencie, który, gdy nie żartuje, to żartuje i na odwrót, a o smutkach właśnie, o smutkach zamaskowanych radością, uśmiechami i żarcikiem.

Każdy badacz akademik przyzna, że prace analityczne są tym trudniejsze, im więcej mylących parametrów w badanej substancji. Oto popatrzmy – trudno bada się kwaśność w cukrze, alkohol w napoju bezalkoholowym, czarne w białym, piękno w brzydocie, mądrość w głupocie i tak dalej. Słowem, chcemy tą wyliczanką pokazać, że szukanie i opisywanie smutków w Krainie Uśmiechu jest trudne i że należą się nam – do stu tysięcy beczek polskiej szczepionki na covid – oklaski, a nie szyderstwa i okazywanie lekceważenia. Tych smutków w Krainie Uśmiechu jest nieco, a ostatnio jakby więcej.

Smutek pierwszy wynika z dochodzących nas plotek, że panowie M. Wąsik i M. Kamiński nie będą się ubiegać o mandaty europarlamentarzystów. Czytamy tu i ówdzie, że w łonie ich partii narasta przekonanie, iż mogą być oni obciążeniem. Oczywiście wizerunkowym, a nie moralnym, co to, to nie. Powiada się, że b. Gospodarz ma niebawem odwołać daną im obietnicę, czyli miejsca biorące na listach. Jest to wiadomość dlatego smutna, że pokazująca – by ująć to najlepiej – korozję nierdzewki. Nikt z nas – jak tu ponuro siedzimy – nie spodziewał się, że stal nierdzewna zardzewieje i że stanie się złomem tak szybko. To zresztą nie jest nasz problem, a wielbicieli obu tajniaków-polityków, których żywą pasją jest podsłuchiwanie rozmów telefonicznych. Naszym problemem jest tu smutek z powodu zmarnowania kapitału – mamy na myśli okropne tortury, frontalny atak na tutejszy parlament oraz niewykorzystanie talentów, które w Parlamencie Europejskim mogłyby zalśnić blaskiem polskiego stereotypu.

Smutek drugi wynika z półgębkiem ogłoszonej brutalnej eliminacji p. Legutki z talii wielkich umysłów i kreatorów pisowskiej – pardon – filozofii. Wypisanie go takoż, brutalne i na dobre, z polityki. Ktoś zapyta: a czemu jest to informacja smutna, a nie – na przykład – wesoła? Ano dlatego, odpowiadamy najlepiej, jak umiemy, że nic, co było, co jest ani co będzie, nic i nigdy, jeśli idzie o cokolwiek związanego z p. Legutką, nie jest wesołe. To wszystko było, jest i będzie zawsze bardzo smutne. Jest to bowiem człowiek do szpiku kości smutny, mimo że reprezentował na salonach świata – słowo „salon" wymaga poważnej weryfikacji i namysłu – Krainę Uśmiechu. Jest to, każdy przyzna i będzie miał rację – paradoks. Cóż począć. Świat jest ich pełen, ale polska jest wulkanem, z którego krateru biją w niebo wrzące bryzgi paradoksów, a to, co my tu robimy, można nazwać śmiało życiem nie pod, a na wulkanie właśnie. Smutne.

Smutek kolejny – popatrzmy – wynika z zastąpienia na owych salonach p. Legutki p. Tarczyńskim. Jest to w zasadzie tak szalenie smutne, że nie wymaga żadnego uzasadnienia. Każdy, kto choćby z lekka kojarzy p. Tarczyńskiego, i z buzi, i z ekspresji, i z tego, co ów wie, umie i mówi, musi być dziś smutny. Musi, choćby wcześniej przez lata uważał opowieści i legendy dotyczące intelektualnego zaplecza PiS za śmieszne. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

PO ZMIANACH NA LIŚCIE LEKTUR MŁODZIEŻ ORGANIZUJE TAJNE KOMPLETY, PODCZAS KTÓRYCH CZYTA „KONRADA WALLENRODA" i „TRYPTYK RZYMSKI".

Co wiara zmartwychwstania oznacza dla nas dzisiaj?

Dlaczego uczniowie nie poznali Zmartwychwstałego?

Jak mówienie o zmartwychwstaniu ma się do Starego Testamentu?

Dlaczego Ewangeliści nie opisują przebiegu zmartwychwstania?

tygodnikpowszechny.pl/kimjestjezus

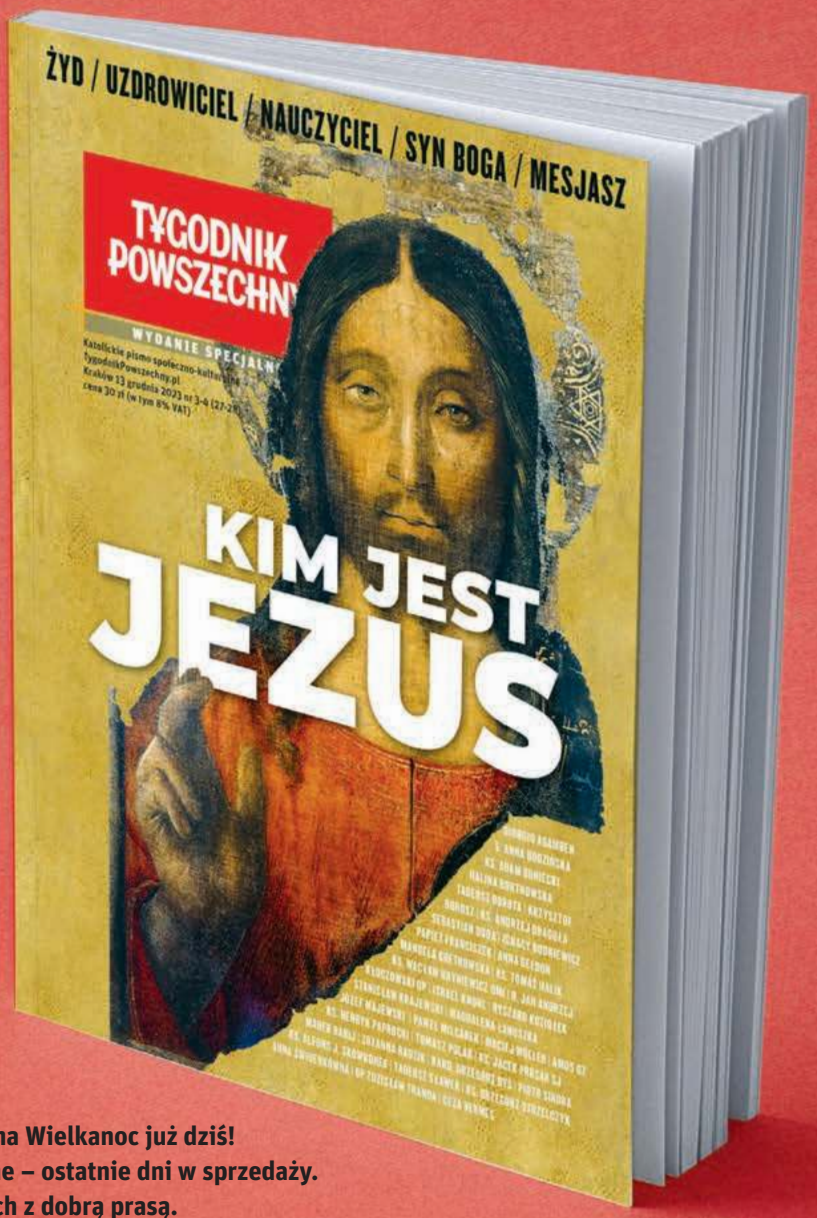

Zaplanuj lekturę na Wielkanoc już dziś!
Wydanie Specjalne – ostatnie dni w sprzedaży.
Kupisz w miejscach z dobrą prasą.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPÓŁWYDAWCA:

Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

Sopot

ERGO HESTIA

REKLAMA

ERGO HESTIA

Najważniejsze ubezpieczysz u nas, sprawdź kompleksową ofertę ERGO Hestii

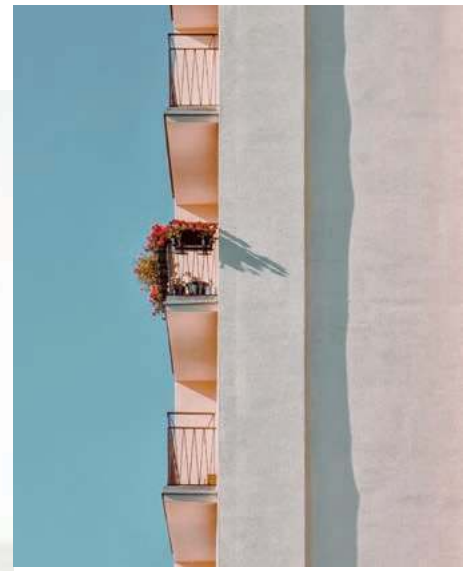

Aleksander Małachowski. Fotograf

Ubezpieczenie domu

Ubezpieczenie na życie

Ubezpieczenie samochodu

Ubezpieczenie firmy

Ubezpieczenie podróży

Sprawdź szczegóły

www.ergohestia.pl

Materiał marketingowy Sopockiego Towarzystwa Ubezpieczeń ERGO Hestia SA.
i Sopockiego Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie ERGO Hestia SA.